



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

3(17) 2011

Rok V

www.nestor-krasnystaw.pl

ISSN 1898-1801



fot. Monika i Rafał Haladyjowie



Cmentarz Wojskowy na Powązkach w Warszawie - kwatery powstańców warszawskich. Na płycie symbolicznego grobu żołnierzy Batalionu „Gustaw” odnajdujemy nazwisko Barbary Wajszczuk. Na innym zbiorowym grobowcu żołnierzy VII Zgrupowania AK „Ruczaj” widnieje nazwisko Antoniego Wajszczuka, odznaczonego pośmiertnie Warszawskim Krzyżem Powstańczym. Kim byli ci młodzi ludzie i dlaczego ich wspominamy wyjaśni nam artykuł zamieszczony na najbliższych stronach.

Amatorskie zdjęcia wykonali Monika i Rafał Hala-dyjowie z Warszawy, a rodem z Krasnegostawu i Siennicy Nadolnej.



Spis treści

Słowo redaktora	2
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Podarowali ojczyźnie to, co najcenniejsze	3
<i>Zbigniew Atras</i>	
Oni są cały czas ze mną	11
<i>Teresa Borkowska-Wójtowicz</i>	
Krasnostawskie wątki w biografii Franciszka Przysiężnika (1909-1975) ps. „Ojciec Jan”	13
<i>Artur Borzęcki</i>	
Poezja - Jerzy Bolesław Sprawka	15
Filozof z Jarów Tarnogórskich	16
<i>Zbigniew Cimek we współpracy z Elżbietą Kmieć</i>	
Austriacy w Krasnymstawie w latach 1915-1918	19
<i>Ryszard Maleszyk</i>	
Z historii Borowa	24
<i>Joanna Antoniuk</i>	
Krótką historią Żółkiewki	28
<i>Bohdan Kielbasa</i>	
Sonet - Stanisław Bojarczuk	31
Historia parafii rzymskokatolickiej w Łopienniku	32
<i>Jerzy Weremko</i>	
Perła architektury neogotyckiej w powiecie krasnostawskim - Część II	34
<i>Jerzy Weremko</i>	
Krótki rys historii zakonu i 470-letni okres istnienia klasztoru Augustianów w Krasnymstawie	40
<i>Zbigniew Atras</i>	
Poezja - Mariusz Kargul	48
Sylwetki biskupów chełmskich i chełmsko-lubelskich Diecezja chełmska - Część IV	49
<i>Kazimierz Stolecki</i>	
Krajobraz z Nepomucenem - Część I	58
<i>Agnieszka Szykuła-Żygawska</i>	
Siłaczka	61
<i>Irena Iwańczyk</i>	
Szanowna Redakcjo!	63
Ten chłopiec na ramionach to jestem JA! czyli niezwykła historia zwykłej fotografii	64
<i>Henryk Sierko</i>	
Moja twórczość związana jest z człowiekiem - o teatrze jednego aktora Reginy Mozdżeńskej	68
<i>Zbigniew Waldemar Okoń</i>	
„Lubelska 36”	74
<i>Robert Galan</i>	
Poezja - Iwona Chudoba	78
Poezja - Robert Dariusz Galan	79
Poezja - Halina Graboś	80
Poezja - Mateusz Grzeszczuk	81
Poezja - Stanisław Koszewski	82

Spis treści

Poezja - Danuta Agnieszka Kurczewicz	83
Poezja - Katarzyna Czubała	84
Poezja - Małgorzata Łobejko	84
Poezja - Teresa Pyc	85
Poezja - Anna Nazar	86
Poezja - Maria Tokarz	88
Poezja - Dariusz Sułkowski	89
Poezja - Waldemar Taurogiński	90
Mietek gromi szatany	91
<i>Arkadiusz Sann</i>	
Jak Kościura Krzyżaków pod Grunwaldem pokonał ...	91
<i>Arkadiusz Sann</i>	
Odlot żurawi zwiastunem zimy	94
<i>Lucjan Cimek</i>	
Chłopiec z Ukrainy	95
<i>Lidia Kosk</i>	
Dziadek	98
<i>Saturnin Naliwajko</i>	
Anegdota krasnostawska	99
<i>Leszek Janeczek</i>	
Ciepłe wiersze	100
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Wspólnie smakujemy	101
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Z Wojtkiem z Persji do Szkocji	101
<i>Marta Barbara Zorska</i>	
Afera słoikowa i znikający denat, czyli przepis na postmodernistyczny kryminał retro	103
<i>Magdalena Górecka</i>	
Matka Boska Krasnostawska	104
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Poezja - Stanisław Ostapowicz	104
Historia rysunkiem i „dymkiem” pisana	105
<i>Artur Borzęcki</i>	
Utopence	107
<i>Zbigniew Masternak</i>	
Nagroda Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej za rok 2010 dla MDKF „Iluzjon”	108
<i>Ewa Magdziarz</i>	
„12. LAF minęła”	110
<i>Zbigniew Masternak</i>	
Poezja - Cassian Maria Spiridon	104
Z podróży do raju	114
<i>Krzysztof Kulig</i>	
Poeta skazany	118
<i>Henryk Radej</i>	
Psychologia brutalizmu we współczesnym teatrze ...	120
<i>Katarzyna Bielska</i>	
Dwa bratanki	122
<i>Henryk Radej</i>	



NR 3(17) 2011 NESTOR Czasopismo Artystyczne



Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Piłat (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Artur Borzęcki (Krasnystaw)
Leszek Janeczek (Krasnystaw)
Mariusz Kargul (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chełm)
Kazimierz Stolecki (Puławy)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Żygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów
za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

Wydawca:

Oficina Wydawnicza „ELIPSA”
ul. Piłsudskiego 2, 22-300 Krasnystaw, tel. (82) 576 60 09,
Konfederacja NESTOR,
www.nestor-krasnystaw.pl, e-mail: david57am@op.pl

Montaż elektroniczny:

Paweł Piłat

Druk:

Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Nakład sponsorowany przez:

Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie
Urząd Gminy Gorzków

Słowo redaktora



Zapewne niektórzy zastanawiali się na ile zmieniłaby się sytuacja społeczno-polityczna Polski i jej sąsiadów w Europie, a nawet Azji, gdyby ruch Solidarność poniósł klęskę. Czy po latach upolitycznione media postawiłyby pod publicznym pręgierzem inicjatorów tego zrywu, z zarzutem, że setki obywateli na darmo straciło życie, a reszta wraz z rodzinami narażona została na prześladowania? Czy taki stan porównywany byłby z losami powstania warszawskiego? Czy znów pojawiłyby się antynarodowe głosy mataczące, że ten wyzwoleńczy ruch nie miał sensu, tak jak inne polskie powstania?

1 sierpnia minęła 67 rocznica powstania warszawskiego, które było najpiękniejszym patriotycznym aktem złożonym ojczyźnie, nie tylko przez ludność stolicy, ale i tysiące ochotników z całego kraju. My możemy być dumni, ponieważ wśród sierpniowych bohaterów znaleźli się również krasnostawianie. Największą ofiarę poniosło rodzeństwo Wajszczuków i to o nich w niniejszym wydaniu chcemy przypomnieć. Dziwiąc się jednocześnie, że do tej pory żadna harcerska drużyna nie przyjęła ich imienia, a zajęci wyborami, rozliczaniem majątków, szkalowaniem i politycznymi gierkami zapomnieliśmy o ludziach, którzy przecież nie dla własnej korzyści wyszli na barykady. Czyżby zostali inaczej wychowani? A może nasi Czytelnicy będą mieli pomysł, w jaki sposób na trwałe uczcić ich poświęcenie? Wewnątrz publikujemy listę powstańców warszawskich związanych z Krasnymstawem. Jeżeli ktokolwiek zna inne nazwiska lub posiada jakiekolwiek informacje na interesujący nas temat - prosimy o kontakt.

Redakcja dziękuje za historyczne i moralne wsparcie dawnym mieszkańcom Krasnegostawu m.in. lekarzowi stomatologii Teresie Borkowskiej-Wójtowicz (Warszawa), poetce Bronisławie Fastowiec (Kamień), mecenasowi Zygmuntovi Kossowskiemu (Chełm). Ostatnio wiernie sekundują nam, utrzymując kontakt rodacy z zagranicy: Marta

i Krzysztof Szuranowie (Rzym), Barbara i Wojtek Miężałowicze (Chicago), Leonard Górski (Nowy Jork) i Andrzej Kamiński (Hamburg), których także serdecznie pozdrawiamy, a wraz z nimi - pozostających Czytelników *Nestora* rozrzuconych po całym świecie.

Pozostając w temacie zagranicznych kontaktów, zapowiadamy publikację literatury rumuńskiej na łamach najbliższych numerów. Przygotowywał je będzie specjalnie dla *Nestora* dramaturg i tłumacz profesor Alexandr G. Șerban. Pierwszym autorem prezentującym swoje wiersze jest Cassian Maria Spiridon.

Od dawna, za sprawą Agnieszki Szykuły-Żygawskiej otrzymujemy gratisowy egzemplarz *Zamojskiego Kwartalnika Kulturalnego*, który istnieje dzięki hojności Zamojskiego Domu Kultury. Dociera do nas także, co prawda publikowany z coraz mniejszą częstotliwością, ale zawsze świetny dwumiesięcznik *Lublin. Kultura i Społeczeństwo*, który - podobnie jak *Nestor* - na każde wydanie zmuszony jest szukać sponsorów. Redaktor naczelny Zbigniew W. Fronczek, prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Lublinie, przy każdej korespondencji trzyma za nas kciuki. Odwzajemniamy się, dobrze wiedząc ile pracy i pieniędzy kosztuje przygotowanie numeru takiego pisma. A jest coraz trudniej...

Problemów naszych, wydaje się, nie zmienia też arcycholebna wypowiedź sekretarza redakcji lubelskiego *Akcentu* i wiceprezesa Związku Literatów Polskich Waldemara Michalskiego, który publicznie oznajmił, że *Nestor* jest najlepszą kulturalną wizytówką Krasnegostawu.

Szanowni Czytelnicy, ciągle czekamy na kolejne historie opisujące dzieje Waszych rodzin, które koniecznie powinny przetrwać w pamięci. Zapraszamy też do przedstawiania sylwetek rodaków i opowiadania o tym, co robią w szerokim świecie. Nie zapominajcie też o zdjęciach! Chcemy wiedzieć jak krasnostawianie wykorzystują swój potencjał poza rodzinnymi stronami, jak sobie radzą. Sprawdźmy, czy tak naprawdę nic się obok nas nie dzieje i niczego nie można zrobić? Od najbliższego numeru zobowiązujemy się publikować w odcinkach ten rodzimy leksykon.

Andrzej D. Misiura

Zbigniew Atras

Podarowali ojczyźnie to, co najcenniejsze - o powstańcach warszawskich z krasnostawskimi metrykami



Jak co roku, 1 sierpnia obchodziliśmy rocznicę wybuchu powstania warszawskiego - zbrojnego wystąpienia przeciwko niemieckiemu okupantowi. Powstanie zorganizowała Armia Krajowa kierowana przez najwyższe struktury Polskiego Państwa Podziemnego. Jego strategicznym celem nie było pokonanie wojsk niemieckich i wyzwolenie kraju, bo to było nierealne. Chodziło o ratowanie powojennej suwerenności, przedwojennego kształtu granic wschodnich oraz odtworzenie legalnych i w pełni demokratycznych władz państwowych w wyzwolonej własnymi siłami stolicy. Wydawało się, że w obliczu prowadzonej z wielkim rozmachem ofensywy Armii Czerwonej, powstanie będzie trwało najwyżej kilka dni, zwłaszcza, że do jego wybuchu nawoływało także radio moskiewskie w audycjach nadawanych w dniach 29 i 30 lipca 1944 roku. Niestety, 5 i 6 sierpnia, czyli już po rozpoczęciu walk, sytuacja zmieniła się diametralnie. Wówczas to na polecenie Józefa Stalina oddziały radzieckie wstrzymały atak na miasto i pozostały na wyczekujących pozycjach za Wisłą. W wyniku tej politycznej decyzji, walki powstańcze trwały przez 64 dni, aż do 3 października. Na ich przebieg decydujący wpływ miał zwłaszcza wydany w dniu wybuchu powstania rozkaz Heinricha Himmlera o postępowaniu wojsk niemieckich wobec powstańców i ludności cywilnej Warszawy. Nakazywał on kategorycznie zabijanie powstańców, także tych wziętych do niewoli, oraz cywilów, w tym kobiety i dzieci. Całe miasto miało być zburzone i zrównane z ziemią. Efektem podjętych działań była masowa eksterminacja ludności i zniszczenie Warszawy.

W powstaniu warszawskim walczyło 47,5 tysiąca żołnierzy powstania przeciwko 27 tysiącom żołnierzy doborowych oddziałów niemieckich. W wyniku walk i eksterminacji ludności, straty po stronie polskiej były ogromne i wynosiły 10 tysięcy zabitych powstańców, 120-150 tysięcy zabitych

cywilów, 5 tysięcy rannych, 7 tysięcy zaginionych, ponad 17 tysięcy wziętych do niewoli i 2 718 poległych i zaginionych żołnierzy I Armii Wojska Polskiego. Po stronie niemieckiej zginęło od 2 do 10 tysięcy żołnierzy, 10 tysięcy zostało rannych, 6 tysięcy zaginionych i 2 tysiące wziętych do niewoli. Powstańcy zniszczyli około 300 niemieckich czołgów i dział pancernych. Oceny powstania są różne. Mają swoich zwolenników, jak i zagorzałych przeciwników, ale każdy musi przyznać, że była to największa bitwa żołnierza polskiego w całej II wojnie światowej. Każda rocznica wybuchu powstania warszawskiego obchodzona jest bardzo uroczysto w Warszawie, ale także w innych miastach Polski. Dlatego często nurtowało mnie pytanie, czy Krasnostaw też powinien jakoś bardziej starannie i dumnie obchodzić tę rocznicę? Czy nasze miasto ma jakiś wkład w powstańczy wysiłek i czy jego mieszkańcy walczyli i przelali krew na barykadach Warszawy? Jeżeli tak, to rocznicowe wywieszanie flag państwowych na budynkach użyteczności publicznej to trochę za mało. Sprawdźmy więc jak było naprawdę.

13 sierpnia 1944 roku. Od prawie dwóch tygodni krwawiła Warszawa, ale ten niedzielny dzień zapowiadał się spokojnie. Jeszcze tylko z samego rana, to jest około godziny ósmej, od strony placu Zamkowego dała się słyszeć intensywna, ale krótkotrwała kanonada z broni maszynowej. Później walki całkowicie ustały. Nie zanosilo się raczej na podjęcie przez Niemców jakichkolwiek działań zaczepnych, choć niektórzy twierdzili, że coś dziwnego czuło się w powietrzu. Większość powstańczych oddziałów odpoczywała, wycofawszy się na drugą linię. Na stanowiskach bojowych pozostawały tylko dyżurne jednostki. Mogło się wydawać, że na ulicach oddalonych nieco od linii ognia i osłoniętych przed wzrokiem niemieckich snajperów toczyło się normalne życie. Każdy, kto mógł wychodził z ukrycia i korzystał z promieni słońca, których tego dnia nie przesłaniały dymy pożarów, ani też dokuczające codziennie kłęby kurzu, wzbijające się w powietrze z walących się z hukiem ścian starych kamienic warszawskich, padających od pocisków niemieckiej artylerii. Co kilkanaście metrów zbierały się grupy warszawiaków. Jedni wypytywali o swoich bliskich, inni dyskutowali o aktualnej sytuacji, szansach i porażkach. Jakaś kobieta z pla-

czem poszukiwała zaginionej córki, a mężczyzna w kraciastej marynarce wypatrywał klienta, który zechciałby kupić prawie nową, skórzaną kurtkę niemieckiego lotnika. Można powiedzieć - prawie normalne życie miasta. Powstańcy przeglądali i czyścili broń, łatali podarte mundury, wymieniali się informacjami, zdobyłym doświadczeniem, lub prowadzili po prostu normalne, luźne rozmowy. Inni korzystali z ciszy i spokoju, a ułożywszy się w miarę wygodnie, odpoczywali lub oddawali się leniwej drzemce. Ktoś opowiadał głośno o wczorajszych walkach, podkreślając zwłaszcza własną rolę oraz zasługi swojego oddziału i wodząc oczyma po zebranym tłumie, szukał świadków gotowych potwierdzić wypowiedane przez nich słowa i wykazać odwagę. Jeszcze inni wspominali przyjaciół i tych, którzy nie tak dawno stali obok w jednym szeregu, ale nie było im dane doczekać dnia dzisiejszego. Przy ścianie jednej z kamienic na rogu ulic Kilińskiego i Podwale odpoczywały dwie młode, osiemnastoletnie, ciemnowłose dziewczyny, które jak magnes przyciągały spojrzenia powstańców. Były to sanitariuszki z batalionu „Gustaw” Zgrupowania „Róg”, Janina Przemieniecka ps. „Jasia” i Barbara Wajszczuk ps. „Basia”. Obie należały do 29. „Tatrzańskiej” Warszawskiej Żeńskiej Drużyny Harcerskiej „Błękitnej”, a obecnie do kompanii „Harcerskiej” wchodzącej w skład wymienionego batalionu. Teraz odpoczywały wraz z całą kompanią, po ciężkich walkach w jakich uczestniczyły przez dwanaście powstańczych dni na ulicach: Ogrodowej, Senatorskiej, Lesznie, Podwale i barykadach Starego Miasta.



Basia

Zajrzyjmy do metryki jednej z dziewcząt. Barbara Wajszczuk, urodzona w Krasnymstawie w 1926 roku, córka Edmunda i Marii z Bieguńskich. Jej ojciec był lekarzem Szpitala Powiatowego w Krasnymstawie. W Warszawie przebywała od półtora roku, a wcześniejszy okres dzieciństwa i dorastania podzieliła między Żółkiewkę i Krasnystaw. Z naszego miasta wyjechała wraz matką i dwoma braćmi Antonim i Wojciechem w 1942 roku. Powodem



Najbliższa rodzina

wyjazdu było narastające niebezpieczeństwo, jakie zaczęło im grozić od chwili zajęcia przez Niemców części ich krasnostawskiego mieszkania znajdującego się przy rynku i ulokowania w salonie oficera gestapo. Podejrzewał on Antka o działalność konspiracyjną i groził wywiezieniem na roboty do Niemiec. Tak naprawdę to nawet się nie mylił, bo już wtedy Antoś chodził na kurs podchorążówki i często wracał do domu już po godzinie policyjnej. Dlatego musieli uciekać. W Warszawie zamieszkali u brata matki - Tadeusza Bieguńskiego i tu zastało ich powstanie. Razem z braćmi już



Antoni



Wojciech

wtedy należeli do konspiracyjnych struktur podziemia, dlatego nie wrócili do Krasnegostawu, ale pomimo młodego wieku, odważnie podjęli wyzwanie i stanęli do walki o honor i ojczyznę. Będąc już w Warszawie, Basia często wspominała swoje siel-

skie i anielskie dzieciństwo spędzone w Żółkiewce i Krasnymstawie, oraz kochanego ojca, który zmarł nagle, prawdopodobnie na zawał serca w swoim prywatnym gabinecie 25 VIII 1943 roku, a który, niczym przysłowiowy doktor Judym, od 1924 roku organizował i rozwijał żółkiewską służbę zdrowia, sprawując funkcję ordynatora oddziału zakaźne-



Szpital w Żółkiewce i personel

go - filii Szpitala Powiatowego w Krasnymstawie. Prowadził także praktykę prywatną i był ogólnie znany z fachowości, bezinteresowności i oddania chorym. Pamięta z jakim szacunkiem miejscowi mówili o jej ojcu, który w ich pamięci wpisał się złotymi zgłoskami. W 1936 roku razem z matką i braćmi przenieśli się do Krasnegostawu, gdzie Basia i Wojtek zaczęli uczęszczać do Szkoły Powszechnej im. Adama Mickiewicza (dzisiejsza „jedyńska”). W szkolnej drużynie im. Emilii Plater zaczęła się jej przygoda z harcerstwem, która później doprowadziła ich na barykady walczącej Warszawy. Późną jesienią 1939 roku wznowiono zajęcia szkolne. Basia zaczęła uczęszczać do siódmej klasy, lecz ze względu na to, że dzieci w wieku 14 lat podlegały wywózce na roboty do Niemiec, ich klasę szybko zamknięto. Mieszkając w Krasnymstawie, bardzo tęsknili za ojcem i często go odwiedzali w Żółkiewce, gdzie dalej pracował i mieszkał w ich małym, drewnianym domu, który wspominają tak miło. Niestety, w wielkim pożarze, jaki miał miejsce 21 maja 1938 roku spaliła się większość zabudowy Żółkiewki i ich kochany domek, razem ze wszystkim, co mieli. Wówczas ojciec przeniósł się także do Krasnegostawu, obejmując stanowisko lekarza powiatowego i już do śmierci pracował jako ordynator w krasnostawskim szpitalu. A teraz ona, Basia, idąc za jego przykładem, niesie pomoc

rannym powstańcom Warszawy i wie, że ojciec patrzy na nią i jest z niej bardzo dumny. Tego jest pewna. I choć to niebezpieczne, teraz już nie może inaczej. Najchętniej wzięłaby jeszcze stena i z bronią w rękę walczyła ze zniechędzonym wrogiem, by pomścić śmierć ukochanego brata. Kilka dni temu otrzymała tę tragiczną informację, dostarczoną przez listonosza Harcerskiej Poczty Polowej. Antoni zginął już w pierwszych dniach powstania (1 lub 3 sierpnia). Razem z wieloma żołnierzami Zgrupowania „Ruczaj”, do którego należał, zdobyli i bronili skutecznie budynku Departamentu Kawalerii Ministerstwa Spraw Wojskowych przy ulicy Marszałkowskiej. Niemcy ponosili duże straty i nie mogąc odbić gmachu, podpalili go miotaczami. Wszyscy obrońcy zginęli w ogniu. Basia nie mogła się z tym pogodzić. Była z Antka taka dumna. Poszedł w ślady ojca i studiował medycynę na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Zawsze był dla niej przykładem i najlepszym kumplem. Teraz już go nie ma, tak jak nie ma i ojca.



Szpital w Krasnymstawie

Pogrążyła się w zadumie, z której wyrwał ją nagle głośny ryk silnika i zgrzyt czołgowych gaśnic ślizgających się po bruku ulicy. Zerwała się na równe nogi, myśląc w pierwszej chwili,

że to niemiecki atak. Jednak nikt nie uciekał ani nie strzelał, a odgłosy ludzkie dochodzące z głębi ulicy wyrażały raczej radość. Basia usłyszała wyraźnie wykrzykiwane słowa - czołg zdobyty, hurra, chłopcy zdobyli niemiecki czołg! Razem z sanitariuszką „Jasią” wyszły zaciekawione bliżej środka ulicy. Coś mniejszego od czołgu, być może jakiś inny jego rodzaj zbliżało się od ulicy Podwale. Na jego pancerzu siedziała młoda dziewczyna. Czołg zatrzymał się na chwilę i wtedy obstał go rosnący z każdą chwilą tłum ciekawskich. Każdy chciał zobaczyć na własne oczy i dotknąć taką zdobycz. Ludzie przekrzykiwali się nawzajem, relacjonując całe zdarzenie. Okazało się, że niemieckie czołgi Panzer zaatakowały rano jedną z barykad przy placu Zamkowym. Jednak zostały odparte ogniem i obrzucone butelkami z benzyną. Zdobyty czołg stanął w płomieniach, a jego kierowca ratował się ucieczką. Pozostałe niemieckie maszyny wycofały



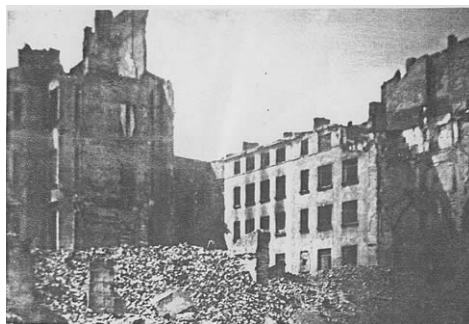
Pozostałości czołgu

się pod wpływem powstańczego ostrzału. Wówczas chłopcy z barykady wyskoczyli i piaskiem ugasili ogień. Mieli zostawić czołg na miejscu i dopiero pod osłoną nocy przeprowadzić zdobycz za barykadę. Ale nie wytrzymali. Teraz jadą honorową rundę od placu Zamkowego, by pokazać wszystkim taką zdobycz. Tłum ciekawskich coraz bardziej gęstniał. Czołg powoli i z trudem posuwał się naprzód. Dochodziła godzina osiemnasta, gdy maszyna dojeżdżała do zbiegu ulic Kilińskiego i Podwale. Tu pokonała niewielką barykadę i wówczas z pancerza czołgu zsunęła się umieszczona tam metalowa skrzynka, spadając na ziemię. Basia zrobiła krok do przodu i wsparła się na ramionach koleżanki, by lepiej widzieć całe zdarzenie. I wtedy stało się coś dziwnego. Podmuchało powietrze odrzu-

cił ją z wielką siłą ku zabudowaniom i powalił na ziemię. Nastąpiła ciemność. Nie słyszała już nic. Tępy ból przeszywał całe ciało. Czuliła swąd spalonej skóry. Powoli zaczynała widzieć, lecz obraz stawał się czerwony od krwi zalewającej jej oczy. Z trudem wstała i prawie po omacku zaczęła iść w kierunku bramy najbliższej kamienicy. Starła się odszukać wzrokiem „Jasię”, ale nadaremno. Narastający ból uniemożliwił dalsze kroki. Świat zawirował i pociemniał. Upadła, straciwszy przytomność. Nastąpiła długa, niczym niezmącona, wszechwładna cisza i nieskazitelną spójność. Czas chyba stanął lub przestał jej dotyczyć, a wszystkie prawa fizyki też już nie obowiązywały. Coś jakby całkowity niebyt, ale obejmujący wyłącznie jej cielesność. Bo przecież umysł nadal pracował, a ona myślała lub może raczej myślała, że myśli. Nagle czas chyba ruszył ponownie. W czymś, czego nie można było nazwać ciemnością, z wolna zaczął pojawiać się jakiś biały punkt rozszerzający się z każdą kolejną chwilą i przechodzący w niezbyt intensywną jasność, w której pojawiały się bliżej nieokreślone i coraz bardziej widoczne cienie. Tak, wyraźnie rozpoznawała ten obraz. Widziała go często i od dawna, odkąd tylko sięga pamięcią. Ich dom w Żółkiewce i ojciec biorący w rękę swoją małą, podręczną walizeczkę lekarską i wychodzący w środku nocy lub o świcie z nieznanymi ludźmi, wzywającymi go do chorego. Widząc, że się obudziła i nie śpi, podchodził do niej przed wyjściem z domu i całował w policzek. Kochany tata. Antek, który w ich warszawskim mieszkaniu pochylał się nad nią i cierpliwie ćwiczył podstawowe zasady udzielania pierwszej pomocy, rozszerzając jej medyczną wiedzę zdobytą w domu i na konspiracyjnym kursie sanitariuszek. A ten trzeci to kto? Basia wyostrza wzrok. Ach to przecież Wojtek, który jak zwykle w biegu łapie ze stołu kanapki i pędzi gdzieś z kolegami z podwórza. Nigdy nie ma czasu, więc tylko się uśmiechnął i pomachał ręką. Słyszeli kościelny dzwonek. To brat ojca, stryj Karol będący księdzem, przyszedł do niej z Komunią Świętą. Ciało Chrystusa. Amen. Ktoś ją chyba woła. Tak, to głos matki, który słyszy coraz wyraźniej - Basia, wracaj, córeczko! - tylko dlaczego matka płacze? Powoli otworzyła oczy. Od kilku dni leżała nieprzytomna w powstańczym szpitalu przy ulicy Kilińskiego 1/3, dokąd trafiła z ciężkimi ranami doznanymi

w wyniku wybuchu czołgu-pułapki. Obok leżała jej koleżanka, sanitariuszka „Jasia” - też ciężko ranna. Lecząc swe obrażenia, w kolejnych dniach pobytu w szpitalu dowiadywała się coraz więcej szczegółów o tym tragicznym zdarzeniu. Okazało się, że to nie był czołg, ale stawiacz min przeznaczony do niszczenia barykad. Uzbrojony w skrzyniowe ładunki wybuchowe o wielkiej sile rażenia, eksplodował w tłumie wiwatujących powstańców i cywili. Zginęło ponad trzysta osób, w tym duża liczba powstańców z kompanii „Harcerska”, którzy stacjonowali wówczas nieopodal miejsca zdarzenia. Eksplozja była tak wielka, że szczątki zabitych znajdowano na dachach pobliskich kamienic. Dokładnej liczby ofiar tego potwornego wybuchu nie poznamy już nigdy. Po niektórych nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Tych, co przeżyli uważano za szczęściarzy. I Basia za taką szczęściarę też się uważała. Wychowana w rodzinie lekarskiej, z pełną świadomością podchodziła do doznanych urazów i swojego stanu zdrowia, ale widziała szansę wyzdrowienia. Najgorsze było to, że doznane oparzenia tak bardzo bolały, bardziej od głębokich ran po odłamkach, no i tak powoli się goją. Szkoda, bo nie zdąży już walczyć. Przecież powstanie nie potrwa długo. Sowici są na Pradze, a żołnierze polscy dokonują stałych desantów przez Wisłę i wspomagają naszych chłopców. Ciekawe gdzie teraz walczy Wojtek i jak ten dumny, najmłodszy powstaniec w rodzinie sobie radzi - uśmiechnęła się na myśl o bracie, bo przecież nie wiedziała, że on zginął już drugiego dnia powstania, tak jak nie wiedziała o stryju Karolu zamordowanym w obozie w Dachau. I tylko ten czas w szpitalu, tak bardzo się wlecze. Wydaje się, że leży tutaj już tak długo, a to raptem tylko trzynaście dni, bo przecież dziś jest 26 sierpnia. Zza okna dobiegały nieustające odgłosy walki i warkot niemieckich samolotów. A może to Sowici ruszyli? - pomyślała. Wtem ziemia się zatrzęsała i duszący pył wypełnił całe pomieszczenie. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Poczula tylko ten okropny ból i ciemność...

Barbara Wajszczuk ps. „Basia” zginęła 26 VIII 1944 roku w wyniku nalotu niemieckiego lotnictwa, w podziemiach zbombardowanego szpitala powstańczego batalionu „Gustaw”. Jedna z bomb trafiła w budynek i od razu zawaliła kilka pięter. Sanitariuszki zdążyły wynieść do schronu



Zbombardowany szpital

pewną grupę Iżej rannych. Ze znajdującymi się na I piętrze ciężko rannymi, pozostała dobrowolnie 16-letnia sanitariuszka Halina Maria Soroczyńska ps. „Srocza”. Walące się w następnych minutach mury budynku zasypały ją i wszystkich rannych. Pod gruzami zginęła też sanitariuszka „Jasia”. Basia została pochowana na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w kwaterze powstańczej A-25. Jej nazwisko upamiętniono też na płycie symbolicznego grobu batalionu „Gustaw” znajdującego się na tym samym cmentarzu w kwaterze B-24. Razem z braćmi oddała swoje młode życie Bogu i Ojczyźnie.



Napis na murze zniszczonego szpitala

Pisząc to krótkie wspomnienie o „Basi” i jej braciach - powstańcach warszawskich, oraz wspominając rodzinę Wajszczuków mieszkających w Krasnymstawie, nie mogę pominąć pewnego współczesnego już faktu. Otóż ojciec Basi, Edmund Wajszczuk, jak już wspomniałem, był przysłowiowym doktorem Judymem na terenie naszego powiatu, a dokładnie - w Żółkiewce, a i w Krasnymstawie. Razem z miejscowym społecznym działaczem Stanisławem Wroną był

współtwórcą inicjatywy i organizatorem budowy nowego szpitala w Żółkiewce. Była to kontynuacja tradycji szpitalnych sięgających jeszcze 1776 roku, kiedy to Jan i Barbara z Żółkiewskich Kitniowscy ufundowali w Żółkiewce drewniany budynek z przeznaczeniem na szpital-przytułek mogący pomieścić 10 osób. Młodszy brat Edmunda, Lucjusz Wajszczuk zamieszkały w Siedlcach, też był lekarzem, a jego córka Anna, która zgodnie z rodzinną tradycją również studiowała medycynę, wyszła za mąż za lekarza Zbigniewa Religę, twórcę nowoczesnej polskiej kardiologii. 15 sierpnia 1985 roku przeprowadził on pierwszą operację serca, a 5 listopada tego samego roku, kierując zespołem lekarzy, przeprowadził w Wojewódzkim Ośrodku Kardiologii w Zabrze pierwszy w Polsce udany zabieg przeszczepienia serca. Operacja ta była kamieniem milowym w rozwoju polskiej transplantologii, a profesor Religa był sam w sobie szkołą dla ponad połowy polskich kardiologów. Takim to sposobem rodzina Wajszczuków spięta niczym klamrą historię polskiej medycyny, od czasów Judyńskich po odzyskanie niepodległości, aż do pionierskich osiągnięć medycyny w latach współczesnych. I pomyśleć, że gdzieś w tym wszystkim jakąś rolę odegrał Krasnystaw.

Zbigniew Atras

Edmund Wajszczuk

(31.10.1889 - 25.08.1943) pochodził z Siedlec, był jednym z sześciorga dzieci Piotra i Marii z Maciejewskich, jako pierwszy w rodzinie wybrał zawód lekarza, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim, pracę lekarza rozpoczął w Wyróżbach, w 1924 roku razem z rodziną przeniósł się do Żółkiewki, od 1938 lekarz powiatowy i ordynator w szpitalu w Krasnymstawie, działacz podziemia, prawdziwy Judyń krasnostawskiej medycyny, żona Maria z Bieguńskich, dzieci Danuta, Antoni, Barbara, Wojciech.



Karol Wajszczuk (1887-28.05.1942) starszy brat Edmunda, w wieku 6 lat ciężko zachorował, a miejscowi lekarze byli bezradni. Matka, modląc się o zdrowie syna, poświęciła go na służbę Bogu. Karol cudem ozdrowiał, a w 1904 roku rozpoczął studia w seminarium duchownym w Lublinie. W 1909 roku został wikariuszem w Radzynie Podlaskim, a od 1919 roku organizował parafię w Drelowie. W maju 1940 roku, za prowadzoną działalność konspiracyjną został aresztowany przez gestapo i osadzony początkowo na Zamku w Lublinie. Od czerwca 1940 roku przebywał w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, a od grudnia - w obozie w Dachau, gdzie 28 maja 1942 roku zginął śmiercią męczeńską w komorze gazowej.



Lista powstańców warszawskich urodzonych w Krasnymstawie i w powiecie krasnostawskim

1. **Stanisław Anusiewicz** (4.08.1923-11.09.1994) ps. „Ower”, urodzony w Krasnymstawie, syn Antoniego i Władysławy, kapral podchorąży, przydział: VII Obwód „Obroża” (powiat warszawski) Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej - 5. Rejon „Gątyń” (Piaseczno) - pluton 1707.
2. **Anna Berdecka** (26.06.1923-) ps. „Teresa”, urodzona w Krasnymstawie, córka Piotra i Ludwiki, sierżant, przydział: Komenda Główna Armii Krajowej - V Oddział (łączności) - batalion radiotelegraficzny „Iskry” - kompania „Orbis” - grupa „Kampinos”.
3. **Franciszek Bereza** (6.08.1905-31.05.1976) ps. „Fran”, urodzony w Krasnymstawie, porucznik, przydział: II Obwód „Żywiciel” (Żoliborz) Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej - zgrupowanie „Żaglowiec” - pluton 204.
4. **Tadeusz Czerniewski** (16.11.1904-3.08.1966) ps. „Karpowicz”, urodzony w Krasnymstawie, syn Józefa i Józefy, podporucznik, przydział: Warszawski Okręg Armii Krajowej - I Obwód

- „Radwan” (Śródmieście) - 4. Rejon - kompania 41. Wojskowej Służby Ochrony Powstań - batalion „Kiliński” - pluton 411, dowódca drużyny do spraw odbioru zrzutów, walczył w rejonie Śródmieście-Północ, uczestnik walk toczonych w rejonie placu Grzybowskiego, południowego odcinka ul. Królewskiej do ul. Marszałkowskiej, uczestnik szturm na gmach PAST-y przy ul. Zielnej 39, po kapitulacji - jeniec Oflagu VII-A Murnau.
5. **Stefan Dąbrowski** (6.07.1920-) ps. „Bohdan”, urodzony Stary Dwór - Krasnymstaw, syn Antoniego i Janiny z domu Pączkowskiej, plutonowy podchorąży, nr leg. AK 120.124, przydział: Komenda Główna Armii Krajowej - Oddział VI BIP (Biuro Informacji i Propagandy) - oddział osłony WZW (Wojskowych Zakładów Wydawniczych), walczył w rejonie Śródmieście-Północ, po 20.09.1944 - 28. Dywizja Piechoty Armii Krajowej im. Stefana Okrzei - 36. Pułk Piechoty „Legii Akademickiej”, trafił do niewoli niemieckiej, nr jeniecki 222946.
 6. **Lucjan Drygiel** (14.12.1912-) ps. „Powolny”, urodzony w Izbicy, powiat krasnostawski, syn Michała i Marii z domu Kowalskiej, sierżant, przydział: III Obwód „Waligóra” (Wola) Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej - 2. Rejon (Koło-cmentarze) - zgrupowanie kpt. „Hala” - poczet dowódcy, walczył w rejonie Wola-Śródmieście, wyszedł z Warszawy z ludnością cywilną.
 7. **Antoni Dziedzic** (7.06.1909-2.01.1988) ps. „Kalina”, urodzony w Krasnymstawie, plutonowy, przydział: VI Obwód (Praga) Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej - 2. Rejon - zgrupowanie 564, walczył na Pradze.
 8. **Irena Ekstein** (17.09.1922-12.11.1981) ps. „Dorota”, urodzona w Krasnymstawie, kapral, przydział: Armia Krajowa - Grupa „Północ” - odcinek „Kuba”-„Sosna” - batalion „Chrobry I”, walczyła: Wola-Stare Miasto-kanaly-Śródmieście, trafiła do niewoli niemieckiej, nr jeniecki 106506.
 9. **Sabina Eksztajn** (27.10.1920-) ps. „Agnieszka”, urodzona w Krasnymstawie, strzelec, przydział: Armia Krajowa - Grupa „Północ” - zgrupowanie „Róg” - batalion NOW/AK „Gustaw”, walczyła: Wola-Stare Miasto-kanaly-Śródmieście, trafiła do niewoli niemieckiej, jeniec Stalagu IVB Zeithain.
 10. **Stanisław Galle** (20.01.1923-3.10.1988) ps. „Blondyn”, urodzony w Krasnymstawie, syn Władysława i Stanisławy z domu Saba-cińskiej, kapral, przydział: Armia Krajowa - I Obwód „Radwan” (Śródmieście) - 1. Rejon - 3. Zgrupowanie „Konrad” - 3. kompania - pluton 1140, AK - Zgrupowanie „Kryska” - 3. kompania por. „Igora”, walczył na Górnym Czerniakowie, dwukrotnie ranny, przed zajęciem dzielnicy przez oddziały niemieckie przepląnął Wisłę.
 11. **Witold Giełżyński** (9.06.1886-31.12.1966) ps. „Żarski”, urodzony w Krasnymstawie, uczestnik powstania, brak informacji na temat przydziału.
 12. **Tadeusz Jańczak** (10.08.1919-) ps. „Polonia”, urodzony w Krasnymstawie, strzelec, przydział: Warszawski Okręg Armii Krajowej V Obwód (Mokotów) - kompania wartownicza, trafił do niewoli niemieckiej, nr jeniecki 221112.
 13. **Wiktor Jeżo** (17.10.1927-) urodzony w Krasnymstawie, starszy strzelec, uczestnik powstania, brak danych o przydziale, trafił do niewoli niemieckiej, nr jeniecki 222339.
 14. **Stanisław Leśniewski** (10.07.1925-31.08.1944) ps. „Gryf”, urodzony w Krasnymstawie, syn Józefa i Marii Petroneli z domu Lissowskiej, strzelec, przydział: Armia Krajowa Grupa „Północ” - odcinek „Kuba”-„Sosna” - batalion „Chrobry I” - grupa specjalna por. „Lisa”, walczył na Starym Mieście, poległ w czasie bombardowania kwater batalionu w Pasażu Simonsa przy ul. Nalewki 2a.
 15. **Jan Kulczycki** (25.05.1922-3.11.1985) ps. „Sas”, urodzony w Krasnymstawie, kapral podchorąży, oddział „Baszta”, kompania B-3.
 16. **Romuald Kupiec** (28.03.1909-) ps. „Rom”, urodzony w Żółkiewce, powiat krasnostawski, syn Piotra i Marii, strzelec, przydział: „Ruczaj” - 3. kompania „Elektrownia” - pluton 3.
 17. **Wacław Około Kułak** (6.06.1922-) ps. „Woka”, urodzony w Krasnymstawie, syn Piotra i Anastazji z domu Pieczoro, kanonier, przydział: ochotnik - NSZ - brygada zmotoryzowana - dywizja artylerii „Młot”, walczył: Stare Miasto-Śródmieście, szpital.

18. **Janusz Radomyski** (24.02.1922-15.04.2001) ps. „Cichy”, urodzony w Krasnymstawie, plutonowy podchorąży, przydział: „Obroza” - 5. Rejon - pluton 1713 - Oddział „Mokotów” - kompania „Krawiec”.
19. **Mieczysław Stelmach** (31.03.1921-) ps. „Górny”, urodzony w Zagrodzie, powiat krasnostawski, syn Filipa i Anastazji z domu Żołnacz, strzelec, przydział: „Kiliński” - 4. kompania - pluton 171 - oddział „Kiliński”, walczył: Wola-Stare Miasto.
20. **Sławomir Maciej Szymański** (1.08.1920-) ps. „Maciek”, urodzony w Krasnymstawie, syn Bronisława i Wincentyny z domu Jankowskiej, podporucznik, przydział: Okręg - szef. sap.
21. **Henryk Świątkowski** (4.01.1913-) ps. „Białobrzeki”, „Wojciech”, urodzony w Tarnogórze, powiat krasnostawski, przydział: Obwód Rawa Mazowiecka - oddział „Żywiciel” - „Żyrafa” - dowódca plutonu.
22. **Julita Teresa Turek** (17.02.1929-2.02.1995) ps. „Jaskółka”, urodzona w Bartoszowie, gmina Izbica, powiat krasnostawski, córka Romualda i Jadwigi z domu Wojewódzkiej, sanitariuszka, przydział: ochotniczka - „Bakcył” - szpital na ul. Hożej 8, ul. Piusa 24 i ul. Śniadeckich 17.
23. **Barbara Wajszczuk** (1926-26.08.1944) ps. „Basia”, „Baśka”, urodzona w Krasnymstawie, córka Edmunda i Marii z domu Bieguńskiej, uczennica Szkoły Powszechnej im. Adama Mickiewicza w Krasnymstawie i harcerka szkolnej drużyny im. Emilii Plater, sanitariuszka, przydział: Armia Krajowa Grupa „Północ” - batalion „Gustaw” - kompania „Harcerska”, walczyła na Starym Mieście, ranna w wybuchu czołgu-pułapki, zginęła pod gruzami zbombardowanego przez Niemców szpitala powstańczego na ul. Kilińskiego, pochowana na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w kwaterze A-25
24. **Wojciech Wajszczuk** (1929-2.08.1944) ps. „Wojtek”, urodzony w Krasnymstawie, syn Edmunda i Marii z domu Bieguńskiej, harcerz, członek Bojowej Szkoły Szarych Szeregów, przydział IV Obwód Armii Krajowej „Ochota” Okręg Warszawa - pluton piechoty BS, w trakcie przebijania się oddziałów Ochoty do lasów sękocińskich trafił do niewoli, rozstrzelany przez Niemców pod Pęcicami i tam pochowany we wspólnej mogile w miejscowym parku.
25. **Witold Wdowicki** (21.08.1926-) ps. „Rom II”, urodzony w Krasnymstawie, starszy strzelec, przydział: oddział „Wigry”.
26. **Antoni Wajszczuk** (24.06.1924-3.08.1944) ps. „Toni”, urodzony w Sokołowie Podlaskim, zamieszkały przed wyjazdem do Warszawy w Żółkiewce i w Krasnymstawie, syn Edmunda i Marii z domu Bieguńskiej, strzelec, przydział: Armia Krajowa - VII zgrupowanie „Ruczaj” - 3. kompania - pluton 135, walczył w Śródmieściu-Południe, zginął w płomieniach, broniąc budynku Departamentu Kawalerii Ministerstwa Spraw Wojskowych przy ul. Marszałkowskiej 24/26, pochowany we wspólnej mogile Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie w kwaterze A-27. Odznaczony Warszawskim Krzyżem Powstańcy.
27. **Ryszard Liskowacki** (12.07.1932-16.12.2006) urodzony w Warszawie, syn Romana i Stanisławy z domu Borowej. Początkowo zamieszkały przy ul. Marii Kazimierzy w Warszawie, a po wojnie przy ul. Buczka (obecnie Czystej) w Krasnymstawie. W roku 1954 na stałe osiadł w Szczecinie. W powstaniu warszawskim jako harcerz Szarych Szeregów pełnił rolę łącznika w rejonie Marymontu. Znany jako autor powieści m.in. dla młodzieży, których akcja rozgrywa się w Krasnymstawie. W Szczecinie m.in. redaktor naczelný lokalnego ośrodka TVP, miesięcznika „Spojrzenia” i tygodnika „Morze i Ziemia”. Dwukrotnie prezes Szczecińskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Lista powstała w oparciu o informacje przedstawione przez Muzeum Powstania Warszawskiego i zawiera dane osób walczących w powstaniu i urodzonych w Krasnymstawie lub w powiecie krasnostawskim. Nie jest to lista osób zamieszkałych w naszym mieście, a urodzonych w innych miejscowościach (wyjątek - Antoni Wajszczuk oraz Ryszard Liskowacki) i biorących udział w powstaniu.

Teresa Borkowska-Wójtowicz

Oni są cały czas ze mną



Moje wspomnienia o pewnej bohaterskiej zaprzyjaźnionej rodzinie sięgają 1936 roku, kiedy to do Szkoły Podstawowej im. A. Mickiewicza w Krasnymstawie przyszła nowa koleżanka Basia Wajszczuk. Miała jeszcze dwóch braci. Szybko zaprzyjaźniliśmy się z całą trójką, tym bardziej, że nasze mieszkania dzieliła wąska uliczka i wystarczyło tylko stanąć w oknach, aby można było swobodnie rozmawiać.

System wychowawczy w obydwu domach był jednakowy. Szkoła, lekcje, a po nich czas wolny. Musieliśmy się podporządkować zwyczajom rodziców, a więc można się było bawić ze wszystkimi dziećmi, nawet żydowskimi, natomiast do domu wolno nam było zapraszać tylko dzieci z domów zaprzyjaźnionych. Nasi rodzice Borkowcy i Wajszczukowie bliżej poznali się w Klubie Inteligencji, w którym spotykali się wieczorami. Świat tej grupy stanowili ludzie z wyższym wykształceniem i ziemianie z okolicznych dworów. W klubie panowie dyskutowali najczęściej na tematy polityczne, grali w brydża, pokera, panie - w remika i makao. Tańczono, plotkowano i flirtowano. Wiele osób zajmowało się pracą charytatywną w PCK,



Rok 1937, zbiórka pieniędzy na PCK, w tle restauracja Ratajskiego w Krasnymstawie (obecnie na placu 3 Maja). Od lewej - doktorowa Wajszczukowa (w kapeluszu), stoją: Danuta Wajszczukówna z moim bratem Kaziem Borkowskim (zm. w 1942 r.) i dr Wajszczuk. Pośrodku siedzi adwokat Paweł Wisz (rozstrzelany przez Niemców w Kumowej Dolinie), po prawej stronie moja matka Zofia Borkowska, a obok niej mój drugi brat Józef Borkowski

Akcji Katolickiej, a także bezinteresowną opieką nad przedszkolem na jego częściowe utrzymanie. Na te cele urządzano zbiórki pieniędzy, bale, loterie. Wyłącznie męskimi stowarzyszeniami były Liga Morska i Kolonialna, Sokół, Strzelec. Dzięki współpracy tych organizacji została wybudowana nad Wieprzem przystań kajakowa. My, dzieci, często zbierałyśmy opakowania po czekoladzie i cukierkach, tzw. „sreberka”, z których robiło się kule. Oddawaliśmy je do księdza prefekta Stanisława Ciołka z przeznaczeniem dla Murzynków. Akcją tą byłyśmy bardzo przejęte, wierząc, że taka kula sreberka może ocalić tamte dzieci przed głodem lub ciężką pracą.

Przyjaźnie dorosłych były różnej zażyłości. Nikt jednak nigdy nie pozwolił sobie na zbyt dużą poufałość, tykanie, mówienie sobie po imieniu, nawet po wielu latach znajomości. Zawsze panował racjonalny dystans. Szanowano się. Imieniny obchodzono w dużej grupie przyjaciół i znajomych. Nie wolno było przynosić w prezencie alkoholu - to obrażało gospodarza. Podarunkami zazwyczaj były książki, dla pań - kwiaty i inne drobiazgi, ale nie przynoszono ich osobiście. Rano, w dniu uroczystości prezent z wizytówką zanosila służąca lub Piotruś gazeciarz. Po przyjęciu, dyskretnie zostawiano pieniądze dla służącej.

Święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy obchodzono w gronie rodziny. Drugi dzień świąt należał już do wizyt przyjaciół. Muszę dodać ciekawostkę z dawnych czasów, której i ja się podporządkowałam. Lekarz, czy stomatolog osiedlający się w nowym miejscu zamieszkania, zapraszał wszystkich pracujących już tam lekarzy i stomatologów na przyjęcie. Ponadto my w Krasnymstawie w drugi dzień świąt obchodziliśmy lekarzy z życzeniami, rozpoczynając wizyty od najstarszych. Była wśród nich dr Irena Czarnecka i dr Ignacy Abramczewski. Okazywaliśmy im w ten sposób szacunek. Z czasem zwyczaj ten zaniknął, a szczególnie gdy powiększyło się grono młodych „mądrali”.

Powracając do wspomnień o rodzinie Wajszczuków, warto podkreślić, że należała ona do polskiej elity. Wśród ich rodzinnego grona dominowali lekarze i księża. Dr. Wajszczukowie byli ludźmi szlachetnymi, mądrymi, inteligentnymi. Dom ich emanował miłością, ciepłem i radością. Byli patriotami i w takim duchu wychowywali swoje dzieci.



Krasnystaw 11 listopada 1938 roku. Drużynowa Teresa Borkowska prowadzi drużynę im. Emilii Plater ze Szkoły Podstawowej im. Adama Mickiewicza. Barbara Wajszczukówna w drugim rzędzie w płaszczu z futrzanym kołnierzem. Defiladę odbiera starosta krasnostawski Olejniczakowski, który zginął w 1939 r. Trybuna znajduje się obok Domu Nauczyciela przy dzisiejszej ul. dr. Jana Matysiaka

Gdy w sierpniu 1939 roku, jako drużynowa dostałam zadanie zastąpienia przez harcerki urzędników starostwa ewakuowanych przez Niemców na Wschód, moją zastępczynią została Basia Wajszczukówna. Pracowałyśmy w kancelarii starosty Olejniczakowskiego, pełniąc dziesięciogodzinne dyżury. Praca nasza polegała na zapisywaniu petentów na wizytę u starosty. Starosta wydawał wówczas talony na benzynę, a ta decydowała często o życiu ludzi. Rynek pełen był aut porzuconych właśnie z braku paliwa.



Krasnystaw 4 maja 1940 roku. Skwerek (rynek). Od lewej - Teresa Borkowska (ur. 30.05.1927) i Barbara Wajszczukówna (w ciemnym płaszczu)

W ciągu dwóch godzin moja rodzina została (mało powiedziane eksmitowana) - po prostu wyrzucona ze swojego mieszkania przez Niemców. Zamieszkałam u dr. Wajszczuków. Doktor rano szedł do pracy w szpitalu, wracał na obiad, po którym przyjmował chorych w swoim gabinecie. Był cenionym lekarzem. Poczekalnia zawsze była pełna pacjentów.

W czasie okupacji życie w naszych domach przebiegało jednakowo. Starania o jedzenie i rodzinę, lęk przed aresztowaniem. Bieda. Handel wymienny ze wsią. My uczyliśmy się w prywatnych mieszkaniach, mieliśmy swoje „kółka”. Gdy Niemcy rozpoczęli aresztowania w Krasnymstawie, a nam zmniejszono naszą „powierzchnię życiową”, zabierając pokój dla rodziny z poznańskiego, ojciec mój, który był adwokatem w Turobinie (jako były sędzia krasnostawski przez cztery lata nie mógł mieć kancelarii w miejscu poprzedniej pracy) zabrał nas do Turobina. Tam, w 1943 roku dowiedziałam się o śmierci dr. Wajszczuka. Przyjechałam do Krasnegostawu już po pogrzebie, aby po raz ostatni spotkać swoich przyjaciół. Pani Wajszczukowa, Danusia i Basia, miały żałobne ubrania, którymi byłam bardzo zaskoczona. Ich czarne suknie sięgały ziemi, a twarze przesłonięte były takiegoż samego koloru woalkami. Basia wyjaśniła, że ten strój to tradycja rodzinna i nosi się go czterdzieści dni.

Minęło wiele lat. Nie jeżdżę do nich na cmentarz. Nie szukam ich tam. Oni są cały czas ze mną.

*Teresa Borkowska-Wójtowicz
Warszawa-Włodawa 24 VII 2011*



Kurak
rys. Benek Homziuk

Artur Borzęcki

Krasnostawskie wątki
w biografii Franciszka
Przysiężniaka (1909-1975)
ps. „Ojciec Jan”



W powojenną historię Polski wpisanych jest szereg życiorysów „żołnierzy wyklętych”. Do najbardziej znanych partyzantów z okresu tzw. drugiej konspiracji bez wątpienia należy Franciszek Przysiężniak ps. „Ojciec Jan”. Postać ta szczególnie jest znana i pamiętana na terenach swej działalności, m.in. na północnej Rzeszowszczyźnie czy w Janowie Lubelskim (jest tam ulica Ojca Jana). Znacznie mniejszą wiedzę o nim dysponują mieszkańcy ziemi krasnostawskiej, a przecież stąd pochodził oraz uczestniczył w konspiracji podczas okupacji niemieckiej.

Franciszek Przysiężniak ps. „Jan”, „Ojciec Jan”, „Marek”, porucznik Wojska Polskiego, żołnierz podziemia niepodległościowego, oficer Narodowej Organizacji Wojskowej i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego urodził się 22 listopada 1909 r. w Krupem, w domu Antoniego i Antoniny z d. Kleszowskiej. Szkołę powszechną ukończył w Krupem, a następnie rozpoczął naukę w gimnazjum w Krasnymstawie. Maturę uzyskał w Brodnicy na Pomorzu, gdyż w te okolice (wieś Sumówko) przenieśli się jego rodzice, kupując niewielkie gospodarstwo rolne. Praktykę wojskową rozpoczął służbą w 16. Pułku Artylerii Lekkiej w Grudziądzu. W latach 1931/1932 ukończył kurs VI w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, otrzymując stopień podchorążego. Poza Przysiężniakiem (16. PAL) absolwentami z 7. Baterii kursu byli też, m.in.: Paweł Sadlak, Jan Młynarczyk - obaj z Krasnegostawu, Jan Stefańczyk z Niemienic czy Wacław Berus z Żółkiewki - wszyscy wcześniej służący w 3. PAL. Po służbie pracował w Gdyni, działał też w Związku Oficerów Rezerwy. W kwietniu 1939 r. wrócił do Grudziądza na



służbę, gdzie zastał go wybuch II wojny światowej. Wziął udział w kampanii wrześniowej, w dniu 28 września 1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej pod Tomaszowem Lubelskim. W Ostrowcu Świętokrzyskim, przy pomocy mieszkańców miasta udało mu się zbiec z konwoju do Niemiec. W mieście tym przez pewien czas ukrywał się pod nazwiskiem Jan Chmielewski, nawiązał też kontakt z organizacją podziemną, najprawdopodobniej Korpusem Obrońców Polski, gdzie też został zaprzysiężony. W KOP był od końca 1939 do 1940 r., następnie - zagrożony aresztowaniem - powrócił w rodzinne strony.

W czerwcu 1940 r. przybył do wsi Topola w gminie Izbica do wuja Pawła Kleszowskiego. Na przełomie czerwca i lipca spotkał w Krasnymstawie nauczycielkę Matyldę Stadnik z Krupego, która skontaktowała go z Eugeniuszem Zarębińskim. Zarębiński, przedwojenny kapral WP i instruktor szkoły łączności w Krasnymstawie, wyjawiał Przysiężniakowi, że należy do organizacji wojskowej związanej ze Stronnictwem Narodowym. Według kwestionariusza osobowego sporządzonego przez bezpiekę, na członków organizacji Stronnictwo Narodowe opisanej w tzw. Charakterystyce nr 151, Przysiężniak w listopadzie 1940 r. wstąpił w Krasnymstawie do SN. W literaturze z okresu PRL Przysiężniaka wymienia się jako endeka z przekonania i aktywnego działacza SN, choć jak pisze np. Stanisław Puchalski, on sam zaprzeczał jakoby kiedykolwiek był narodowcem lub chociażby udzielał się politycznie. Pamiętać również trzeba, że SN w powiecie krasnostawskim, słabe organizacyjnie przed wojną, w omawianym okresie było dodatkowo w fazie rozbitcia, a prezes powiatowych struktur, adwokat Paweł Wisz zginął rozstrzelany przez Niemców 3 lipca 1940 r. w Kumowej Dolinie w ramach Akcji AB. Tak więc Przysiężniak wstąpił w szeregi, ale raczej zbrojnego NOW, a nie politycznego SN i dostał polecenie organizacji trójki na terenie Topoli. W pierwszej połowie 1941 r. sformował trójkę w składzie: Józef Hartanowicz i dwaj NN. Po zorganizowaniu tej komórki został mianowany przez Komendę Powiatową na stanowisko Komendanta Rejonu Izbica. Funkcję tę sprawował ok. rok, po czym został przydzielony do pomocy organizacyjnej powiatu krasnostawskiego. W literaturze przedmiotu Przysiężniak bywa także okre-

ślany komendantem Komendy Powiatowej NOW w Krasnymstawie, a także dowódcą oddziału dywersyjnego NOW. Działalność Przysiężniaka na terenie gminy Izbica, a konkretnie w okolicach Orłowa i rzeki Wolicy, potwierdził w zeznaniach ówczesny komendant NOW w Krasnymstawie Tadeusz Zieliński „Wujek”, „Dyzma”.

Z końcem lata 1942 r. Przysiężniak został zatrzymany przez Niemców w Wysokiem. Po tygodniowej odsiadce w areszcie, zbiegł przy pomocy kolegów z organizacji, ale w tej sytuacji na terenie powiatu krasnostawskiego pozostać nie mógł. Na początku listopada 1942 r., za pośrednictwem łącznika, dzierżawcy fabryki wody sodowej w Krasnymstawie, otrzymał rozkaz od Komendanta Okręgu Lubelskiego NOW Adama Mireckiego „Adaś”, by udać się do lasów w okolicach Biłgoraja i tam stworzyć oddział leśny NOW. Wkrótce jego scalony już oddział NOW-AK operujący w Lasach Janowskich był jedną z najlepiej wyposażonych jednostek tego typu w całym polskim podziemiu. Przysiężniak działał bardzo aktywnie, wziął udział w największej bitwie partyzanckiej z Niemcami na ziemiach polskich na Porytowym Wzgórzu. Po wkroczeniu Armii Czerwonej, zmuszony był ukrywać się. W dniu 6 maja 1945 r. osobiście dowodził zgrupowaniem Narodowego Zjednoczenia Wojskowego w walce z NKWD pod Kuryłówką, jedną z największych bitew polskiego podziemia antykomunistycznego. Powszechnie uważa się, że „Ojciec Jan” działał w strukturach NOW-AK oraz NZW, pojawiają się również tezy, o czym pisał ostatnio Mieczysław Samborski, o organizacyjnej przynależności Przysiężniaka do NSZ, wykluczające tym samym jego udział w scalonym AK. Celem niniejszego tekstu nie jest rozstrzygnięcie takich kwestii, ale takim „śladem eneszetowskim” może być np. fakt, iż na początku kwietnia 1945 r. Tadeusz Dubaj „Sęk” (nawiasem mówiąc również pochodzący z ziemi krasnostawskiej, a konkretnie z Piask Szlacheckich), łącznik Okręgu Lubelskiego NSZ wyjechał z Lublina z rozkazami do powiatu Biłgoraj z zadaniem dostarczenia zarządzeń „Ojcu Janowi”. Kurier nie dotarł do celu, ponieważ 11 kwietnia został aresztowany, a w kierownicy roweru, którym jechał, UB znalazło 2 zarządzenia organizacyjne. Również we wspomnianej Charakterystyce nr 151 czytamy, że od wyzwolenia do

czerwca 1945 r. Przysiężniak dowodził oddziałem podporządkowanym Okręgowi Rzeszowskiemu NSZ. Tak czy inaczej, jako wróg władzy ludowej, wciąż zagrożony aresztowaniem przeniósł się na północ kraju. Mianowany został komendantem okręgu XIII Pomorze NZW, obejmującym województwo bydgoskie. W okresie sierpień-grudzień 1945 r. 40-osobowy oddział „Ojca Jana” działał w pow. Brodnica i Wąbrzeźno. W dniu 15 maja 1946 r. został aresztowany i skazany na 4 lata więzienia. Wyszedł po amnestii w 1947 r., a 3 września 1948 r. został ponownie aresztowany i skazany oraz osadzony w więzieniu we Wronkach. Zwolniony został 24 grudnia 1954 r., zamieszkał wraz z rodziną w Jarosławiu przy ul. Marchlewskiego. Pracował w Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Społem” oraz w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego w Szewsku. Zmarł 30 września 1975 r. w Jarosławiu i pochowany został na tamtejszym Cmentarzu Starym przy alei głównej w kw. nr 13. Był dwukrotnie żonaty, z Janiną Oleszkiewicz (zabita w 1945 r. przez UB) i Eugenią Trojniąk.

Jako major AK, został pośmiertnie awansowany w 1989 r. do stopnia pułkownika Polskich Sił Zbrojnych. Za męstwo na polu walki odznaczono go Orderem Virtuti Militari V klasy i Krzyżem Armii Krajowej. W 1992 roku, na wniosek żony Eugenii, wydany na niego w 1949 r. wyrok sądowy został unieważniony.

Artur Borzęcki

Źródła i literatura w wyborze:

1. *Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Lublinie: sygn. 08/262 t. 2; sygn. 06/355; sygn. 0136/246.*
2. Puchalski S., *Partyzanci „Ojca Jana”, Stalowa Wola 1996.*
3. Samborski M., *Działalność Narodowej Organizacji Wojskowej oraz Oddziału „Ojca Jana” w strukturach Narodowych Sił Zbrojnych na terenie ziemi leżajskiej, „Rocznik Przemyski” 2010, z. 4, s. 129-164.*
4. *Trzeci Rocznik Pamiątkowy Szóstego Kursu Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerji we Włodzimierzu 1931/32, Włodzimierz [Wołyński] 1931-1932.*

Jerzy Bolesław Sprawka

Niepokoje

W setną rocznicę urodzin Józefa Czechowicza

ciekawski kogut
z Trynitarzkiej wieży
zapachem akacji pijany
zagląda w okna
dusznych sypialni nowożeńców

odpędza skrzydłem
spadające na rzęsy zmęczenie
i grzebie w lepkich
młodzieńczych snach

typie

a wiersze nieskończoność
w niedopalkach
od Podwala
na zielono dymią
pełzną w gęstwinie dzikiego bzu
nadsłuchują
jak noc stęka na czworakach
i rozpina gwiezdne guziczki
letniej sukienki
nad Lublinem

Próba rozejmu

oddzielmy wreszcie
od mięsa ten nóż
co we mnie
i w ciebie po rękojeść wróć

bezzadna nasza miłość
tuli się teraz
po łąkach wrzosowiskach
hotelowych pokojach
parkowych alejach
miedzach pośród zbóż
w poszukiwaniu łanów
maków czerwonych jak pierwsza krew

niewiarygodna cisza i smutek

w kielichu dzwonu
z wyrwanym sercem

gdy przebrzmiał ostatni gong
wirują donośne echa
wyrzucanych w ekstazie słów
zachwytych wulgarnych
i przekleństw

ty przecież każdy schodek
we mnie
i ciemne korytarze mózgu znasz
więc czemu milczysz

gdzie twego milczenia kres

popatrz
w buzi Ani niedźwiadek zasypia
w tobie szczygiel zaczyna się tłuc
we mnie się budzą złotodziobe kosy

chodź
bez żalu
zakopimy ten nóż



*Jerzy Bolesław Sprawka,
Z kwarantanny (wiersze),
Polihymnia, Lublin 2010,
ss. 93.*

Jerzy Bolesław Sprawka urodził się 31 października 1941 roku w Lublinie. Jako poeta, swój debiut prasowy miał w 1960 roku. Bardziej znany jako prozaik i eseista, autor tryptyku powieściowego, monografii poświęconej żołnierzo-
wi Armii Krajowej i kilku antologii poetyckich, m.in. „Jak ojczyźnie służyć”. Poetycki debiut książkowy, z którego pochodzą prezentowane wiersze, miał miejsce dopiero w pięćdziesiątą rocznicę twórczości autora. Jerzy B. Sprawka jest laureatem Nagrody im. W. Hulewicz (2004), Nagrody Kulturalnej Województwa Lubelskiego (2005). Odznaczony Medalem Prezydenta Miasta Lublina (2007), Złotym Krzyżem Zasługi oraz Srebrnym Wawrzynem Literackim. Jest także aktywnym członkiem wielu stowarzyszeń kulturalnych.



Zbigniew Cimek

we współpracy z
Elżbietą Kmieć



Filozof z Jarów Tarnogórskich

Jest cechą charakterystyczną dla życia naszego, że celowo i świadomie poświęca ono rzeczywistość mirażom...

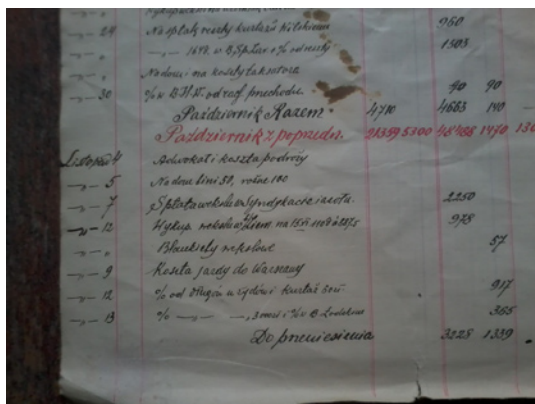
Czesław Konczewski

Kilka kilometrów na południowy wschód od Izbicy, nad malowniczym wąwozem w głębi lasu, odnaleźć można kilka cementowych schodków - ostatni ślad po stojącym tu przed laty dworku. Kilkanaście lat temu, w czasie spacerów z żoną po okolicy, zawędrowaliśmy w to tajemnicze i niezwykle miejsce. Kiedy wyszliśmy z gęstego lasu, zobaczyliśmy walące się ściany z trudem podtrzymujące przeciekający dach. Pomimo uczucia chłodu i wilgoci zmieszanych z zapachem wapna odpadającego ze ścian, ostrożnie weszliśmy do środka, uważając na odpadające fragmenty walącego się dachu. Na podłodze były porzucane kartki, pożółkłe gazety i kilka poplamionych dokumentów. Gabi wygrzebała z gruzu starą butelkę. Podniosłem z podłogi brudną kopertę zaadresowaną: *Pan Inż. Czesław Konczewski Jary 38b Izbica n/Wieprzem*. Tak dowiedzieliśmy się, w czym domu złożyliśmy „wizytę”. Przeglądaliśmy porzuczone rękopisy. Większość to były teksty w języku francuskim, które na wiele lat wzbudziły w nas ciekawość i dały początek poszukiwaniom. Kim był mieszkający w głębi lasu autor, o czym pisał i czy kiedykolwiek opublikował swoje dzieła?

Lasy łączące Izbicę ze Stryjowem pierwotnie należały do dóbr hrabiego Feliksa Smorczewskiego, zamieszkującego okazały pałac w Stryjowie. Sprzedał on część nieużytków przybyłej w te strony rodzinie Konczewskich. Żeby zmienić las w ziemię uprawną, nowi właściciele wynajmowali pracujących w pocie czoła okolicznych chłopów do karczowania i wycinki drzew. Na wzniesieniu z widokiem na głęboki jar zbudowano dworek, ciekawie komponujący się z krajobrazem. Mówiono,

że Smorczewski, widząc efekty tej ciężkiej pracy, żałował później odsprzedanej ziemi.

Czesław Konczewski urodził się w 1895 roku, jako najmłodsze dziecko Marii z domu Bogatko i Józefa Konczewskiego, którzy oprócz syna mieli pięć córek. Po zakończeniu nauki i uzyskaniu tytułu inżyniera, wyjechał wraz z trzema siostrami z położonego w miejscowości Ostrówki na Wołyniu majątku rodziców i osiedlił się w Izbicy (do końca lat 60. ubiegłego wieku miejsce zamieszkania rodzeństwa Konczewskich podawane jest jako Jary Tarnogórskie lub Kolonia Jary). W 1939 roku również ich matka opuściła swój rodzinny majątek. Decyzje o migracji na zachód podyktowane były ówczesną sytuacją polityczną. Na Wołyniu, w samych Ostrówkach w 1943 roku UPA zamordowała co najmniej 469 Polaków. Obecnie jest to terytorium Ukrainy, a wieś Ostrówki, po straszliwej rzezi przestała istnieć.



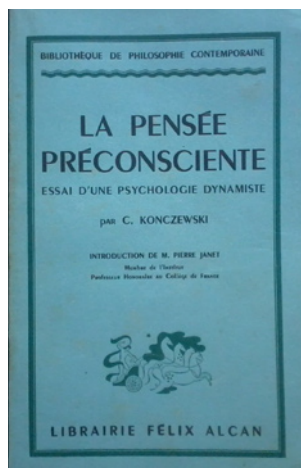
Fragment księgi kosztów majątku Konczewskiego w Izbicy z roku 1928

Rozwój 25-hektarowego majątku w Izbicy Konczewski finansował kredytem, zaciągając pożyczki w banku i u Żydów, wystawiając weksle jako zabezpieczenie. Osobiście prowadził swoje księgi, skrupulatnie wpisując do nich wszystkie wydatki, również na cele osobiste. Dla przykładu koszt miesięczny utrzymania gospodarstwa w październiku 1928 roku wyniósł go 10 763 zł (według obecnej siły nabywczej złotego byłoby to ponad 30 tys. złotych), z czego niemal 90 % stanowiła spłata hipoteki i weksli. Koszt utrzymania domu i drobnych wydatków wynosił jedynie 450 zł (obecnie - ok. 1 400 zł). Pokazuje to, że gospodarstwo było

prowadzone bardzo oszczędnie. Osobne kolumny wydatków zajmowały koszty podróży, adwokata i podatki. Oprócz majątku w gminie Izbica, posiadał też dobra w Jaszczowie. Zachowało się urzędowe wezwanie z 1932 roku, skierowane do Czesława Konczewskiego z majątku Jaszczów, upraszające o wpłacenie do kasy gminnej zaległej składki ogniowej w kwocie 458,36 zł.

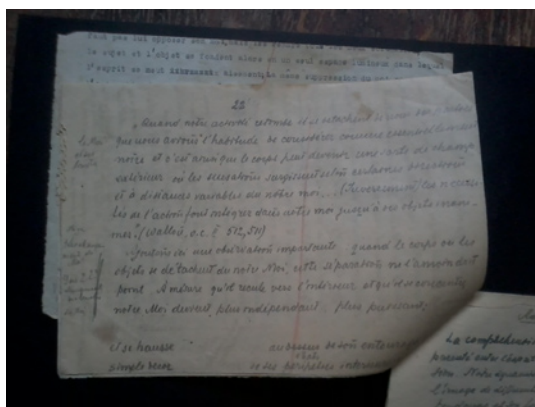
Konczewski na dużej części zakupionej ziemi założył sady, jednak nie rolnictwo było jego największą pasją. W zaciszu spokojnej okolicy powstawały pisane piórem, a później przepisywane na maszynie kolejne rozdziały psychologicznych esejów. W jego podaniu do Dyrektora Funduszu Kultury i Sztuki przy Prezydium Rady Ministrów w Warszawie, czytamy: *Niniejszym proszę Fundusz Kultury o udzielenie mi uzupełniającego sybudyum na wyjazd do Paryża w celu wykończenia i opublikowania moich prac z psychologii. Koszty wyjazdu i dwumiesięcznego pobytu mam zasadniczo zamiar pokryć z własnych funduszy, ze względu jednak na ich szczupłość, dodatkowe stypendium, choćby w kwocie 500 zł pozwoliłoby mi przedłużyć pobyt we Francji. Pracę moją, napisaną po francusku mam obecnie prawie wykończoną i chciałbym bardzo przedłożyć ją paru profesorom w Paryżu...*

Przez kilka lat bezskutecznie szukałem śladu publikacji Konczewskiego. Pomógł mi szybki rozwój Internetu i coraz większy dostęp do elektronicznych katalogów, głównie bibliotek i księgarni zagranicznych. W jednym z nich natknąłem się na tytuł *La Sympathie comme fonction de progrès et de connaissance*, książkę wydaną w Paryżu w 1951 roku autorstwa enigmatycznego C. Konczewskiego. Ponieważ nazwisko i pierwsza litera imienia pokrywały się z nazwiskiem interesującej nas postaci, wysłałem listy do wydawcy we Francji i do księgarni w Holandii, która posiadała tę książkę. W odpowiedzi od holenderskiego księgarza otrzymałem lakoniczne stwierdzenie, że w tekście nie ma informacji biograficznych o autorze. Dalsze poszukiwania skończyły się jedynie znalezieniem wzmianki o artykule Konczewskiego pt. *Geneza i istota bajki*, wydrukowanym w polskim kwartalniku *Marchot* w 1938 roku. W końcu jednak szczęście zaczęło się do mnie uśmiechać. Pewnej nocy, w jednej z internetowych księgarni, trafiłem na



„Myślenie przedświadome” Czesława Konczewskiego, książka wydana w Paryżu w 1939 roku

książkę C. Konczewskiego pt. *La Pensée préconsciente* z dedykacją autora dla Alberta Burloud’a, psychologa z uniwersytetu w Rennes. Podekscytowany tym odkryciem, cicho, żeby nie hałasować późną nocą, wygrzebałem z szafy papiery zachowane z dworku w Jarach Tarnogórskich i zacząłem porównywać charakter pisma. Konczewski pisał charakterystyczne „c” przypominające nieco „e”. Tak! Zgadza się! Dedykację i „moje” rękopisy pisała ta sama osoba! Księgarnia zamieściła też fotografię jednej ze stron w środku książki, odnośnik na dole strony wydał mi się znajomy, zajrzałem w papiery. Jest! Odnośnik się zgadza, razem z fragmentem tekstu z książki! Oto mam przed sobą mały fragment rękopisu, wydanej w Paryżu w 1939 roku, książki Konczewskiego z Izbicy! Od ręki kupiłem ten egzemplarz o ciekawym tytule: *Myślenie przedświadome*. Książka posiada przedmowę francuskiego profesora Pierra Janeta, uznanego w świecie nauki neurologa i psychologa, pioniera w dziedzinie badania pamięci pourazowej i prekursora freudowskiej psychoanalizy. W swojej przedmowie, zamiast psychologiem, określa on Konczewskiego mianem młodego polskiego filozofa. Przedświadomość, podobnie jak podświadomość, to terminy wprowadzone przez Freuda. W swojej pracy o przedświadomości, Konczewski na 273 stronach analizuje w jaki sposób ludzkie myślenie i postępowanie zdeterminowane są przez dwie grupy współistniejących ze sobą czynników - otoczenia i naszego wnętrza.



Fragmenty rękopisu książki *La Pensée préconsciente*

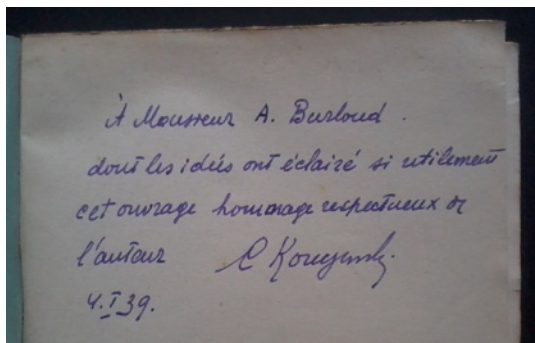
Kolejne jego publikacje to intrygujący esej o ludzkiej kreatywności pt. *Les conditions de la créativité des peuples* (1967), wydrukowany w *Revue de Métaphysique et de Morale* oraz opublikowany w tym samym czasopiśmie esej pt. *La pensée inverbale* (1969), czyli *Myślenie niewerbalne*. Moim zdaniem, zagadnienie, jakie poruszył, to jeden z ciekawszych współcześnie tematów. Jeśli myślenie werbalne porównamy do myślenia słowem, to niewerbalne odpowiadałoby myśleniu obrazami. Czterdzieści lat temu takie teorie budziły żywe polemiki wśród psychologów. W 1970 roku Konczewski wydaje swoją trzecią, liczącą 347 stron książkę pt. *La psychologie dynamique et la pensée vécue*. Jest to książka omawiająca wiele mechanizmów działających w człowieku, takich jak np. projekcja, zapominanie, czy siły twórcze, z punktu widzenia psychologii dynamicznej (zakładającej iż popędy są głównymi czynnikami sprawczymi w naszym życiu).

Wrażenie robi niezwykła biegiełość, z jaką Konczewski posługiwał się językiem francuskim, w którym napisał praktycznie wszystkie swoje dzieła. Na kopercie przysłanej z Lwowskiego Przeglądu Ogrodniczego widnieje adresat: *Inż. Czesław Konczewski*, co sugeruje iż mógł posiadać ścisłe wykształcenie. W numerze 20. „Przeglądu Technicznego” z 15 maja 1913 roku, udostępnionym w Internecie, w artykule dotyczącym Szkoły Realnej im. Staszica w Warszawie, można przeczytać na liście dwudziestu uczniów kończących szkołę w roku 1912 nazwisko Czesława Konczewskiego. „Nasz” Konczewski miał wtedy 17 lat. Z podanej w artykule informacji o wieku absolwentów wynika,

że najwięcej było 17-latków, a większość chłopców wybrała studia politechniczne, matematyczne lub agronomiczne; wielu za granicą. Bardzo prawdopodobne, że był jednym z nich.

*

Postać Konczewskiego to obraz człowieka, który imponuje pracowitością i który dzięki determinacji, w końcu osiąga ambitny cel, jakim jest przedstawienie świata owoców swoich filozoficznych przemyśleń. Z drugiej strony jest to los człowieka zmuszonego rozstać się z rodziną, porzucić piękną okolicę i zdobyty wielkim wysiłkiem majątek, by opuszczając na zawsze swoją ojczyznę uchronić się przed nadciągającą ze Wschodu komunistyczną władzą. Zmarł na emigracji, dożywając podobno ponad 100 lat. Analizując, jak środowisko zewnętrzne wpływa na ludzkie zachowanie i podejmowane decyzje, w pewnym sensie osobiście doświadczył uczuć i stanów, o których pisał w swoich esejach.



Dedykacja Czesława Konczewskiego dla Alberta Burlouda z wyrazami szacunku i z podziękowaniem za twórcze inspiracje

Jego trzy niezamężne siostry, o których postaramy się napisać więcej, pozostały do śmierci w dworku. Borykając się z trudami utrzymania gospodarstwa, zmuszone były wyprzedawać resztki podupadającego z biegiem lat majątku.

Nad malowniczym jarem zniknął już z krajobrazu stryjskich lasów przedwojenny dworek. I choć tak niewiele udało się z niego ocalić, to najważniejsze, że możemy teraz na nowo odkryć i ocalić od zapomnienia tę ciekawą postać ogarniętego wielką pasją myśliciela, który przecież

w naszych stronach mieszkał i tu tworzył swoje filozoficzne dzieła. Intryguje ocena jego wkładu w rozwój wiedzy o motywach ludzkiego postępowania i rządzących nami mechanizmach psychologicznych. Być może nasza publikacja zachęci innych do dalszych badań, opinii i wniosków.

Zakończmy refleksją Konczewskiego, odzwierciedlającą to, co w nas wszystkich pozostaje cennego, pomimo tęsknoty za tym, co już utraciło: *...wydaje się, jakby atmosfera tego miejsca, atmosfera dawnego życia, czy też jej odbłask, wypełniały nas na nowo. Wydaje się jakby utracone bezpowrotnie wierzenia i nadzieje, odżywały w nas, jakby dawno zagasłe uczucia i wzruszenia na nowo wywoływały bicie serca, jakby minione zainteresowania, skłonności wracały z powrotem, choć wcale o nich nie myśleliśmy, a zagubione przekonania, dyrektywy postępowania i idee odnajdowały się same, choć nie szukaliśmy ich zupełnie. Jeszcze chwila i jesteśmy nawróceni do starych ideałów, wrażliwi na bodźce przeszłości - miniona egzystencja sama zawładnęła nami i płynie wskrzeszona przez tylko co obcą jej chwilę obecną.*

Zbigniew Cimek
we współpracy z Elżbietą Kmiec



Pieczęć
rys. Benek Homziuk

Ryszard Maleszyk



Austriacy w Krasnymstawie w latach 1915-1918

Po opuszczeniu latem 1915 r. terenów Królestwa Polskiego przez wojska rosyjskie, doszło do uzgodnień pomiędzy dowództwami armii państw centralnych, co do podziału stref okupacyjnych na zdobytych terenach. Ostatecznie, 4 września 1915 roku przesądzono, że środkowa i południowa część Lubelszczyzny wejdzie w skład utworzonego rozporządzeniem Naczelnego Wodza c.k. Armii Austro-Węgier z 25 sierpnia 1915 r. - Generalnego Gubernatorstwa Wojskowego w Polsce (Militär General Gouvernement in Polen). Z dniem 1 września 1915 r. wyznaczono na jego siedzibę Kielce, ostatecznie jednak, z dniem 1 października 1915 r. siedzibą Generalnego Gubernatorstwa został Lublin. Równoległe z utworzeniem centralnych struktur okupacyjnych, władze austriackie ustanowiły w części Lubelszczyzny władze terenowe, powołując kolejne komendy powiatowe w: Lublinie, Lubartowie, Nowej Aleksandrii (Puławy), Krasnymstawie i w Zamościu.¹ Funkcjonującą od 11 września 1915 r. krasnostawską c.k. komendę powiatową ulokowano w budynku starostwa, na rogu dawnej ul. Powiatowej i Zamojskiej. Kompletowanie głównego trzonu obsady personalnej komendy trwało do końca września tego roku. 11 września 1915 r. stanowisko komendanta objął 51-letni austriacki oficer ppłk Johann Schuberth. Jego zastępca, major Aleksander Ritter von Jasiński stawiał się w komendzie dwa dni wcześniej.²

W rejonie miasta Krasnegostawu nie było szczególnie ważnych obiektów militarnych, a ochronie podlegały tylko nieliczne, mające zna-

1. Komendy powiatowe w Biłgoraju i Janowie Lubelskim utworzono 28 czerwca 1915 r., a komendy w Chełmie, Hrubieszowie (zwanym początkowo Grubieszów) i Tomaszowie Lubelskim - dopiero 14 czerwca 1916 r.
2. Miał znacznie bliżej, gdyż rozkazem Naczelnej Komendy Etapów został służbowo przeniesiony do Krasnegostawu z Kielc, natomiast Schuberth na miejsce nowego przydziału służbowego, podróżował z miejscowości Föhnitz obok Villach w Austrii.

czenie dla funkcjonowania administracji wojskowej i wojsk okupacyjnych. Z tego też względu Austriacy do końca okupacji nigdy nie utrzymywali w granicach miasta silnego garnizonu. Wojsko strzegło budynku komendy powiatowej i usytuowanego w jej pobliżu drewnianego mostu na rzece Wieprz, następnie ochraniało siedzibę wydziału sztabowego komendy powiatowej ulokowaną w zabudowaniach przy obecnej ul. Kościuszki oraz sąsiadujące obok budynki koszar wojskowych (zwane „kozackimi koszarami”), w których kwaterowano część żołnierzy batalionu etapowego. Tuż obok koszar (w kompleksie zajmowanym obecnie przez zespół szkół zawodowych), mieściły się stajnie dla około 30 koni będących w dyspozycji dowództwa batalionu i oficerów komendy. Pozostała część batalionu zajmowała kwatery w zabudowaniach klasztoru pojezuickiego mieszczących się obok kościoła pw. św. Franciszka Ksawerego. Dziedziniec przez kościołem, który od owych czasów w swoim kształcie nie zmienił się po dzień dzisiejszy, służył jako plac apelowy do przeprowadzania musztry. Posterunki wartownicze wystawiane były także na składzie paliw przy ul. Ciesarskiej.³ Stały, około 30-osobowy pododdział pełnił służbę w areszcie polowym, który utworzono w obiektach carskiego więzienia przy ul. Poniatowskiego. Wojskowi byli też przydzielani do pracy w stacji hodowli koni mieszczącej się w majątku „Starostwo” położonym przy obecnej ul. Sikorskiego, a należącym do wpływowej krasnostawskiej rodziny Radomyskich.

Początkowo krasnostawski garnizon wojskowy tworzyły dwie kompanie i sztab 212. Za-

pasowego Batalionu Landszturmu⁴ (Landsturm-Etappenbataillon № 212). Trzecia kompania tegoż batalionu stacjonowała w Zamościu. Latem 1916 roku batalion wraz ze sztabem liczył 364 żołnierzy, z czego 231 osób to Polacy, także narodowości żydowskiej, pochodzący głównie z terenów Galicji. Wojskowe władze austriackie zgadzały się także na dobrowolne wstąpienie do wojsk zapasowych obywateli polskich z terenów okupowanych. Na początku okupacji austriacki batalion, jeszcze w niepełnym składzie (274 żołnierzy) zajmował się głównie eskortowaniem jeńców rosyjskich, których liczbę władze krasnostawskiej komendy szacowały na aż około 1 600 tylko w rejonie Krasnegosta-



Jeńcy austriaccy w asyście rosyjskiej eskorty na placu obok kościoła pw. św. Franciszka, jesień 1914 r.

wu i na jego przedmieściach. Kwaterowano ich w prowizorycznych pomieszczeniach, w fatalnych warunkach sanitarnych grożących wybuchem chorób zakaźnych. Część żołnierzy rosyjskich skierowano do budowy kolei szerokotorowej biegnącej

4. W armii austriackiej w czasie wojny występowały trzy rodzaje wojsk: I - wojska liniowe, czyli oddziały stworzone na bazie stacjonarnych i rezerwowych korpusów, II - Obrona Kraju (Landschutz) nieustępująca generalnie w wyszkoleniu i uzbrojeniu wojskom liniowym oraz wojska III rzutu Landszturm, czyli pospolite ruszenie złożone ze zmobilizowanych rezerwistów do 60 roku życia. Landszturm posługiwał się starymi karabinami lub też zdobycznymi rosyjskimi i nie posiadał na wyposażeniu broni maszynowej.

3. Było to w rejonie obecnej siedziby Krasnostawskiego Domu Kultury. Później ul. Cesarska nosiła nazwę Lubelska.

z Rejowca do Bełżca, lokując ich w roboczych ruchomych grupach pracy, będących do dyspozycji kompanii budowy kolei - Eisenbahnkompanie № 10.

Oprócz służby wartowniczej, żołnierze garnizonu krasnostawskiego wspierali żandarmerię w przeprowadzaniu rekwizycji oraz uczestniczyli w rewizjach i początkowo także poszukiwaniu porzuconego sprzętu wojennego, amunicji i materiałów wybuchowych. Odrębnym zadaniem realizowanym przez wojsko była lokalizacja i prowadzenie ewidencji grobów wojennych oraz nadzorowanie ekshumacji ciał przy przenoszeniu ich na tworzone licznie w powiecie cmentarze wojenne. Po utworzeniu na Lubelszczyźnie trzech nowych komend powiatowych (w Chełmie, Hrubieszowie i Toma-

ków, 4 Polaków, Słowaka, Węgry i aż 611 Czechów.⁵ Ci ostatni najbardziej narzekali nie na uciążliwość służby, lecz na zbyt skromne przydziały wina lub piwa.⁶ Okresowo, w drugiej połowie 1918 r. w Krasnymstawie stacjonowała także 1. Kompania 507. Zapasowego Batalionu Landszturmu oraz jedna z kompanii 26. Pułku Piechoty.

Mieliśmy także okazję od lutego do pierwszych dni czerwca 1917 r. gościć w rejonie Krasnegostawu pododdział polskich legionistów liczący 25-28 żołnierzy. W związku z rosnącym kryzysem legionowym, Legiony Polskie zaczęły wycofywać latem 1915 r. z frontu. Krasnostawscy legionieści odmaszerowali najpierw do obozu legionowego w Kozienicach, a stamtąd, po odmowie przysięgi - za druty obozów w Beniaminowie i Szczypiornie.⁷



Odprawa kadry krasnostawskiej komendy powiatowej

szowie), latem 1916 r. 212. batalion został przeniesiony z Krasnegostawu do Tomaszowa Lubelskiego, a w jego miejsce skoszarowano tu sztab oraz 1. i 2. kompanię 508. Zapasowego Batalionu Landszturmu, po czym wiosną 1917 r. dołączono jeszcze 3. kompanię, a 4. kompanię rozlokowano w rejonie Janowa Lubelskiego. Wówczas stan etatowy batalionu oddanego pod dowództwo ppłk. Viktora Perżyny, sięgnął aż 700 żołnierzy, których w znacznej mierze przydzielono do służby na terenie powiatu przy nadzorze kompanii jenieckich i oddziałów roboczych. Batalion liczył 84 Austria-

który od początku 1916 do połowy 1918 r. ochraniał 65-kilometrowy odcinek kolei od Rejowca po Zamość. Licząca 2 oficerów i 161 żołnierzy, wzmocniona kompania początkowo skoszarowana była

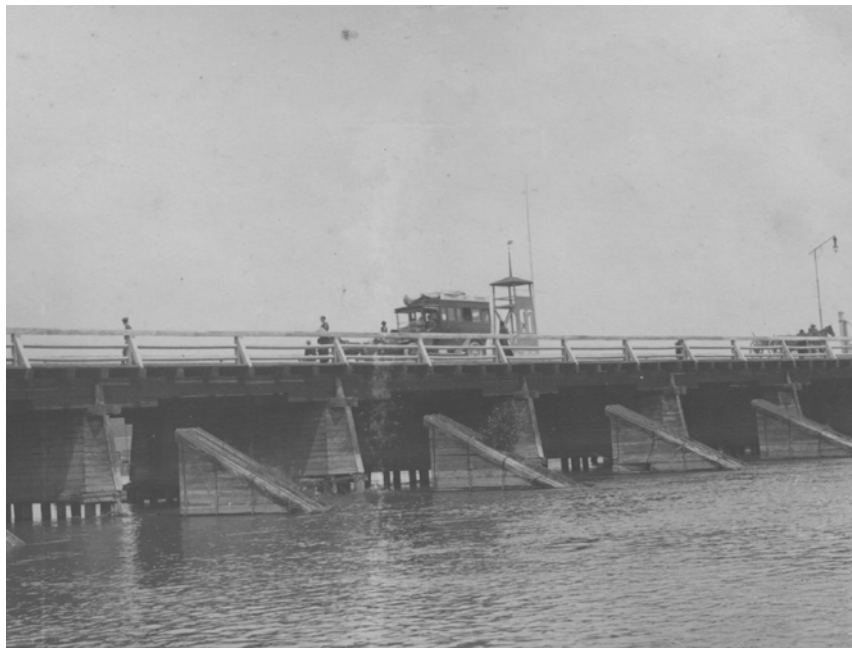
5. Archiwum Główne Akt Dawnych MGGL, Nachweis des Verpflegsstande nach Religionen und Sprachen K. k. Landsturm Etappenbataillon № 508 für I Quartal 1917.

6. Za pełny tydzień służby otrzymywali ekwiwalent w postaci 1 litra wina lub 2 litrów piwa oraz, dla palących, po 10 papierosów dziennie.

7. Obecnie już w granicach administracyjnych Kalisza, w miejscu obozu stoją budynki Centralnego Ośrodka Szkolenia Służby Więziennej.

w majątku ziemskim w Orłowie, a następnie, od wiosny 1917 r. - w Tarnogórze, gdzie w sąsiadującej z nią Izbicy zbiegała się linia kolejki wąskotorowej z szerokotorową. Jesienią 1918 r. oddziały ochrony kolei warte pełniły w stałych posterunkach kolejowych, głównie na mostach i wiaduktach. Posterunki ochrony mostów utrzymywano do ostatnich dni okupacji. Nie jest wykluczone, że wzmocnienie

położonej naprzeciwko składu paliw.⁸ Na obszarze podległym krasnostawskiej komendzie żandarmerii wyznaczono dwa rejony - Krasnystaw i Żółkiewka. Do rejonu Krasnegostawu należały posterunki w następujących miejscowościach: Chelmiec, Krupe, Łopiennik i Żdżanne, a do Żółkiewki - posterunek miejscowy oraz posterunki w miejscowościach: Rybczewice, Turobin i Zakrzew.



Autobus na trasie Lublin-Krasnystaw-Zamość przejeżdża przez most na rzece Wieprz w Krasnymstawie

ochrony kolei było działaniem zabezpieczającym na wypadek przerzucenia sprawnych bojowo oddziałów celem opanowania sytuacji w rejonach wzrostu niezadowolenia ludności miejscowej, a także coraz bardziej realnych buntów i dezercji w wojsku.

W zakresie ochrony wewnętrznej, zadania policji państwowej pełniła żandarmeria polowa podporządkowana komendantowi powiatu, a w dalszej kolejności - Rejonowej Komendzie Żandarmerii w Lublinie, na czele której stał mjr Ferdinand Peinlich von Immenburg. Zgodnie z wytycznymi, początkowo komenda krasnostawskiej żandarmerii mieściła się w budynku komendy powiatowej, lecz rozrost zadań tej ostatniej, spowodował przeniesienie siedziby żandarmerii na ówczesną ul. Cesarską do posesji

Na początku 1916 r. zwiększono liczbę posterunków żandarmerii o Gorzków, Izbicę, Rudnik oraz Wysokie. W połowie 1917 r. na terenie powiatu krasnostawskiego w żandarmerii służyło 139 funkcjonariuszy.

Ze względu na zakres obowiązków, służba w żandarmerii nie miała żadnego autorytetu wśród ludności miejscowej. Nieliczni Polacy, którzy służyli w tej formacji, nie mieli łatwego życia w kontaktach z miejscową ludnością, która obsypywała ich

mocny mi epitetami. Na negatywny obraz żandarmów miał też wpływ sposób zachowania się w trakcie służby oraz fakt, że to ze strony żandarmerii dochodziło do największych nadużyć i brutalności w rekwizycjach, rewizjach i aresztowaniach. Żandarmi, sprawując nadzór nad aresztami gminnymi, posuwali się do bicia aresztowanych w celu wymuszenia nie tylko kieszonka, ale także informacji o działalności politycznej w powiecie. W służbie ponosili oni jednak wysokie ryzyko, gdyż to na nich spoczywał obowiązek walki ze zbrojnymi bandami rabunkowymi, a tych z każdym miesiącem przybywało, także z udziałem zbiegłych jeńców rosyjskich.

8. Archiwum Główne Akt Dawnych MGGL, sygn. 2008. Situationsplan der Stadt Krasnostaw am 1 September 1918.

Podsumowanie

Wojskowi skierowani do służby w komendzie i batalionie, z tytułu szarży i stanowiska mieli zagwarantowane do stopnia chorążego (Fähnrich) pomoc socjalną w postaci kwatery. Ponieważ zakwaterowanie w siermiężnych warunkach krasnostawskich koszar nie odpowiadało przyzwoitym standardom austriackiego dżentelmena, praktycznie wszyscy wynajmowali kwatery, głównie na terenie miasta i na jego przedmieściach u osób dość dobrze sytuowanych.⁹ Z przywileju tego korzystali także sędziowie oraz wysocy rangą pracownicy cywilni. Obiady spożywano w kasynie oficerskiej, które zapewne mieściło się w centrum miasta, ale jego lokalizacja nie jest znana. W komendzie, jak i w batalionach zapasowych rotacja, zwłaszcza wśród kadry niższych oficerów, chorążych i podoficerów, była bardzo duża. Być może po części była ona inspirowana przez samych wojskowych. Dla typowych oficerów sztabowych, pobyt w zniszczonym i nie mającym praktycznie żadnych atrakcji mieście, jakim był Krasnystaw, wiał nudą podobną do tej spotykanej już w prowincjonalnych garnizonach małych miasteczek Galicji. Natomiast dla oficerów, którzy mieli za sobą przeszłość frontową, a zwłaszcza zimę w Karpatach, była to swoista oaza spokoju, w której przynajmniej do wczesnej wiosny 1918 r. nie było większych problemów z ludnością miejscową.

Mieszkańcy Krasnegostawu początkowo darzyli sympatią Austriaków, którzy zdziwieni byli brakiem w mieście latryn, łaźni i miejsc na bankiety. Możliwe z wyjątkiem leciwych i wąsatych landsturmistów, duża część kadry oficerskiej legitymowała się bardzo wysokim wykształceniem. Cała niemalże wojskowa kadra sędziowska i wojskowi inżynierowie legitymowali się posiadaniem stopnia doktora. Również maniery, przede wszystkim kadry oficerskiej, były bardzo przyzwoite, czego na przykład nie mogli powiedzieć mieszkańcy Hrubieszowa o krewkich Madziarach, których jedyny na Lubelszczyźnie konny oddział stacjonował w mieście nad Huczwą. Także w Krasnymstawie wiosną

1918 r., po krwawych wydarzeniach w Żabnie oraz licznych rekwizycjach bardzo już zubożałej wsi, austriaccy wojskowi utracili cały dotychczasowy szacunek. Nikt ich nie żałował, ani za nimi tęsknił, gdy odchodzili w pierwszych dniach listopada 1918 r. z Krasnegostawu, ciągnąc na wózkach, rowerach lub samochodach swój dobytek zgromadzony na ludzkiej ciężkiej pracy i zwykłej biedzie. Z wyjątkiem kolei, nie pozostawili po sobie nic, co usłużyłoby miastu, o którego odbudowę ze zniszczeń absolutnie nie dbali. A jednak gorzkość faktów pokazujących jak Austriacy realizowali swoje cele okupacyjne, nie przesłania nam, Polakom, nadal wielkiego sentymentu do czasów Franciszka Józefa, które bezpowrotnie odeszły do historii, tak jak wielkość monarchii naddunajskiej, w której wspomniany cesarz, zawsze zostanie najbardziej jaskrawym symbolem.

dr Ryszard Maleszyk

Fotografie ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie.

Bibliografia (ważniejsze pozycje):

1. *Statsarchivum und Kriegsarchivum Wien. Kriegsfallen gegen Russland 1882-1915.*
2. *Akta Generalnego Gubernatorstwa Wojskowego w Lublinie (Militär General Gouvernement in Lublin) - w skrócie MGGL - znajdujące się w zasobach Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie.*
3. *Akta c.k. Komendy Powiatowej w Krasnymstawie oraz c.k. Komendy Powiatowej w Lublinie, przechowywane w Archiwum Państwowym w Lublinie.*
4. *A. Hausner, Die Polenpolitik der Mittelmächte und die österreichisch-ungarische Militärverwaltung in Polen während des Weltkrieges, Wien 1935.*
5. *J. Lewandowski, Królestwo Polskie pod okupacją austriacką 1914-1918, Warszawa 1980.*
6. *Österreich-Ungarns letzter Krieg 1914-1918, T. I-II, Wien 1931-1932.*
7. *F. Żurek, Powiat krasnostawski w walce o wolność, Warszawa 1937, Lublin 2009.*

Ryszard Maleszyk - doktor nauk humanistycznych Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, autor ponad 30 publikacji naukowych z zakresu historii wojskowości I wojny światowej, historii ziemi krasnostawskiej, historii więziennictwa oraz specyfiki pracy penitencjarnej w polskim i zagranicznych systemach karnych.

9. Między innymi u adwokata Piechowicza, v-ce starosty Chomczyńskiego czy też u Wiktora Hendygierego, który był dyrektorem banku w Krasnymstawie.

Joanna Antoniak

Z historii Borowa



Kluczową wartością jest odczuwanie nie tylko własnej tożsamości narodowej, ale i umiejętność odnalezienia się we własnym środowisku jako aktywny element. Miejsce zamieszkania jest nie tylko azylem bezpieczeństwa, ale wiąże się także z kształtowaniem własnej osobowości i tożsamości. Dzięki kontaktom ze swoim środowiskiem, możemy rozwijać się, a przede wszystkim wzbogacać wewnętrznie. Miejsce, gdzie dorastamy, nabywamy wiedzę, umiejętności, czy doświadczenia, powinno być w nas tak uкорzenione, aby mogło przenosić na nas swoje wartości. Człowiek zaś powinien odczuwać potrzebę wnikania we własne otoczenie, poszukiwania, bądź pogłębiania wiedzy na temat swojej małej ojczyzny.

Borów to wieś położona na południowo-zachodnim skraju gminy Gorzków, nad rzeką Żółkiewką, na terenie Wyniosłości Gielczewskiej. Jest jedną z najstarszych miejscowości tej gminy. Pierwsze wiadomości na temat Borowa pochodzą z 1465 r.¹ Sto lat później (1558 r.) odnotowano, że część wsi odziedziczył Stanisław Jaślikowski.² W 1564 r. właścicielami ziemskimi w Borowie, byli: Benedykt Piasecki, który miał 1 łan użytków i 1 zagrodnik bez ziemi, Blasjus Mulicz - 1 i ½ łana użytków, Mikołaj i Jakub Borowscy - 1 łan użytków i 1 zagrodnik bez ziemi, Anna Mulicz wraz z córką, podobnie jak Joanna Mulicz, posiadały 1 i ½ łana użytków. Stanisław Żid miał 1 łan, zaś Piotr, Aleksy i Jerzy oraz Krzysztof Borowscy posiadali po ½ łana użytków. Natomiast Kiljan Borowski - 1 łan użytków, Zygmunt Mroczek - 1 łan i 1 zagrodnik z ziemią, Stanisław Borowiec - 2 i ¾ łana użytków, zaś Mikołaj Bródka był właścicielem ¼ łana użytków i 1 zagrodnika bez ziemi. Stanisław Jaślikowski posiadał wtedy ½ łana użytków.³

W 1668 r. wieś Borów należała do Agnieszki Mroczkowskiej-Borowskiej i Jakuba Mrocza Borowskiego.⁴ W XVII w. Marcin Stanisław Kurdwanowski herbu Półkozic, w imieniu swoich braci sprzedał część Borowa Torczyńskiemu.⁵ Po III rozbiorze Polski, Borów dostał się do zaboru austriackiego, zaś w 1809 r. należał do Księstwa Warszawskiego.⁶ W dokumencie wydanym w 1852 roku, dotyczącym okręgu krasnostawskiego, możemy odnaleźć takie nazwiska właścicieli ziemskich w Borowie, jak: Krzyżanowscy, Jabłońscy, Kucharscy oraz Łąccy.⁷ Ostatnim właścicielem ziemskim Borowa był Kazimierz Tabiszewski, który zmarł 3 lipca 1893 r. Po jego śmierci żona rozparcelowała majątek i w ten sposób powstała Kolonia Borów.⁸ Grunty pochodzące z tego majątku zakupili: Rudnicki, Kozodój, Piasecki, Siwiński, Lewandowski, Sobieszczański oraz Krzyżanowski i Jarocki.⁹

W 1827 r. Borów liczył 40 domów oraz 331 mieszkańców.¹⁰ Dziedzicem części ziem w Borowie w 1838 r. został Józef Krzyżanowski.¹¹ W 1845 roku w Borowie istniała karczma, która uzyskiwała pozwolenie na dalsze prowadzenie sprzedaży napojów alkoholowych. Jej właścicielem był Józef Sałata. Prawdopodobnie była położona tuż za wsią. We wsi natomiast znajdował się sklep, w którym kupowano artykuły pierwszej potrzeby, takie jak sól, naftę itp. Jego prowadzeniem zajmował się Żyd Icek.¹²

W 1921 r. właścicielem 964 morgów 133 prętów ziemi (1 mórg - 5599 m²) na terenie Borowa był Tomasz Watson. Swoją folwark nabył wraz z żoną Władysławą Julią z Pomianowskich od księcia Eugeniusza Lubomirskiego na mocy po-

1. W. Czarniecki, Sieć osadnicza ziemi chełmskiej w latach 1451-1510, „Rocznik Chełmski”, t. V, s. 9-60.

2. A. Boniecki, A. Makomascy, Herbarz polski, T. VIII, Warszawa 1889-1916, s. 338.

3. A. Jabłoński, Polska XVI w. Źródła dziejowe, T. XVIII: Ziemia ruskie, Warszawa 1902, s. 194.

4. Archiwum Państwowe w Lublinie, Księgi grodzkie krasnostawskie, nr 5, s. 962-963.

5. Borów, [w:] J. Niedźwiedź, Leksykon historyczny miejscowości dawnego województwa zamojskiego, Zamość 2003, s. 53.

6. Z relacji Longiny Mrozek.

7. Dokument w posiadaniu Elżbiety Flor.

8. Z relacji Longiny Mrozek.

9. Tamże.

10. Borów, [w:] Słownik geograficzny Królestwa Polskiego, red. F. Sulimierski (i in.), T. I, Warszawa 1880, s. 318.

11. Na podstawie zbiorów rodzinnych Elżbiety Flor.

12. Kronika Szkoły Podstawowej w Borowie, Archiwum Państwowe w Zamościu, mps. w posiadaniu autorki, s. 56.

rozumienia z dnia 16 lutego 1909 r.¹³ Watson był porucznikiem rezerwy III Pułku Artylerii Lekkiej Legionów.¹⁴ Pochodził z Borunia (gm. Rudka, pow. krasnostawski), gdzie był właścicielem majątku ziemskiego.¹⁵ Dnia 8 stycznia 1921 r. Tomasz Watson zwrócił się z prośbą do Komisji Ziemskiej Okręgowej w Lublinie w sprawie parcelacji majątku Borów, prosząc o zezwolenie na sprzedaż tej ziemi 21 nabywcom z Borunia. Parcelacji miało podlegać 309 morgów i 100 prętów ziemi.¹⁶ Nabywcami zostali: Julia Kuderska (38 morgów), Zofia Gałczyńska, Jan Krzywicki (37 morgów), Andrzej Dudziński (25 morgów), Piotr Kutaga (19 morgów), Jan Maleńdowski (18 morgów), Józef Nowak (14 morgów), Stanisław Matuszewski (11 morgów), Franciszek Mochnej, Ambroży Łukowski, Józef Ścibor, Maria Łuczkiwicz, Franciszek i Zofia Kowalowie, Jan Stronczyński, Marcin Lubaś, Stanisław Śliwiński-Dąbrowski, Wincenty Kargul (9 morgów), Antoni Szornak, Stanisław Malendowski, Stanisław Chmielowski oraz Marcin Kusik (5 morgów).¹⁷ W 1923 r. na terenie Borowa, syn Stanisława Janisławskiego zbudował młyn napędzany siłą wiatru.¹⁸

Miejscowa ludność była ściśle zaangażowana w walkę o odzyskanie przez Polskę niepodległości, o czym świadczą fakty pomocy powstańcom, jak również wstępowanie w ich szeregi. W 1863 r. wielu mieszkańców Borowa, z narażeniem życia współdziałało z powstańcami, bądź ich ukrywało. Przykładem może być zaangażowanie wyrobnika Karola Adamskiego, który ukrył Polaka w dużym piecu w sieni, jakim się posługiwano wtedy do ogrzewania mieszkań i u jego wejścia rozpalili ogień. Moskale z całą drobiazgowością przeszukali mieszkanie, lecz zbiega nie znaleźli.¹⁹ Do szeregów powstańczych dołączyli m.in. Seweryn

Nowacki, Józef Kaśmiowski, Erazm Lipiński, Jan i Józef Janiccy, a także Bolesta i Szypulscy (szlachta zaściankowa). Pod Borowem zostały stoczone dwie bitwy powstańców z Moskalami. Dowódcą powstańców był pułkownik Marcin Borelowski, pseudonim Leleweł.²⁰

Pierwsza wojna światowa odcisnęła swoje piętno również w Borowie. Przykładem ofiarności dla Ojczyzny jest postać Pawła Chariasza, który brał udział w walkach Legionów Piłsudskiego. Za poświęcenie i patriotyzm otrzymał od władz majątek ziemski (22 ha) w Byteniu (woj. nowogródzkie, obecnie Białoruś). Podczas II wojny światowej był prześladowany, dlatego też ukrywał się w rodzinnych stronach (Kolonja Borów). W akcie zemsty za walkę na froncie, jego żonę wraz z czwórką dzieci zesłano na Sybir, skąd wszyscy szczęśliwie powrócili.²¹

Według spisu z 1921 r. Borów liczył już 81 domów i 571 mieszkańców, w tym 4 Ukraińców i 10 Żydów, natomiast Kolonia Borów miała mniej mieszkańców (liczyła 45 domów i 266 mieszkańców, w tym 1 Ukrainiec).²²

Rok 1927 przyniósł zmiany, bowiem wieś Borów administracyjnie przyłączono do gminy Gorzków, gdyż wcześniej była w obrębie gminy Rudnik.²³ W 1929 r. Tomasz Watson jako właściciel folwarku, posiadał w Borowie 367 ha ziemi.²⁴ W tym też roku wybudowano drogę litą ze środków urzędu gminy w Gorzkowie, zaś trzy lata później oddano do użytku budynek szkoły podstawowej.

W 1938 r. na terenie wsi Borów istniało Koło Związku Młodzieży Wiejskiej, które za główny cel obrało sobie pracę kulturalno-oświatową, a przede wszystkim rozwój młodzieży i dorosłych w dziedzinie kultury. Koło ZMW posiadało dość duży dorobek moralny, jak również materialny. Dzięki temu Związkowi w młodzieży kształtowano świadomą i aktywną postawę obywatelską.²⁵

13. Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Lublinie - nr akt 1944/ nr sprawy Z.5/21.

14. R. Łoś, *Artyleria polska 1914-1939*, Warszawa 1991, s. 87.

15. Miejsce z opowieścią. Boruń, L. Jurkiewicz, „Nestor”. *Czasopismo Artystyczne*, 2(12) 2010, s. 54.

16. Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Lublinie - nr akt 1944/ nr sprawy Z.5/21

17. Tamże.

18. B. Kielbasa, *Dzieje Żółkiewki i okolic*, Lublin-Żółkiewka 2005, cz. I, s. 11.

19. F. Żurek, *Powiat krasnostawski w walce o wolność*, Lublin 2009, s. 33.

20. Tamże, s. 23-33.

21. Z relacji Marii Kurek.

22. Borów, w: J. Niedźwiedź, *Leksykon historyczny...*, s. 54.

23. Kronika szkoły w Czystej Dębinie, Archiwum Państwowe w Zamościu, mps. w posiadaniu autorki, s. 6.

24. Borów, w: J. Niedźwiedź, *Leksykon historyczny...*, s. 54.

25. P. Czuba, J. Wojtał, *Walczyci na ziemi krasnostawskiej 1939-1949*, Warszawa 1979, s. 19-23.

W czasie II wojny światowej Borów ucierpiał, podobnie jak wiele innych wsi Zamojszczyzny. 17 września 1939 r. wieś Borów i okolice zajęły wojska niemieckie. W czasie okupacji w Borowie prężnie działała Armia Krajowa, zaś w pobliskiej Kolonii Borów - Bataliony Chłopskie.²⁶ Przez cały okres okupacji, zwłaszcza na przełomie lat 1941-42 trwała podziemna walka z okupantem. Władze niemieckie stosowały represje względem ludności, w postaci łapanek, aresztowań, bądź wywożenia na roboty do Niemiec, jak w przypadku Czesława Stępień czy Czesławy Antończak. Ta ostatnia została wywieziona na teren Niemiec i przetrzymywana w obozie pracy, gdzie wykonywano na niej pseudoeksperymenty.²⁷ Natomiast Czesław Stępień został wywieziony do Frankfurtu nad Menem, mając zaledwie 16 lat, gdzie przebywał w obozie pracy.²⁸ Część mieszkań-



Czesław Stępień

ców Borowa została przez Niemców zatrzymana i przetrzymywana zarówno w Rotundzie Zamojskiej, jak i na Zamku Lubelskim (m.in. Roman Jarocki, Zygmunt Śmieciuszewski oraz Ludwik Kamieniecki). W kilku przypadkach dokonano rozstrzeliwań (m.in. Eugeniusza Buczkowskiego).



W środku Roman Jarocki

26. Z relacji ks. Jana St. Gontarza.

27. Z relacji Leona Syposza.

28. Z relacji Barbary K. Stępień.

Przykładem ofiarności i odwagi wykazał się Franciszek Teodor Jarocki (ps. „Jadźwing”, „Witeź” vel Franciszek Strzelecki), który działał w konspiracji Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. Był kapitanem AK obwodu Krasnostaw, oficerem piechoty Wojska Polskiego, a od 1945 r. został awansowany na stopień majora.²⁹ Drugą, równie wielką postacią był Władysław



Franciszek Teodor Jarocki

Syposz (ps. „Szum”), który po maturze wstąpił do wojska. Działał w Narodowych Siłach Zbrojnych oraz w AK. Od 1944 r. rozpoczął współpracę z Batalionami Chłopskimi. W latach 1941-42 był oficerem łączności w obwodzie Krasnostaw. Został awansowany na stopień kapitana.³⁰ W obronie polskości wielkie zasługi mieli także Zygmunt oraz Mieczysław Kotowie. Byli żołnierzami w II Korpusie Polski i wraz z gen. Władysławem Andersem walczyli pod Monte Cassino. Zygmunt Kot był żołnierzem pułku piechoty, zaś jego brat Mieczysław był żołnierzem 13. Kompanii Saperów. Zygmunt Kot poległ pod Monte Cassino 17 maja 1944 r. Pośmiertnie nadano mu Krzyż Walecznych i Pamiątkowy Krzyż Monte Cassino.³¹



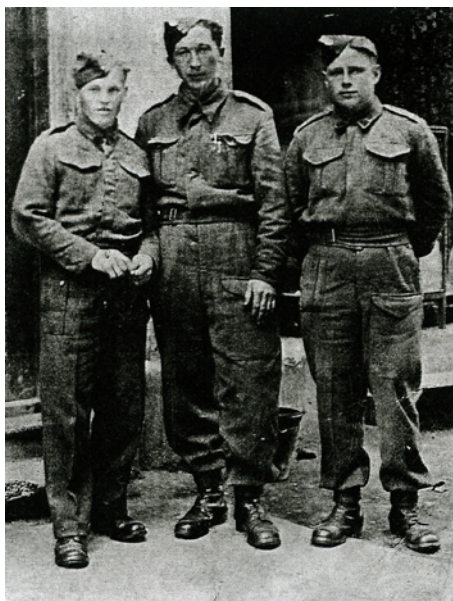
Władysław Syposz



29. I. Caban, Z. Mańkowski, ZZW w Okręgu Lublin 1939-1944, Lublin 1971, t. 1, s. 54-315.

30. Z relacji Leona Syposza.

31. Z relacji Zygmunta Nizińskiego.



W środku Mieczysław Kot, z prawej Zygmunt Kot

Za walkę z okupantem miejscowa ludność ponosiła liczne konsekwencje. Zygmunt Śmieciuszewski oraz Edward Jawor za walkę w szeregach Armii Krajowej, zostali zesłani na Sybir do zespołu obozów Borowicze. Edward Jawor przebywał rok w miejscowości Jegolsk, gdzie zmarł 5 maja 1945 r.³²

Jesienią 1940 r. rozpoczęto szkolenia wojskowe żołnierzy Batalionów Chłopskich. Obok kursów podoficerskich na terenie obwodu krasnostawskiego, przeprowadzane były konspiracyjne kursy samochodowe. Pierwszy taki kurs kierowców samochodowych rozpoczął się w Borowie, w domu Jana Ćwirty.³³

Latem 1942 r. i wiosną 1943 r. oddział z Borowa zorganizował akcję na zajęty przez Niemców dwór w Wólce koło Żółkiewki, gdzie rozbrojono Niemców, zabrano część ich dobytku dla stacjonującej w lesie jednostki partyzanckiej. W marcu 1944 r. mieszkańcy Borowa przeżyli pierwszą pacyfikację, a kolejną - 9 czerwca tego roku. Niemcy przekształcili wtedy szkołę w więzienie dla aresztowanych podczas nocnej pacyfikacji. 29 marca 1944 r. wojsko niemieckie zorganizowało akcję aresztowań mieszkańców miejscowości Chorupnik i Borów. Jedną z ofiar był 22-letni Eugeniusz

Buczkowski, który został zastrzelony podczas ucieczki.³⁴

Represje dotknęły ludność borowską także 4 czerwca 1944 r., kiedy to Ukraińska Dywizja Pancerna dokonała grabieży. Wojsko zebrało mężczyzn i chłopców na plac szkolny, gdzie byli przesłuchiвани. Na oczach wszystkich dokonano rozstrzeliwań. Młodzież podzielono na pięcioosobowe grupy i zabrano na czołgi. Ruszono do lasu, tworząc tyralierę z czołgów, aby tak walczyć z partyzantami. Młodzież po pewnym czasie została wysadzona z pojazdów i musiała iść przed czołgami jako żywe tarcze. Z Borowa, poprzez las, dotarli do Rudnika, skąd udali się do Krasnegostawu. Tam młodzież została zwolniona i mogła powrócić do domów.³⁵ W lipcu 1944 r. wojska okupanta opuściły Borów, zaś 26 lipca wkroczyły na teren wsi wojska radzieckie. W czasie wojny życie straciło wiele osób, często były to niewinne ofiary. Byli to m.in.: Wacław Leszczyński (który został wywieziony na roboty do Niemiec), Michał Kuczer (został zabity we własnym domu), Jan Starościak, Katarzyna Jopa oraz Seweryn Starościc, Śmieciuszewski i Janicki. Po wyzwoleniu, w różnych okolicznościach zostały zabite: Eugenia Leszczyńska oraz Sabina Stadnicka.³⁶

Po II wojnie światowej mieszkańcy przystąpili do odbudowy swoich gospodarstw. We wrześniu 1948 r. Borów został podłączony do istniejącej już w gminie sieci elektrycznej, co nadało wsi charakter rozwojowy. W marcu 1954 r. powstała Spółdzielnia Produkcyjna „Dobrobyt”. Jej założycielami byli Wiktoria i Czesław Krzysztofakowie oraz Feliks Grzybowski. W 1957 r. funkcjonowała tu szkoła podstawowa, Szkoła Przysposobienia Rolniczego oraz Uniwersytet Powszechny.³⁷ Natomiast po przełomie 1989 r. podobnie jak w większości miejscowości Lubelszczyzny, maleje przyrost naturalny. Wieś zaczyna wymierać. Dziś liczba mieszkańców wynosi 221 osób³⁸, a Borów ma charakter typowo rolniczy.

Joanna Antoniak

32. Z relacji Jerzego Jawora

33. P. Czuba, J. Wojtał, *Walczyli na ziemi krasnostawskiej 1939-1949*, s. 83, 95-96.

34. Tamże, s. 196-197.

35. Z relacji Eugeniusza Kuczera.

36. Tamże.

37. *Kronika Szkoły Podstawowej w Borowie*, s. 52.

38. Na podstawie informacji z Działu Ewidencji Ludności Gminy Gorzków.

Bohdan Kielbasa

 krótka historia Żółkiewki


Dawna Żółkiew koło Krasnegostawu, a obecna Żółkiewka, będąca stolicą gminy o tej samej nazwie, należącej do województwa lubelskiego, leży w północno-zachodniej części Roztocza i środkowo-północnej części Wyniosłości Giełczewskiej, w bardzo pięknym, lekko pofałdowanym terenie. Dawniej okolice te były pokryte olbrzymimi lasami, które karczowano dla powiększania powierzchni pól uprawnych. Z dawnych borów pozostały niewielkie lasy porastające łagodne zbocza wzniesień, dodające uroków tej okolicy.

Na podstawie bogatych znalezisk archeologicznych przedmiotów użytkowych, można twierdzić, że życie osadnicze ludności na tym terenie toczy się od V w. p.n.e. Natomiast wieś Żółkiew, w ziemi chełmskiej, której nazwa pochodzi od zjawisk przyrodniczych, leżąca w pasie pogranicza zwanego Ruśią Czerwoną powstała na przełomie XII i XIII wieku.

Po raz pierwszy, w dotychczas spotkanych źródłowych dokumentach pisanych, Żółkiew, jako wioska przygraniczna należąca do ziemi chełmskiej, wzmiankowana jest 11 listopada 1359 roku w dokumencie ustanawiającym granicę między ziemią chełmską i lubelską.¹ Nieznani są jej właściciele. Nie wiadomo też czy była w tym czasie zamieszkała, gdyż nie ma żadnych innych źródeł. Jej wcześniejsza historia jest pogrążona w mrokach. Od niepamiętnych czasów, jak to było praktykowane powszechnie w średniowieczu, właściciele Żółkwi nie używali nazwiska. Dopiero w 1417 roku wymieniany jest jako jej właściciel Jakub z Żółkwi, a następnie Jan i Mikołaj, oni też nie używali nazwiska.² Dopiero w 1515 roku, dziadek późniejszego hetmana - Stanisława - Mikołaj i jego brat Stanisław, w ziemskich dokumentach własnościowych po raz pierwszy użyli nazwiska rodowego „Żółkiewscy”.

W krótkim czasie Mikołaj Żółkiewski nabył wioskę Turynkę, położoną niedaleko Lwowa i tam

zaczął rozwijać, umacniać i szybko powiększać swoją posiadłość. Kontynuację powiększania majątku koło Lwowa przejął jego syn Stanisław, ojciec hetmana. Po jego śmierci, syn - również Stanisław, późniejszy hetman, wraz z dzielną i gospodarną małżonką Reginą, pobudowali koło Winnik, piękne, warowne i nowoczesne miasto, które przez sentyment do nazwy „gniazda rodowego” nazwali Żółkwią.

W naszej Żółkwi, w ziemi chełmskiej, na posiadanych od niepamiętnych czasów dobrach kilku wsi, pozostał brat dziadka hetmana Mikołaja Żółkiewskiego - Stanisław Żółkiewski. Tym sposobem rozdzieliły się dwie gałęzie rodu Żółkiewskich. Potomkowie Mikołaja: Stanisław, jego syn, również Stanisław - późniejszy hetman - i jego syn Jan doprowadzili do utworzenia magnackiej posiadłości i powstania pięknego miasta Żółkiew koło Lwowa. W 1620 roku, w wieku 73 lat bohaterską śmiercią ginie pod Cecorą hetman wielki koronny Stanisław Żółkiewski. W trzy lata po jego śmierci, z doznanych ran pod Cecorą, umiera jego syn Jan, doprowadzając do wygaśnięcia męskiej linii rodu. Prawnukiem hetmana po kądzieli jest Jan Sobieski, późniejszy król Polski, którego dziadek Marek i ojciec króla Jakub Sobieski gospodarzyli w Pilaszkowicach, odległych od Żółkiewki około 10 kilometrów, pełniąc w tym czasie bardzo ważne urzędy w Krasnymstawie.³

Po wyjeździe Mikołaja Żółkiewskiego do Turynki, w naszej Żółkwi pozostał jego brat Stanisław oraz jego potomkowie. Wspomniany wcześniej Jakub z Żółkwi pobudował u nas lub przekształcił z cerkwi, pierwszy drewniany kościół i doprowadził do utworzenia w 1417 roku parafii rzymskokatolickiej pod wezwaniem św. Wawrzyńca.

W czasie reformacji, w drugiej połowie XVI wieku, Paweł Żółkiewski przeszedł na kalwinizm i doprowadził do zamiany kościoła na zbór. Jednak pod koniec życia nawrócił się i wraz z synami w 1609 roku ufundowali, jako „votum błagalne za grzech innowierstwa” nową, drewnianą świątynię i obdarowali parafię w Żółkwi dwoma łanami pola, dotychczas nazywanego „księżyzną”.⁴

1. Stanisław Kuraś, Zbiór Dokumentów Małopolskich, cz. IV, Wrocław 1969, s. 113.

2. Żółkiewscy w ziemi chełmskiej, praca zbiorowa, dr Włodzimierz Czarnecki, Żółkiewka 2011, s. 29.

3. Tamże, dr Paweł Jusiak, s. 89-122.

4. Tamże, dr Wiesław Bondyra, s. 65-68.

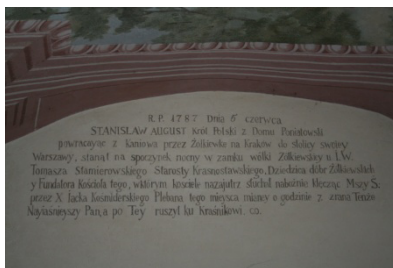
Po nadaniu Żółkwi koło Lwowa w 1603 roku „prawa magdeburskiego”, rody Żółkiewskich, a następnie ich spadkobiercy byli właścicielami dwóch posiadłości o tej samej nazwie. Żółkiew koło Krasnegostawu, jako gniazdo rodowe, i szybko rozwijające się, nowoczesne i duże miasto Żółkiew koło Lwowa. Po pewnym czasie, dla odróżnienia, naszą Żółkiew nazywano jako starą (antiqua), a Żółkiew koło Lwowa - nową. Pod koniec XVII w. naszą Żółkiew, jako mniejszą, zaczęto nazywać zdrobniale „Żółkiewka”. W 1702 roku ostatni męski przedstawiciel rodu naszej gałęzi - Aleksander Żółkiewski, podejmując próbę utworzenia miasta na części gruntów wsi Żółkiew, po raz pierwszy użył nazwy zdrobniałej „Żółkiewka”, w krótkim czasie nazwa ta przyjęła się i stała się nazwą urzędową stosowaną do czasów współczesnych.⁵ Wspomniany Aleksander Żółkiewski w 1714 pobudował w Żółkiewce trzeci z kolei drewniany kościół, który przetrwał do 1770 roku.⁶ Jego miejsce upamiętniała drewniana figura, a po jej zniszczeniu przez „potęgę czasu”, odnowiony w 2004 roku, przez Regionalne Towarzystwo Przyjaciół Żółkiewki i parafian, krzyż z tablicą granitową.



Stary i nowy krzyż upamiętniający miejsce drewnianego kościoła z 1714 r.

Po śmierci Aleksandra Żółkiewskiego w 1732 roku, Żółkiewkę dziedziczy jego córka Zofia, żona Samuela Głogowskiego. Od rodziny Głogowskich w 1738 roku Żółkiewkę z okolicznymi wsiami odkupuje Antoni Gruszecki, a od niego w 1755 roku dobra żółkiewskie kupuje sędzia

ziemski chełmski Tomasz Stamirowski, późniejszy starosta krasnostawski. Portrety jego i jego żony znajdują się w Muzeum Regionalnym w Krasnymstawie. Miał on dobre stosunki z ostatnim królem Polski - Stanisławem Augustem Poniatowskim, który w 1787 roku gościł w Żółkiewce.⁷



Pamiątkowy wpis potwierdzający pobyt króla w Żółkiewce. znajduje się w zakrystii kościoła rzymskokatolickiego, fundowanego przez T. Stamirowskiego w 1770 r.

Stamirowski, na wydzielonych przez Aleksandra Żółkiewskiego ze wsi Żółkiew gruntach, doprowadza w 1769 roku do utworzenia na prawie magdeburskim miasta Żółkiewki. Powołuje samorząd miejski, powierzając mu szerokie uprawnienia kompetencyjne. Wokół rynku miejskiego buduje dwadzieścia drewnianych domów z przeznaczeniem na wynajmowanie czynszowe oraz sprzedaż ich na korzystnych warunkach dla rzemieślników, nadając jednocześnie kształt rynkowi i centralnej części miasta. Większość tych domów w późniejszym czasie została wykupiona przez Żydów i tym sposobem zasiedlili oni centrum miasta. Zabudowa ta przetrwała do wielkiego pożaru 21 maja 1938 roku. Tomasz Stamirowski pobudował w latach 1769-70 istniejący obecnie

5. Tamże s. 85.

6. K. Boniecki, Opis historyczny diecezji lubelskiej, rękopis w Archiwum Archidiecezjalnym w Lublinie s. 603-608.

7. Adam Naruszewicz, Dyaryusz podróży Stanisława Augusta Króla na Ukrainę w roku 1787, Warszawa 1805, s. 591-596.

kościół dla wyznawców rzymskokatolickich, zachowując patrona św. Wawrzyńca, oraz drewnianą bożnicę dla Żydów. Po jego śmierci w 1796 roku, jego syn Antoni Stamirowski sprzedaje Żółkiewkę w 1800 roku bogatemu kupcowi pochodzenia niemieckiego Janowi Weberowi. W 1813 r. Żółkiewkę, jako wiano ślubne, otrzymuje jego trzynastoletnia córka Ludwika wychodząca za mąż za również bogatego fabrykanta spod Lwowa Ludwika Preszla.⁸



Portret Ludwika Preszla

Czasy zaborów nie sprzyjały rozwojowi miasta. Znikomy rozwój infrastruktury miejskiej oraz represje zaborcy po klęsce powstania styczniowego doprowadziły ukazem cara Aleksandra II, z 1 czerwca 1869 roku, do utraty przez Żółkiewkę prawa miejskiego i zaszeregowania jej do grupy tzw. osad. Od tego czasu, mimo różnych wahań losowych, Żółkiewka nie wróciła do dawnej świetności, zachowując miano ośrodka ponadgminnego. Mimo obalenia caratu i rozpadu Rosji, wspomniany ukaz carski nie został dotychczas uchylony i nałożone nim represje w stosunku do ponad trzystu miast w Polsce nadal obowiązują. Wprawdzie w czasie okupacji niemieckiej, w Żółkiewce Niemcy utrzymywali urząd burmistrza, a nie wójta jak w gminach wiejskich, to jednak po wojnie wprowadzono ponownie urząd wójta.

Pod koniec XIX wieku uruchomiono w Żółkiewce pocztę obsługującą do 1926 roku gminy: Turobin, Wysokie, Zakrzew i Rudnik. Z Piask do Żółkiewki prowadził gruntowy trakt pocztowy, na którym regularnie kursowały dyliżanse-pocztyliony. Od 1876 roku, jako jeden z czterech w powiecie krasnostawskim, funkcjonował tu sąd gminny obsługujący sąsiednie gminy. W 1906 roku utworzono Towarzystwo Kredytowe dla gmin Rybczewice, Rudnik i Żółkiewka, które w 1912 roku pobydowało istniejący do dziś budynek banku spółdzielczego.⁹

8. Wojciech Doliński, *Przekażmy przeszłość dla przyszłości*, Anglia 1982.

9. APL, Księgi grodzkie krasnostawskie.

Po odzyskaniu niepodległości, z inicjatywy miejscowego posła na sejm Stanisława Wróńskiego utworzono w Żółkiewce Oddział Zakazny Szpitala Powiatowego w Krasnymstawie i rozpoczęto rozbudowę jego zaplecza. W latach 1921-26 zbudowano drogę o twardej nawierzchni z Krasnegostawu do Żółkiewki, zmieniając jednak jej trasę, pozostawiając dawny szlak królewski biegnący przez Krakowskie Przedmieście na uboczu. W 1931 roku przedłużono szosę z Żółkiewki do Turobina. Utworzono i systematycznie rozbudowywano spółdzielnię mleczarską, utworzono i umacniano ekonomicznie „Syndykat”. W 1935 roku rozpoczęto budowę nowoczesnego budynku szkolnego, którą zakończono dopiero w 1958



Fragment palącej się Żółkiewki



*Pogorzelisko centrum Żółkiewki
Zdjęcia pożaru i po pożarze Żółkiewki wykonał
Żyd Bebel*

roku.

Wielką tragedią dla Żółkiewki był groźny pożar 21 maja 1938 roku, który prawie całkowicie zniszczył drewnianą zabudowę w centrum osady.



*Tak wyglądała główna ulica Żółkiewki do 1975 r.
Tu, na miejscu prymitywnych budek, stoją teraz bloki
spółdzielni mieszkaniowej*

Wybuch wojny i okupacja niemiecka nie pozwoliły na odbudowę. Dlatego też prymitywne budki i lepianki przetrwały do połowy lat siedemdziesiątych, a w całej osadzie panował „głód



Główna ulica Żółkiewki dziś

mieszkaniowy”.

Dopiero utworzenie pod koniec lat siedemdziesiątych spółdzielni mieszkaniowej oraz inwestycje z tego okresu zmieniły warunki życia mieszkańców, poprawiły ich obsługę oraz wygląd estetyczny osady.

Stworzyły znacznie korzystniejsze szanse rozwojowe, które jednak w okresie transformacji zostały zaprzepaszczone i wiele działających jednostek gospodarczych uległo likwidacji, powodując znaczny wzrost bezrobocia. Teraz dopiero uaktywnia się działalność zakładów prywatnych oraz powstają nowe.



Stanisław Bojarczuk

Do polanki

Polanka, zachwyt leśnych zarośli, ustroni.
W jesiennym słońcu drgania erotyczne mżą się.
Zapóźnionych nieśmiały brzęk pszczołek na wrzosie,
nim tę późną kwieć wczesny przymrozek uszroni.

Leszczyna żółciusiękie orzechy z się roni.
Krówki pasą się wolne od much, już nie gżą się.
Tu skromniutką przylaszczkę, uwielbiałem Zosię,
z unimbieniem warkoczy płowych u jej skroni.

Byłże to jakiś urok, zaklęcie, czy czary?
Sam na sam pędząc chwile z tak miłą osobką,
sam na sam młodzusiękich kmiecych dzieci pary.

Erosem był syn chłopki, Psyche - córą chłopką.
Ona z koszykiem rydzów, on z orzechów krobką
czerwono-żółciusiękich jak złote talary.

II

Promień słońca uśpiwszy dzieciństwo świtania,
szedł budzić po zaroślach jesienne rozkosze.
„Czyjaś, czyjaś?” - kwoktają kuropatw kokosze.
U mrowisk ciche szpasiach flecików świstania.

W tym salonie zachęty, flory okwitania,
gdzie w woni najczyściejszej nawet myśli zdrowsze,
o przylaszczkę osnute, marzenia najdroższe
szły pastusie sielanki, żałośnie rozstania.

Zawdzięczać to przyrody pięknu i jej ciału
czyniącemu z swych piersi dla moich oparcie,
żem zachował gorliwą cześć dla Idealu.

Czyje to dały moce, anielskie, czy czarcie?
Trudno może dziś dociec, tych uniesień szалу...
Jeszcze trudniej wyrazić je w sonetów karcie.

Rońsko, X 1869 – 1934

Jerzy Weremko

Historia parafii rzymskokatolickiej w Łopienniku



Parafia rzymskokatolicka powstała po roku 1426 i jej lokalizacja przypada na teren Łopiennika Lackiego. Udokumentowana wzmianka pojawia się w 1455 roku. Pierwotnie należała ona do diecezji chełmskiej. Kiedy w wieku XVII powstał dekanat krasnostawski, przez cały czas wchodziła w jego skład. W czasie buntów kozackich w XVII wieku zaginęły wszystkie dokumenty, na podstawie których można by określić datę erekcji parafii. Zachował się przekaz, że w 1565 roku w Łopienniku istniał drewniany kościół parafialny.

Następna świątynia, także drewniana, pochodzi z roku 1635 i została ufundowana przez Jana Mikołaja Daniłowicza, podskarbiego wielkiego koronnego. Według wizytacji biskupa chełmskiego Sasima, w roku 1635 istnieje kościół, ale nie jest jeszcze konsekrowany.

Paweł Piasecki, biskup chełmski, 25 lutego 1643 roku określa granicę parafii Łopiennik i zatwierdza posiadłości tego beneficjum z powodu braku dawnych przywilejów w Kumowie. Akt erekcyjny parafii został wznowiony na skutek zabiegów plebana łopiennickiego, księdza Baltazara Golańskiego. W akcie erekcyjnym zostało zaznaczone, że do parafii Łopiennik należy kaplica we wsi Dobryniów, a dziesięcinę ze wszystkich wiosek, nie wyłączając Dobryniowa, oraz wszelkie inne świadczenia od najdawniejszych czasów należą wyłącznie do rządcy kościoła macierzystego.

W akcie konsekracji, zanotowanym w księdze aktów urodzeń, na pierwszej stronie, pod datą 1684 znajduje się wzmianka dokonana przez biskupa Święckiego, że nowa świątynia została wzniesiona na miejscu starej, od dawna zniszczonej. Wybudował ją ks. Maciej Graniewski, oprócz tego podane są inne informacje dotyczące wystroju kościoła. *Roku Pańskiego 1684 - tego Łopiennickiego Matheusza Graniewskiego kano-*

nika Chełmskiego Dziekana Opatowskiego u tego zbudowany, a przez jaśnie wielmożnego Stanisława Święckiego Biskupa Chełmskiego, w tymże roku kiedy Biskupem y Rezydentem w Irybunsk, został konsekrowany. Patronem tego kościoła jest św. Bartłomiej, na święto jego. W pierwszą zaś niedzielę po tym święcie Dedicatio tego kościoła ma się prawować. Relikwie zaś świętych we Rcondious wszystkich ołtarzach trzech te są re-condo, N: Maun, Leonis, et Donote. Ołtarz Wielki in Honorem S. Bertholomerus. Ołtarz Mały a latere -



Kościół św. Bartłomieja w Łopienniku

z lewej strony przy (Zakrystii) w centralnym miejscu (Najświętszej Marii Panny bez grzechu poczętej). Ołtarz Mały z prawej strony od drzwi (il. honore) S: Antoni Padewski.

Podczas wizytacji biskupa w roku 1714, w jednej z notatek określono parafię jako niezbyt zamożną i w niewielkim stopniu opisano sprzęty będące na wyposażeniu kościoła, zapewne z roku 1684. Skarbnica była niezbyt obfita, posiadała monstrancję, kielich z osobną paterą, dwie korony srebrne, dekorujące obraz Matki Boskiej, kilka ornatów. Parafia wyposażona była w dwa łany pola na Łopienniku oraz dwa łany łąki na Dobryniowie, ogród, sad i dom. W Ziemianach dwa łany uprawiane były przez 5 poddanych, pracujących przez dwa dni tygodniowo. Parafia posiadała także prawo do wolnego wyrębu w lasach i wolnych połowów

w sadzawce. Dziesięciny z Łopiennika Lackiego, Ruskiego i Dobryniowa.

Kościół z 1684 przetrwał aż do początku XIX wieku, gdzie w latach 1827-32 został zastąpiony przez murowany z białego kamienia. Kościół ten został zbudowany przez ks. Dzięcielskiego i 12 lipca 1832 roku konsekrowany przez biskupa lubelskiego. Kościół posiadał małą wieżyczkę i był pokryty gontem. Posiadał on także oddzielną murowaną dzwonnice. Przestrzeń wewnętrzna kościoła składała się z jednej nawy i prezbiterium. Ołtarz główny umieszczony był w prezbiterium i posiadał obraz św. Bartłomieja Apostoła, oraz na zasuwie umieszczony był obraz Przemienienia Pańskiego. W nawie umieszczone były dwa ołtarze, które posiadały następujące obrazy: Najświętszej Maryi Panny, św. Walentego, św. Mikołaja, św. Izydora patrona rolników. Obok głównego ołtarza umieszczone były obrazy Najświętszej Maryi Panny i Serca Jezusa. Oprócz tego ołtarz główny wyposażony był w krucyfiks z fabryki Frazet, 10 lichtarzy cynowych. Informacje te pochodzą z roku 1888 i zostały spisane przez ks. Jakuba Szaniawskiego.

Na skutek ograniczenia swobód Kościoła rzymskokatolickiego, pod koniec wieku XIX kościół był już w bardzo złym stanie. Parafianie, wraz z księdzem Szeleźniakiem wystąpili z prośbą do władz gubernialnych o rozbudowę tego kościoła. W 1906 roku plany rozbudowy zostały zmienione na budowę nowego i o wiele większego kościoła. Prace budowlane rozpoczęto 15 maja 1909 roku. W roku 1912 nowy kościół został ukończony i przeniesiono do niego odprawianie nabożeństw. W starym zaś, do roku 1922 odbywały się niektóre uroczystości religijne. Funkcjonował nawet teatrzyk parafialny. W 1922 roku stary kościół został rozebrany. Nie przedstawiał on większych wartości historycznych i ze względu na swoje położenie (zbyt blisko nowego kościoła) przeszkadzał w oparkaniu nowej świątyni.

Z chwilą wprowadzenia tolerancji religijnej w 1905 roku, w parafii zaczęły powstawać liczne organizacje kościelne. Jako pierwsza powstała 23 lutego 1908 roku Amatorska Kościelna Orkiestra Parafii Łopiennik Lacki. Patronowali jej: ks. Feliks Szeleźniak, Jan Stroynowski - dzierżawca majątku Łopiennik Ruski, Jan Siemiątkowski - właściciel majątku Olszanka i Krzywe oraz z chłopów - Hen-

ryk Paraziński z Dobryniowa. Jeszcze w okresie zaborów, w 1912 roku powstało Kółko Łopiennickie - organizacja kościelna o profilu rolniczym.

Wybuch I wojny światowej na kilka lat wyhamował rozwijającą się samorządność parafian. Powstanie państwa polskiego na nowo wyzwoliło falę aktywności. 25 września 1922 roku została założona Kongregacja Trzeciego Zakonu św. Franciszka. Była to organizacja zrzeszająca ludność świecką. Przed tym zakonem istniała już podobna organizacja, w czasie rządów rosyjskich, była ona nielegalna i działała potajemnie, nie mając kanonicznej instytucji. Kongregacja Tercjarzy istniała przez 20 lat.

W latach trzydziestych powstały dwie organizacje, pierwszą założono 19 sierpnia 1934 roku pod nazwą Akcja Katolicka. Organizacja ta miała na celu pomagać księdzu w walce z niekatolickimi ugrupowaniami. Drugą organizacją było Bractwo Różańca Świętego. Kanonicza erekcja Bractwa odbyła się 25 lutego 1934 roku, dokonał jej ksiądz Edward Niećko. Rektorem Bractwa został ks. Jan Kasior. Ołtarz główny został powierzony Bractwu w opiekę. Ostatnio w parafii rozwija się kult obrazu Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

Od momentu swojego powstania parafia była dobrze uposażona. Zmiana nastąpiła dopiero w II połowie XIX wieku. Rząd carski pozostawił przy parafii 6 mórg ziemi. Po I wojnie światowej parafia otrzymała z Państwowego Funduszu Ziemi 8 ha gruntów. Przez cały okres istnienia parafii, jej granice nie uległy większym zmianom. Powiększyła się ona jedynie po I wojnie światowej, w momencie kiedy przestała istnieć cerkiew prawosławna (wcześniej - kościół unicki). Następna zmiana nastąpiła w roku 1982, kiedy zaczęto tworzyć w sąsiednim Orchowcu ośrodek duszpasterski.

Obecnie, w skład parafii wchodzi następujące miejscowości: Dobryniów wieś i Kol., Krzywe wieś i Kol., Łopiennik Dolny wieś i kol., Łopiennik Górny, Łopiennik Nadrzeczny, Łopiennik Podleśny wieś i Kol., Majdan Krzywski, Nowa Wieś, Olszanka wieś i Kol. oraz Ziemiany. Wszystkie kościoły łańskie, wraz z istniejącym, miały za swojego patrona św. Bartłomieja.

Jerzy Weremko

Jerzy Weremko

Perła architektury neogotyckiej w powiecie krasnostawskim. Część II



Cztery lata budowy kościoła św. Bartłomieja w Łopienniku

Wiosną 1909 roku, po uzyskaniu pozwolenia i zgromadzeniu odpowiedniej ilości materiałów budowlanych oraz ostatecznym ustaleniu miejsca, na którym miał stanąć kościół, na początku maja, przystąpiono do wykopu fundamentów. Prace przy zalewaniu fundamentów ustalono na 15 maja i w tym dniu je rozpoczęto. Postępowały one zgodnie z harmonogramem, pomimo ciągłych deszczy padających w maju i czerwcu tego roku. Już w przeciągu półtora miesiąca, dzięki wielkiej ofiarności i zaangażowaniu wszystkich parafian, budowa fundamentów została zakończona. Poświęcenie ich i położenie kamienia węgielnego odbyło się 1 lipca 1909 roku, podczas wizytacji kanonicznej biskupa lubelskiego Feliksa Jaczewskiego. Na uroczystość tę przybył z Warszawy architekt Józef Pius Dziekoński. Był także obecny majster murarski Stanisław Pronaszko. Po zakończonych uroczystościach kościelnych, odbyło się symboliczne wydarzenie, które polegało na włączeniu wszystkich obecnych do budowy świątyni. Wydarzenie to wspomina jedna z jego uczestniczek: *Byliśmy jeszcze dziećmi, kiedy to razem z bratem wzięliśmy udział w poświęceniu fundamentów. Wzniesiono wówczas prowizoryczny ołtarz i ksiądz biskup odprawił mszę świętą. Po zakończeniu uroczystości, każdy z uczestników - starcy, dorośli i dzieci brali do ręki cegłę i kładli na fundamencie, tak więc pierwsza warstwa cegieł położona jest przez pokolenie ludzi budujących kościół.*

W pierwszym roku budowy, pomimo nieprzyjającej aury, oprócz ukończenia fundamentów, rozpoczęto wznoszenie murów, które doprowadzono do wysokości gzymsu. Łączna suma, jaką zapłacono za wszystkie roboty wykonane w pierwszym roku wynosiła 6 325 rubli, i tak za fundamenty zapłacono 1 100 rubli, za wykonanie muru do wysokości parapetu okien 1 800 rubli



Fasada kościoła św. Bartłomieja w Łopienniku
fot. J. Weremko

i do gzymsu głównego 3 425. Na tym prace zakończono w okresie jesiennym. Przez okres zimy ściany budowli były narażone na działanie opadów śniegu i bardzo niską temperaturę. Ujemny wpływ na ogólną kondycję wzniesionych murów miało także nierówne osiadanie poszczególnych części budowli. Te wszystkie czynniki w konsekwencji doprowadziły do powstania pęknięć widocznych na murze. O tych wydarzeniach został powiadomiony naczelnik powiatu, który 20 lutego 1910 r. wysłał na miejsce budowy architekta powiatowego w celu dokonania dokładnej oceny zniszczeń. Wysłany architekt potwierdził istnienie szczelin w ścianach, które jego zdaniem powstały na skutek osiadania i dużej warstwy śniegu dookoła kościoła. W swoim raporcie podkreśla on dużą szkodliwość powstania szczelin dla budowli. Przez cały okres przerwy w prowadzeniu prac budowlanych, ksiądz i komitet budowy, pozostawali w listownym kontakcie z Dziekońskim i majstrem murarskim Stanisławem Pronaszką, informując ich na bieżąco o stanie budowli.

Na wiosnę 1910 roku zaplanowano kontynuację dalszych prac. W jednym ze swoich listów ksiądz Szeleźniak zapytuje majstra murarskiego, o ilość potrzebnej cegły na ukończenie całej budowy. W odpowiedzi Stanisław Pronaszko w piś-

mie z dnia 10 marca 1910 r. informuje komitet budowy, że na ukończenie prac budowlanych potrzeba ogółem 672 000 szt. cegieł, a mianowicie:

(...) na mury do gzymsu głównego - sztuk	135 250
na filary środkowe	33 000
na mury wież	272 700
na szczyty	90 700
na sklepienie	102 350
na żebra	38 000.

Roboty murarskie Pronaszko proponuje rozpocząć dopiero w końcu maja, kiedy to zostaną uzupełnione zapasy cegły, tak aby wystarczyło na doprowadzenie ścian do wysokości dachu.

Przed rozpoczęciem prac budowlanych, naczelnik powiatu skierował jeszcze raz architekta powiatowego na plac budowy, w celu gruntownego rozpoznania sytuacji i ustalenia, czy dalsze prace są możliwe. Architekt powiatowy, w swoim raporcie z dnia 27 marca 1910 r. donosi: *Na polecenia z dn. 20 marca br. zawiadamiam, że po przybyciu 27 marca do wsi Łopiennik Lacki i po wstępnym obnażeniu fundamentów, dokładnie obejrzałem pojawiającą się szczelinę w ścianie budowanego kościoła. Przy czym okazało się: wymieniona szczelina pojawiła się w północno-wschodniej części kościoła, w ścianie zewnętrznej i zaczyna się od parapetu okna dochodząc do poziomu ziemi na długości 1,60 sążnia i poniżej poziomu ziemi. Ciągnie się przez górną część ceglanego fundamentu na długości 0,45 sążnia i dochodzi aż do warstwy fundamentu złożonego ze ścistej opoki. Głębiej, szczeliny tej nie zauważono. Szerokość szczeliny od 2 do 3 mm. Moim zdaniem wymieniona szczelina pojawiła się z powodu nierównomiernej osiadania fundamentów w tej części budynku. Według charakteru, szczelinę nie uważa się za niebezpieczną dla budującego się kościoła i nie widzę przeszkód ze strony technicznej co do dalszej jego budowy. Szczelinę tę, w celu zapobieżenia rozszerzaniu z powodu opadów atmosferycznych, należy zacementować.*

Po oględzinach kościoła przez powiatowego architekta i zgodzie władz gubernialnych na dalszą budowę, prace rozpoczęto w drugiej połowie maja. W trakcie, na polecenie naczelnika powiatowego, 1 sierpnia 1910 roku architekt po-



Nawa boczna

wiatowy przeprowadził następną inspekcję. Zadaniem oględzin była ocena postępu prac oraz ich zgodność z planem i kosztorysem zatwierdzonym przez władze. Ustalono że: 1. *ściany budynku kościoła są już wyprowadzone i zakończone gzymsem (wieże nie są na razie budowane); 2. kończy się montowanie krokwi dachu; 3. kościół buduje się zgodnie z planem i kosztorysem. Odkryte zostały nieznaczne odstępstwa od planu - w zakrystii i magazynie zrobiono po jednym oknie, a według planu miały być dwa. Zmiany tej dokonał Dziekoński i nie ma to żadnego znaczenia zarówno w sensie technicznym jak i konstrukcyjnym. Zmiana została wykonana, aby umożliwić dobre rozmieszczenie inwentarza kościelnego (szafy w zakrystii).*

Prace zostały przerwane 30 lipca 1910 roku. Do tego czasu br. zapłacono 3 060 rubli za prace murarskie. Łącznie do tego czasu zapłacono 9 385 rubli.

Ciągłym problemem w okresie budowy, jak i po jej zakończeniu było powstawanie szczelin i pęknięć na ścianach. Budowa musiała być przez cały czas kontrolowana, a stopień i niebezpieczeństwa pęknięć - oceniane na bieżąco. Inspekcji budowy 4 sierpnia 1910 roku dokonywał inżynier gubernialny w obecności inżyniera do spraw administracyjnych i powiatowego inżyniera oraz proboszcza parafii Łopiennik Lacki - ks. Feliksa Szeleźniaka. Podczas inspekcji potwierdzono uwagi zawarte w raporcie architekta powiatowego. Zauważono istnienie szczelin, idących pionowo w podstawie budynku i rozszerzających się od ½ cala do 1 cala, aż do samego gzymsu. Zauważono także szczelinę w środkowej części budynku licząc

od wież. Z postawionej diagnozy wynikało, że główną przyczyną powstania pęknięć na ścianach jest nierównomierne osiadanie różnego ciężaru części budynku. Według komisji, stan i rozmieszczenie szczelin nie wydawały się być groźne dla budynku i można było rozpocząć dalsze prace budowlane.



Chór zachodni

W sierpniu 1910 roku była już możliwa budowa sklepień. Jednakże wykonawcy budowy, jak i władze kontrolujące jej przebieg mieli wiele wątpliwości, co do możliwości ich położenia. Inżynier gubernialny w swoim raporcie z dnia 31 sierpnia 1910 r. skierowanym do gubernatora stwierdza że: (...) *Na skutek powiększenia się szczelin w ścianach kościoła we wsi Łopiennik Lacki, za instalowanie na nich sklepień, jest niedopuszczalne. Specjalna komisja wyznaczona przez p. Gubernatora powinna zdecydować o tym problemie.* W odpowiedzi na raport inżyniera gubernialnego, urząd gubernialny w Lublinie w dniu 21 września 1910 roku wystosował pismo do naczelnika powiatu Krasnystaw zabraniające rozpoczęcia budowy sklepień, aż do czasu, kiedy to cały budynek osiadzie. Polecono także powiatowemu architektowi, osobiste prowadzenie obserwacji budowy i zatrzymanie jej wówczas, kiedy prace budowlane będą wymagały zainstalowania sklepień.

W październiku 1910 roku otworzyła się nowa szczelina, o czym wójt gminy Łopiennik Lacki poinformował naczelnika powiatowego. Raport w tej sprawie został skierowany do urzędu gubernialnego w Lublinie. Wszystkie prace przy budowie ścian zostały zakończone, a instalowanie sklepień - zatrzymane.

Jesienią 1910 r. zasadniczy trzon budowli był ukończony. Budowa dachu zatrzymała się na etapie ustawienia krokwi. Pozostawienie budynku bez przykrycia dachówką groziło narażeniem go na dodatkowe uszkodzenia, spowodowane opadami atmosferycznymi. Skierowano więc prośbę do władz o pozwolenie na pokrycie dachu. W odpowiedzi inżynier gubernialny w piśmie z dnia 28 października 1910 r. skierowanym do wydziału administracyjnego urzędu gubernialnego podkreśla znaczenie przykrycia dachu przed zimą, z uwagi na pojawiające się pęknięcia oraz na specyficzny fundament kościoła. Na wniosek inżyniera architekta gubernialnego, wydział budowlany poinformował urząd gubernialny (...) *ponieważ podstawa budynku kościoła bez dachu jest niedopuszczalna, bez szkody dla samego budynku. Pojawienie się nowej szczeliny przy szczególnych cechach fundamentu kościoła w Łopienniku Lackim jest normalne i nie może grozić zawaleniem się budynku, w sensie technicznym pokrycie dachu powinno być.* W swoim raporcie urząd gubernialny pozwolił na pokrycie dachu dachówką i zobowiązał naczelnika powiatu Krasnystaw do dokładnego informowania o postępujących pracach. 20 października 1910 r. rozpoczęto częściowe pokrywanie dachu dachówką. Została ona zamówiona w warszawskiej fabryce dachówek „Miłosna”, skąd była sprowadzona kolejką do stacji Trawniki, a następnie na plac budowy dowożono ją chłopskimi furmankami. W odpowiedzi na prośbę ks. Szeleźniaka, 22 czerwca 1910 r. fabryka przysłała swoją ofertę, która zawierała dostarczenie dachówki na plac budowy, oraz wykonanie pokrycia dachu bez wież i sygnaturki. Fabryka zadeklarowała także swoich dekarzy, zastrzegając sobie w umowie dla nich stawkę w wysokości 2,50 rubla za dzień pracy. 25 sierpnia do stacji Trawniki przybyły już pierwsze transporty, których sprowadzanie było kontynuowane aż do zgromadzenia całej ilości potrzebnej na pokrycie dachu. Rozpoczęte prace nie przebiegły zgodnie z planem. Spowodowane to było ciągłymi deszczami oraz zimmem. Zaplanowana powierzchnia dachu do pokrycia, została wykonana tylko częściowo. Niewielką ilość dachówki położono prawidłowo tzn. na wapno, pozostałą zaś część wykonano „na sucho”. Wszystkie prace zostały wykonane prowizoryczne i wymagały gruntowych poprawek

w następnym roku. Na skutek silnych mrozów, prace zostały przerwane 17 listopada 1910 roku. Jeszcze tego samego roku fabryka zadeklarowała chęć dokończenia rozpoczętej pracy i wykonanie jej w sposób prawidłowy.

W drugim roku budowy zostały ukończone mury. Częściowo rozpoczęto wznoszenie wież. Zostały także ustawione krokwie na dachu i w niewielkim stopniu przykryto je dachówką. Budowa sklepień została zatrzymana. W takim stanie budowla przetrwała zimę.



Nawa środkowa

Prace na wiosnę 1911 roku planowano rozpocząć wcześniej. 17 marca 1911 roku majster murarski Pronaszkowski w swoim liście, skierowanym do księdza, pyta, czy nie ma żadnych przeszkód w tym, aby przesłać robotników na 24 kwietnia do wykończenia wież. Również na wiosnę, w maju, komitet budowlany zdecydował się na przystąpienie do zabudowania sklepień. Wystosowano więc pismo z prośbą do naczelnika powiatu o wyznaczenie komisji w celu poświadczenia możliwości ich budowy. Prośba została przesłana 27 maja do urzędu gubernialnego, który wyznaczył komisję w składzie: inżynier, architekt gubernialny i powiatowy oraz urzędnik powiatowy. Komisja obejrzała w lipcu 1911 roku budynek kościoła, zauważając istnienie szczelin w dolnych częściach ścian oraz w środkowej ścianie między wieżami. Ustalono także, że od momentu pojawienia się w roku 1910 szczelin, niewiele się one powiększyły i prawdopodobnie ich powiększanie zostało zatrzymane. Po szczegółowym obejrzeniu budowli, komisja zezwoliła na położenie sklepień. Ostateczną decyzję w tej sprawie podjął urząd gubernialny, zapisując

w swoim referacie z dnia 23 sierpnia 1911 r. słowami następującej treści: *Nie widzi się przeszkód, ku temu, żeby zgodnie z wnioskiem komisji dnia 3 lipca br. co do dopuszczenia prac przy położeniu stropu na budynku kościoła we wsi Łopiennik Lacki, z tym żeby wymienione sklepienia były założone zgodnie z warunkami przedstawionymi przez komisję. Prace mają być przeprowadzone pod szczególnym nadzorem inżyniera, architekta powiatowego i obserwacją naczelnika powiatu, pod osobistą ich odpowiedzialnością.*

Po uzyskaniu pozwolenia, rozpoczęto prace przy budowie sklepień, które trwały w okresie letnim, jednocześnie prowadzono prace przy wykańczaniu wież. Na przełomie czerwca i lipca 1911 roku zostały zamontowane figury w szczytach ścian transeptu. Po zakończeniu budowy sklepień, władze kontrolujące jej przebieg wystąpiły z propozycją sprawdzenia ich wytrzymałości. Sprawdzenie to miało polegać na miejscowym obciążeniu. Na tę decyzję, Dziekoński 15 listopada wystosował pismo do księdza Szeleźniaka, w którym kategorycznie sprzeciwia się takiemu badaniu wytrzymałości sklepień: (...) *Od P. St. Pronaszkowskiego wiem o nakazanych przez P. budowniczych z Guberni obciążeniach sklepień kościelnych, dla sprawdzenia czy po obciążeniu nie porysują się lub runą. Otóż w tej materii ośmielam się zwrócić uwagę Czcigodnego Księdza Proboszcza, że sklepienia kościelne mają za cel pokrycie przestrzeni kościelnej, ogniotrwale i estetycznie, zaś stanowczo nie są konstruowane do znoszenia ciężarów, jak to ma miejsce w magazynach i szpitalach. Bardziej jeszcze i mocniej musiałbym protestować przeciw nałożeniu obciążenia miejscowego na sklepieniach, wysoko na filarach rozpostartego. Taka próba musiałaby prowadzić wprost do naruszenia sklepień. Z tych powodów najuprzejmiej upraszam, ażeby Czcigodny Ksiądz Proboszcz nie pozwolił na rozpoczęcie prób, póki nie zostanie podjęta jakaś akcja przeciw zarządzeniom zbyt ryzykownym (...).* Dzięki zabiegom księdza i Dziekońskiego, próba obciążenia sklepień nie została przeprowadzona w roku 1911.

W trzecim roku budowy, oprócz wymienionych już prac została ukończona w całości budowa dachu. Na następny rok pozostały jedynie prace wykończeniowe, w postaci położenia tynków, zainstalowania witraży oraz zamontowania drzwi.



Prezbiterium wraz z ołtarzem

5 marca 1912 roku Pronaszko w liście zapytuje księdza, czy termin rozpoczęcia prac wyznaczony na 15 kwietnia będzie odpowiedni i czy została zgromadzona odpowiednia ilość materiałów potrzebna na prowadzenie prac wykończeniowych bez przerw, aż do zakończenia prac budowlanych. W swojej odpowiedzi, ksiądz Szeleźniak zgadza się na wyznaczony termin, jednakże uważa, że podjęcie tej decyzji powinno wyjść od samego Dziekońskiego. Informuje także o tym, że pojawiły się na jesieni ubiegłego roku szczeliny, które zaczęły się powiększać. Od ubiegłego roku szczeliny powiększały się na długości 1 metra, a nad drzwiami nawet i więcej. Ksiądz obawia się, że po zatynkowaniu, szczeliny mogą się uwidaczniać. Odpowiada, że wszystko jest przygotowane na to, aby prace mogły być prowadzone bez przerw. W dalszej części swojego listu informuje, że sklepienia nie zostały jeszcze obciążone, ale niedługo będą. Pyta także o projekty drzwi, które nie zostały nadesłane.

15 marca 1912 roku majster Pronaszko odpowiada na list księdza z dnia 10 marca, w którym zawiadamia, że w porozumieniu z Dziekońskim ustalono termin rozpoczęcia prac na 15 kwietnia br. Informuje także o sposobie zabezpieczenia szczelin przed dalszym powiększeniem. W miejscach szczelin postanowiono założyć żelazne belki. Zwraca się także z prośbą o przygotowanie belek w ilości 4 sztuk po sześć łokci długości

i dwie sztuki po 9 łokci długości. W dalszej części informuje o wysłaniu rysunków drzwi, które były gotowe już od jesieni, ale zaginęły na poczcie. Zobowiązuje się do wysłania nowych.

Przed rozpoczęciem prac ustalonych na 15 kwietnia, komitet budowlany zwraca się do naczelnika powiatu z prośbą o przysłanie kompetentnych osób w celu ustalenia prawidłowości wykonanych sklepień. Informuje również, że sklepienia już wyschły i jest możliwe nakładanie obciążeń. Urząd gubernialny 12 maja 1912 roku skierował do Łopiennika specjalną komisję, która miała za zadanie ustalić prawidłowość wykonania sklepień, oraz sprawdzić ich wytrzymałość. Za wykonaną usługę komitet budowy został zobowiązany do zapłacenia 32 rubli 10 kopiejek. Komisja w składzie: inżynier, architekt gubernialny i powiatowy oraz urzędnik z urzędu gubernialnego, także naczelnik powiatu, po przybyciu na miejsce o godz. 11 ustaliła, że:

1. Obecnie nie spotyka się już obciążania sklepień, dostatecznym dowodem może być brak szczelin w tynku, które mogłyby pojawić się przy ruchu ścian i powiększaniu się szczelin na arkach;
2. Szczeliny, które zostały zauważone w ścianach w miesiącu czerwcu niewiele się zwiększyły i nie mają charakteru zagrażającego wytrzymałości budynku. Ze względu na to komisja budowlana nie widzi przeszkód co do dalszego prowadzenia prac przy budowie wymienionego kościoła. Jednak z warunkiem, żeby szczeliny były pod nadzorem technicznym. Na wniosek komisji urząd gubernialny wydał zezwolenie na prowadzenie dalszych prac, aż do ich zupełnego wykończenia.

Rok 1912 był ostatnim rokiem budowy. Prace wykończeniowe trwały jeszcze przez okres letni i jesienny. Już w grudniu kościół nadawał się do odprawiania nabożeństw.

Szybko zmieniająca się sytuacja polityczna i umacnianie się pozycji mocarstwa carskiego, stworzyło zagrożenie dla ukończenia budowy. Były nawet plany zmienienia jej na cerkiew prawosławną - ksiądz i ludność katolicka spieszyli się z doprowadzeniem budowy do stanu używalności. W związku z tym, 8 grudnia 1912 roku ksiądz kieruje swoje pismo do gubernatora, w celu uzyskania pozwolenia na odprawianie nabożeństw. Załącza także świadectwo wydane przez architekta, inżyniera powiatowego w sprawie pełnego bez-

pieczeństwa i prawidłowości ukończenia budowli. Akt ten zawiera stwierdzenia następującej treści: 7 grudnia 1912 roku we wsi Łopiennik, powiatu krasnostawskiego, guberni lubelskiej, krasnostawski inżynier architekt powiatowy dokonał obejrzenia budynku nowego, kamiennego rzymskokatolickiego kościoła. Okazało się, że budowa została przeprowadzona zgodnie z zatwierdzonym planem, dobrze, dokładnie z materiału wytrzymałościowego i zakończona. Oprócz położenia kamiennej podłogi, jest położona drewniana. Na tym akt oględzin został zakończony i podpisany.

10 grudnia 1912 roku gubernator zezwolił na czasowe odprawianie nabożeństw. Pierwsze nabożeństwo odprawiono w nowym kościele w Wigilię Bożego Narodzenia 1912 roku. Z tej okazji, w prasie lubelskiej ukazały się krótkie informacje: (...) we wsi Łopiennik w pow. krasnostawskim odbyło się poświęcenie kościoła wzniesionego kosztem miejscowych parafian. Poświęcenia dopełnił proboszcz par. Fajstławice ks. Krzywicki, przy udziale tysięcznego ludu przybyłego z różnych stron gub. Lubelskiej.

- Pasterka w nowym kościele. Z Łopiennika w pow. Krasnostawskim donoszą, chcą się podzielić wielką radością, która nappełniła serca nasze, gdy w dzień wigilii zanosiliśmy pierwszy raz do Boga modły w nowym kościele. Budowaliśmy go cztery lata (...).

(...) Dzisiaj z wielką radością patrzymy na piękny nowy kościół zbudowany na sposób czysto gotycki, z dwiema wieżami. Brak w nim jeszcze posadzki, ołtarzy, organów i wielu innych rzeczy, ale z powodu wielkiej ciasnoty w starym kościółku, pilno już nam było wyprowadzić się do nowego. Ułożono więc tymczasem podłogę z desek, urządzono ołtarz i oto na wigilię Bożego Narodzenia doczekaliśmy się radosnej chwili poświęcenia nowego Domu Bożego. Zgromadziliśmy się licznie i udaliśmy się z procesją do nowego kościoła. Tu ksiądz proboszcz dopełnił z upoważnienia biskupa uroczystego obrzędu poświęcenia. O, jakaż to była radość, żeśmy tego doczekali, żeśmy to mogli oglądać. O północy rozpoczęła się w nowej świątyni pasterka (...).

15 grudnia 1912 r. ksiądz ponawia prośbę o ostateczne już zatwierdzenie prawidłowości zakończonej budowli i wydanie zezwolenia na od-



Widok wieży

prawianie nabożeństw na okres stały. Ostateczne oddanie budowli do dyspozycji parafian odbyło się po obejrzeniu przez komisję skierowaną przez gubernatora 12 stycznia 1913 roku. Po tym okresie budowla ciągle była nękana przez różnego rodzaju pęknięcia ścian. Było to wynikiem tego, że grunt nie doszedł jeszcze do równowagi. Osiadanie budowli, zachodziło jeszcze wiele lat. Budowla ta, pomimo oddania jej do użytku, w dużym stopniu nie była jeszcze wykończona. Brakowało posadzki, co powodowało po pierwsze brzydki wygląd, po drugie prowizoryczna podłoga ułożona z desek, pozostałych po rusztowaniach, pochłaniała z ziemi wilgoć, która następnie rozprzestrzeniała się po całym wnętrzu kościoła. Z uwagi na te fakty, pomimo wyczerpania finansowego, podłogę z desek już w lipcu 1913 r. zastąpiono posadzką z płyt cementowych. W sierpniu były ukończone jeszcze schody prowadzące do zakrystii i kaplicy. Kościół, pomimo zatwierdzenia przez władze jego wytrzymałości, musiał być jeszcze, przez kilka lat pod ścisłą kontrolą specjalistów. Cała parafia wyczerpana pod względem finansowym, nie mogła szybko wyposażyć kościoła w potrzebne mu sprzęty. Niestabilna sytuacja polityczna, która w konsekwencji doprowadziła do pierwszej wojny światowej, na długi okres czasu uniemożliwiła doprowadzenie kościoła do należytej świetności.

Jerzy Weremko

Zbigniew Atras

Krótki rys historii zakonu i 470-letni okres istnienia klasztoru Augustianów w Krasnymstawie



Augustianie (dewiza: Tolle lege - Bierz i czytaj) czyli Zakon Świętego Augustyna to jedno z najstarszych chrześcijańskich zgromadzeń zakonnych i pierwszy z trzech zakonów męskich, jakie istniały w Krasnymstawie. Jego patronką jest Najświętsza Panna Maria Pocieszenia. Początki zakonu sięgają okresu przed 430 rokiem, kiedy to zaczęły się organizować pierwsze wspólnoty eremickie, czyli pustelnicze, żyjące według reguły św. Augustyna. W marcu 1256 roku w Rzymie, z nakazu papieża Aleksandra IV, spotkali się delegaci wszystkich klasztorów eremickich w liczbie 360 osób. W kościele Santa Maria del Popolo wysłuchano i przyjęto wolę papieża, czyli zjednoczenie prawne w celu utworzenia jednego, wielkiego Zakonu Eremitów św. Augustyna. Na ubiór zakonny augustianów wybrano czarny habit z kapturem szpiczasto zakończonym, sięgającym aż do czarnego, skórzanego pasa. Według opisu o. Uth pierwotny herb zakonu przedstawia na złotym polu płonące serce, spoczywające na księdze opasanej czarnym paskiem. Serce przeszywa strzała skrzyżowana z pastorałem. Obok znajduje się infuła. Hasłem są słowa „Tolle, lege. Tolle, lege”.



Herb zakonu augustianów

Najwyższym przełożonym zakonu był generał, wybierany na kapitule generalnej na okres 6 lat. Prowincją zarządzał prowincjał, a na czele pojedynczego klasztoru stał przeor. Obaj byli wybierani na kapitule prowincjałskiej na okres 4 lat.

Niecałe sto lat od powstania zakonu, bo w 1342 roku augustianie przybyli z Czech do Polski. Swój pierwszy, polski klasztor zbudowali w Krakowie

wie, a już pięćdziesiąt lat później, bo w 1394 roku, jak podaje XV-wieczna zakonna księga wpisów o. Pawła Wojsy, z fundacji króla Władysława Jagiełły wzniesiono augustiański klasztor i kościół Świętej Trójcy w Krasnymstawie. Tak więc krasnostawscy augustianie byli rówieśnikami i duchowymi braćmi naszego miasta, choć nieudokumentowane przekazy mówią, że jako pustelnicy już sto lat wcześniej przebywali na jego terenie lub w okolicach, jeżeli nie na stałe to z całą pewnością okresowo. Jest to o tyle możliwe, że zakon prowadził szerokie działania misyjne na Rusi, czyli że zakonnicy w Krasnymstawie (wówczas jeszcze Szczekarczowie) bywali, a może nawet mieli u nas jakąś swoją pustelnię. Murowane z kamienia i cegły, w stylu gotyckim budowle zakonne powstały w latach 1394-1434 w obrębie murów, w północnej części miasta i w bezpośrednim sąsiedztwie królewskiego zamku. Augustiański kościół miał charakter obronny i możliwe, że stanowił część murów miejskich. Z całą pewnością tworzył wraz z zamkiem wspólny i być może połączony system obronny.



Aleksander Oliwa - jeden z czterech portretów generałów zakonu

Pierwotny gmach kościoła Świętej Trójcy nie różnił się zbyt wiele kształtem od budynku zachowanego do dnia dzisiejszego. Posiadał jednak wysoki, gotycki dach, zapewne kryty gontem lub dachówką, nad którym górowała niezbyt wysoka wieżyczka. Jeżeli kościół stanowił część murów miejskich, to od strony północnej pewnie nie posiadał okien, a jeżeli tak, to bardzo małe o obronnym charakterze, za to ścianę południową zdobiły wysokie i wąskie okna w stylu gotyckim. Nawa pierwotnie była zapewne trzyprzęsłowa i przedłużona od frontu. Od strony południowo-wschodniej znajdowała się prostokątna kaplica. Prezbiterium było

niecego węższe od nawy i dwuprzęsłowe. Z zewnątrz zamykało się ono trójbocznie i niesymetrycznie, chyba ze względu na przebieg murów miejskich, a od wewnątrz - półkoliście. O wewnętrznym wystrój kościoła, z początkowego jak i późniejszych okresów nic nie wiemy. A jak wyglądał pierwotnie augustiański klasztor? Najprawdopodobniej był to murowany, parterowy budynek kryty zapewne gontem, który dziś stanowiłby przednią część klasztoru, posadowioną na piwnicach będących obecnie kryptami grobowymi, a które aktualnie nie są dostępne. Możliwe, że od zachodu w bezpośrednim sąsiedztwie głównego klasztoru znajdował się jeszcze jeden mały budynek klasztorny, niewiadomego przeznaczenia, o czym świadczą średniowieczne kamienne mury piwnic odsłonięte obecnie podczas wykonywanego remontu. W 1440 i 1449 roku nowe budowle augustiańskie zostały zniszczone przez Tatarów, ale już w 1458 roku, z fundacji króla Kazimierza Jagiellończyka klasztor i kościół Świętej Trójcy został odbudowany. Aleksander IV Jagiellończyk na nowo erygował kościół Augustianów i ofiarował klasztorowi Świętej Trójcy braci eremitów reguły św. Augustyna siedzibę jego, place i posiadłości, na przedmieściu szpital Świętego Ducha, a także fortyfikacje miasta, co potwierdza dokument królewski z 12 lutego 1505 roku. Świadczy to o odpowiedzialności, jaką ponosił zakon za zabezpieczenie obronne miasta, dbałość o mury fortyfikacyjne i system obrony w części stanowiącej własność klasztoru.

Fundusze na wypełnienie wszystkich powierzonych zadań i własną działalność augustianie pozyskiwali dzięki licznym nadaniom i przywilejom królewskim oraz prowadzonej działalności gospodarczej. 26 XI 1503 król Aleksander Jagiellończyk darował braciom eremitom 4 sześćdziesiątki z cła chełmskiego corocznie i jeden wiertel mąki grochowej z zysków młyna krasnostawskiego. 19 X 1558 roku król Zygmunt August nadał oo. augustianom przywilej na wolne melcie słodów i wszelakiego zboża w młynach miejskich i starostwa krasnostawskiego bez miary na potrzeby swoje wiecznymi czasami. W różnych okresach istnienia klasztoru, augustianie posiadali także własny browar i cegielnię. Dokładną historię krasnostawskiego konwentu trudno jest odtworzyć, ponieważ miejscowe archiwum augustianów było wielokrotnie przemieszcza-

ne, częściowo zniszczone w czasie licznych wojen i pożarów, a ostatecznie zaginęło lub zostało rozproszone po kasacie klasztoru w 1864 roku.



Klasztor Augustianów

W początkowym okresie, w krasnostawskim klasztorze nie przebywało więcej niż 3-4 zakonników. Augustianie, żyjąc we wspólnocie zakonnej, prowadzili prace na rzecz Kościoła lokalnego i należeli do najbardziej świątliwych ludzi ówczesnej epoki. Znani byli z propagowania muzyki sakralnej, czego świadectwem są księgi liturgiczne jak antyfonarze, graduały i hymnaria. Augustianie szli wszędzie tam, gdzie mogli pomóc Kościołowi. Apostołowali wśród ubogich, chorych, upośledzonych i ludzi z marginesu społecznego, oraz na terenach zamieszkałych przez ludność innowierczą, wymagających pracy misyjnej. Ich dziełem było stworzenie wielu wspólnot kościelnych. Prowadzili działalność naukową, a swoimi misjami sięgali najdalszych krańców ziemi. Przykładem doskonałego przygotowania i zasięgu prowadzonych działań misyjnych jest zachowana księga z dawnej biblioteki augustiańskiej w Krasnymstawie, służąca do nauki języka tybetańskiego. Augustianie byli dobrze wykształceni, ponieważ zakon nakładał obowiązki studiowania. Studia zakonne obejmowały najpierw stopień przygotowawczy z gramatyki, po ukończeniu którego można było przystąpić do wyższych studiów. Szkoły zakonne były dwojakie: wyższe zwane *studia generalia et majora*, na których oprócz teologii i filozofii wykładano też inne nauki, oraz studia niższe, zwane *studia provincialia vel minora*, gdzie wykładano gramatykę i logikę. Kapituła generalna w Rzymie określała dokładnie czas trwania wyższych studiów potrzebnych do uzyskania poszczególnych stopni akademickich.

Po czterech latach studiów można było uzyskać tytuł kursora, a po dalszych dwóch latach - lektora. Stopień bakałarza można było zdobyć po ośmiu latach nauki, a po dziesięciu, a później nawet dopiero po dwunastu latach studiów można było zdobyć tytuł doktora.



Odkopane podczas remontu podziemne wejście

Augustianie, podobnie jak dominikanie i franciszkanie mieli prawo spowiadania i głoszenia słowa Bożego, co było zapewne głównym zadaniem ojców krasnostawskiego klasztoru, bo obszar diecezji chełmskiej wymagał ogromu pracy misyjnej. Papież Bonifacy VIII udzielił zakonowi augustiańskiemu szczególnego przywileju, a mianowicie prawa zakładania cmentarzy w swych klasztorach, na których mógł być pochowany każdy wierzący. Taki cmentarz grzebalny powstał też przy augustiańskim kościele Świętej Trójcy w Krasnymstawie, a dowodzą tego znaleziska ludzkich kości, jakie zdarzają się na niezabezpieczonym należycie terenie klasztoru, oraz w czasie prowadzonych prac budowlano-remontowych. Cmentarze zakonne miały duże powodzenie, ponieważ w owych czasach powszechnie uważano, że pochówek w takim miejscu daje rękojmię i zapewnienie prędkiego wyswobodzenia z czyśćca dusz tych zmarłych, których doczesne szczątki będą złożone na terenie klasztoru, w bezpośredniej bliskości Najświętszego Sakramentu i zakonnych modłów oraz egzekwii za zmarłych.

Przez pierwsze dwa wieki istnienia polscy augustianie należeli do prowincji bawarskiej. Dzieliła się ona na 9 okręgów, w tym: polski, mazowiecki i ruski. Do okręgu polskiego należały klasztory augustiańskie w Krakowie, Olsztynie, Książu Wiel-

kim, Wieluniu, Krasnymstawie i Pilźnie. Okręg mazowiecki tworzyły klasztory w Warszawie, Rawie i Ciechanowie, a okręg ruski - klasztory w Brześciu Litewskim, Grodnie i Parczewie, z tym, że klasztor parczewski istniał bardzo krótko. Samodzielna prowincja polska powstała w 1547 roku i była uwieńczeniem ponadośmioletnich starań klasztorów z trzech wyżej wymienionych okręgów. Prośbę w tej sprawie podpisał, obok innych przełożonych polskich konwentów, także o. Jan będący w 1546 roku przeorem krasnostawskiego klasztoru Augustianów. Pismem z dnia 6 lipca 1547 roku generał zakonu, mocą swojego urzędu dokonał separacji klasztorów polskich od prowincji bawarskiej. *Klasztory polskie złożywszy generałowi 10 dukatów w złocie, jako zwyczajną daninę, tworzą odąd oddzielną prowincję. W przeciągu 4 miesięcy ma być zwołana kapituła celem wyboru pierwszego prowincjała, która wszystkie odnośne akta przedłoży do zatwierdzenia generałowi.*

Utworzenie oddzielnej prowincji polskiej umożliwiło augustianom pochodzenia polskiego, rozrzuconym po wielu zagranicznych klasztorach prowincji bawarskiej, powrót do klasztorów w kraju. Powstanie polskiej prowincji przypada na bardzo niepomyślny czas w historii Kościoła katolickiego. Rewolucja kościelna wywołana w dniu 31 października 1517 roku wystąpieniem Marcina Lutra (augustianina) w Wittenberdze w Niemczech i jego 95 tez przeciwko handlowaniu odpustami dało początek reformacji i miało swoje niekorzystne oddziaływanie także na klasztory w Polsce. Ówczesne kroniki odnotowują wiele skarg na niesprawiedliwości, krzywdy, a nawet napady na dobra zakonne. Reformacja zniszczyła i odebrała augustianom wiele klasztorów, zwłaszcza w Niemczech. W ten sposób zniknęły całe augustiańskie prowincje zakonne na Śląsku, Pomorzu i w Prusach Królewskich. Sprawozdanie prowincjała Szymona Mniszka do generała zakonu z dnia 20 kwietnia 1582 roku opisuje smutne efekty reformacji w Polsce, gdzie pozostało zaledwie 10 ojców augustianów, w dodatku bez żadnych studiów, zrujnowane i utracone na rzecz heretyków klasztory i ogólne rozluźnienie. W latach 1619-1622 funkcję prowincjała zakonu pełnił o. Paweł z Krasnegostawu, a podjęte działania kontreformacji stopniowo poprawiały sytuację.

Ważnym i korzystnym czynnikiem ponownego rozwoju klasztorów augustiańskich było duże znaczenie, jakie zakon przywiązywał do kształcenia i zdobywania wiedzy przez swych członków. Zakonne studia wyższe prowadzono w tym czasie w konwentach w Warszawie i w Krakowie, a dużą liczbę zakonników kierowano na studia zagraniczne. W niedługim czasie dało to augustianom zastęp wybitnych osobistości i przysporzyło zakonowi znaczenia, zaszczytów i wielu nowych członków. W 1625 roku liczba augustiańskich klasztorów w Polsce wzrosła do 15, a przebywało w nich 119 dobrze wykształconych zakonników, z czego pięciu znajdowało się w klasztorze w Krasnymstawie.

Od 1648 roku Polskę nawiedziły straszne i niszczące wojny. Na wschodzie kraju wybuchł bunt kozacki rozniecony przez Chmielnickiego, który nie ograniczył się tylko do terenów dalekich Kresów i Naddniestrza, ale ogarnął Podole, Wołyń, ziemię chełmską, sięgając aż po Litwę. Do buntu garnęło się ruskie chłopstwo zwane czernią i służyło mu schizmatyckie duchowieństwo. Samego kozactwa liczone na 200 tysięcy. Buntownicy nie okazali litości dla wieku, płci czy stanu. Palono kościoły, dwory i całe wsie, burzono zamki. Mordowano księży, zakonników, szlachtę i prosty lud. Niszczono wszystko, co polskie i katolickie. W październiku 1655 roku Krasnymstaw najechały wojska kozacko-moskiewskie. Miasto zostało zdobyte i przez kilka tygodni okupacji było palone i grabione, a ludność mordowana. Krasnostawskim augustianom udało się opuścić miasto i ratując dobytek klasztoru i kościoła, zbiec do Lublina. Tam schronili się w swoim nowym, lubelskim klasztorze, ale nie na długo. Już 15 października Kozacy podeszli pod Lublin, a 16 dnia tego miesiąca, oblegając miasto weszli do klasztoru Augustianów, który znajdował się poza murami. Każdego napotkanego zakonnika zabijali natychmiast. W lubelskim klasztorze został wówczas zamordowany o. Ferdynand Damianowicz, eksprowincjał i przeor konwentu krasnostawskiego. W jednej z cel zakonnych Kozacy spalili innego, jeszcze niedawno „krasnostawskiego” zakonnika o. Józefa Czechowicza oraz zabili młodego nowicjusza, brata Felicjana - organistę klasztornego z Krasnegostawu.

Przybliżmy nieco postaci dwóch zamordowanych ojców augustianów z krasnostawskiego

konwentu. Ferdynand Damianowicz urodził się zapewne w Krasnymstawie, bo będąc klerykiem, w aktach kapitulnych został zapisany jako Fr. Ferdinandus Crasnostaviensis. W dniu 4 kwietnia 1633 roku złożył on profesję w ręce o. prowincjała Izajasza z Bochni, a w księgach profesyj zachował się jego własnoręczny podpis. Studia ukończył w Warszawie. W roku 1637 został diakonem i ówczesny prowincjał Baltazar Mstowski posłał go na dalsze studia zagraniczne. W 1649 roku przebywał w charakterze dyskreta prowincji polskiej w kapitule generalnej zakonu augustianów w Rzymie. W 1652 roku na kapitule prowincjańskiej w Warszawie obrany został prowincjałem, a w 1655 roku, najprawdopodobniej na własną prośbę został przeniesiony do Krasnegostawu, gdzie został wybrany przeorem. Zginął w Lublinie zamordowany przez Kozaków. Był jednym z najbardziej świątliwych umysłów augustiańskiej wspólnoty zakonnej.

Józef Czechowicz pochodził prawdopodobnie z Olkusza. Profesję zakonną złożył 19 marca 1645 roku na ręce o. prowincjała Stanisława Kornickiego. W latach 1652-1655 przebywał w Krasnymstawie. Na kapitule olkuskiej w 1655 roku został syndykiem prowincji i przedprzeorem w Lublinie. Nie na długo opuścił krasnostawskich augustianów, bo według księgi zmarłych, w dniu 16 października 1655 roku razem z nimi został zamordowany przez Kozaków w lubelskim klasztorze. Ówczesne napady Kozaków, Szwedów i Tatarów wstrzymały rozwój polskich klasztorów augustiańskich i wniosły zakonowi całą rzeszę męczenników. Kościoły i klasztory rabowano, niszczone, przekazywano innowiercom lub zamieniano na magazyny i stajnie. Z aktów kapitulnych dowiadujemy się o napadach oraz rabunkach dokonywanych przez wojska kozackie i szwedzkie w 1656 roku w Krasnymstawie, w czasie których ucierpiał także klasztor Augustianów. Czytamy tam, że *aparaty kościelne nie zginęły z czyjejś winy, tylko z powodu zamieszek wojennych*, bo przecież w czasie potopu szwedzkiego zrabowano i wywieziono z Polski do Szwecji wiele cennych zabytków, ksiąg i dokumentów, w tym część zbiorów klasztornej biblioteki krasnostawskich augustianów. O Krasnymstawie pisze kronikarz Dryjacki, że *konwent ten został w czasie napadów zniszczony i potem przez o. Leonarda Białeckiego odrestaurowany*. Wiosną

1657 roku żołnierze węgierscy księcia Rakoczege i towarzyszący im Kozacy spustoszyli Krasnystaw i spalili augustiański klasztor. Wówczas to spłonęło zgromadzone w klasztorze archiwum zakonu augustianów.

Pomimo tak ciężkich czasów, zniszczeń i okrucieństw, w okresie XVII wieku powstało w Polsce najwięcej, bo aż 19 nowych klasztorów augustiańskich. Najprawdopodobniej właśnie wtedy, po wielkich zniszczeniach okresu potopu i powstań kozackich, w drugiej połowie XVIII wieku, a dokładnie w latach 1755-1766 nowy przeor krasnostawskiego konwentu augustianów o. Leonard Bialecki oraz jego następca o. Anioł Byczkowski, dzięki wielkim dobrodziejom zakonu, jakim była między innymi Katarzyna z Sobieskich Radziwiłłowa, odbudowali, a raczej wzniesli na nowo krasnostawski klasztor i wyremontowali zniszczony kościół Świętej Trójcy, zaopatrując go także w brakujące sprzęty kościelne. Powstał wówczas budynek klasztorny, który został wzniesiony częściowo na istniejących podpiwniczeniach pierwotnego klasztoru, mieszczących wspomniane już krypty grobowe. Był to już gmach piętrowy w pełni podpiwniczony, zbudowany na rzucie litery L. Wnętrze skrzydła głównego na obu kondygnacjach było trzytraktowe, z korytarzem na osi podłużnej i ciągami pomieszczeń (cel zakonnych) po bokach. W piwnicach i na parterze były sklepienia kolebkowo-krzyżowe lub kolebkowe z lunetami, a na piętrze sufit. W przyziemiu (na parterze) skrzydła krótszego znajdował się dawny refektarz o sklepieniu kolebkowym na gurtach z lunetami, a za nim na końcu skrzydła obszerna sień (konafaria) sklepiona kolebkowo, wyprowadzająca na północno-zachodnią część cmentarza klasztornego. Nieistniejące już dziś wejście główne na teren klasztoru znajdowało się w murowanym łączniku, znajdującym się między klasztorem i kościołem. Posiadało ono dwuskrzydłowe drzwi z osadzoną w nich żelazną kratą. Obok znajdowały się drzwi główne prowadzące do kościoła i małe drzwi furtowe do klasztoru. Drzwi dzisiejszego głównego wejścia (niegdyś ogrodowe) i okna przyziemia miały łuki, a okna piętra były o wiele mniejsze i kwadratowe w kształcie. Ściany wieńczył profilowany gzyms.

Czy pierwotny dach klasztoru był wysoki i nawiązywał kształtem do dachu kościoła, zachowując

cechy gotyckie - nie wiadomo. Na akwareli Vogla z 1794 roku przedstawiona jest część elewacji wschodniej klasztoru widoczna na zdjęciu po prawej stronie nieistniejącej już dziś wielkiej kopuły kościoła Świętego Franciszka, a lewej stronie drzewa stojącego za bramą zamkową. Jest to budynek kryty wysokim dachem łamanym z narożnikami podkreślonymi boniowaniem. Obraz przedstawia także widok kościoła Świętej Trójcy oglądany od strony prezbiterium (na prawo od drzewa i na lewo od ściany zamku). Prawie nie zmieniony w murach kształt augustiańskiego klasztoru zachował się do dnia dzisiejszego.



Klasztor Augustianów - lata 60. XX w.

W 1772 roku nastąpił pierwszy rozbiór Polski i rozpoczął się szybki, bo zajmujący zaledwie 23 lata, okres ostatecznego upadku i likwidacji państwa polskiego. Wraz z upadkiem ojczyzny rozpadła się polska prowincja augustianów. W 1773 roku należały do niej 23 klasztory z 262 zakonnikami, w tym krasnostawski konwent, w którym przebywało wówczas 8 ojców i 4 laików. Dwa lata później rozpoczął się czas kasaty polskich zakonów na terenie poszczególnych zaborów. Notatka z 1784 roku zamieszczona w liście do Rzymu, mówi o separacji klasztorów znajdujących się pod zaborem austriackim. Lista z 1786 roku wymienia ówczesne klasztory augustiańskie w Polsce i dzieli ją na większe: warszawski, krakowski, wileński, brzeski, ciechanowski, wieluński, lubelski, krasnostawski, zatorski, radziechowski, i mniejsze: rawski, olkuski, ksiąski, narodczewski, rodniański, orchowski oraz chojnicki w zaborze pruskim. Po trzecim rozbiórce, polską prowincję augustiańską podzielono na trzy mniejsze: galicyjską, pruską i rosyjską, zgodnie z granicami poszczególnych

zaborów. W skład prowincji galicyjskiej weszły klasztory w Krakowie, Lublinie, Krasnymstawie, Wielkim Książu, Olkuszu, Orchówku i Pilźnie. Przeorem krasnostawskiego konwentu był wówczas o. Ludwik Pernett. W roku 1797 w krasnostawskim klasztorze odbyła się kapituła prowincjańska. W latach 1797-99, w niedalekiej Borowicy wybudowano modrzewiowy kościół, którego fundatorem był Kazimierz hrabia Krasiński, ostatni obożny koronny i właściciel miejscowych dóbr. Od chwili powstania, pieczę duszpasterską nad kościołem powierzono oo. augustianom z Krasnegostawu, co czynili aż do chwili kasaty zakonu. W dniu 5 lipca 1800 roku odbyła się w krasnostawskim klasztorze Augustianów kapituła międzyczasowa, a 4 lipca 1806 roku miała tu ponownie miejsce kapituła prowincjańska. Na kolejnej kapitule prowincjańskiej w Krasnymstawie, która obradowała 27 czerwca 1810 roku odczytano akta kapituły prowincji Księstwa Warszawskiego odbytej w Rawie. Akta dotyczyły zjednoczenia prowincji galicyjskiej i Księstwa Warszawskiego. Ojcowie galicyjscy okazali wówczas wielkie niezadowolenie na temat tych nagłych postanowień i rozporządzeń i wystosowali pismo, w którym proponują plan postępowania i zwołanie specjalnej kapituły unijnej w Krasnymstawie. Jednak obaj prowincjałowie goszczący wtedy w krasnostawskim klasztorze zwołali tę kapitułę na 11 października 1811 roku, a na jej miejsce wyznaczyli Rawę. Do zjednoczenia doszło, a nowa prowincja liczyła zaledwie 10 klasztorów (skutek kasacji), w których przebywało 77 augustianów. Jednym z nich był klasztor w Krasnymstawie, gdzie było 9 zakonników, a którego przeorem był wówczas o. Wincenty Wirzynt.

Początek XIX wieku to świat, na którego mapach nie było już państwa polskiego. W latach 1821-24 zaborcze władze carskie stopniowo odbierały augustianom budynki ich kościoła Świętej Trójcy i klasztoru w Krasnymstawie. Kościół zamieniono na magazyn, a klasztor początkowo na szpital, a następnie na koszary wojskowe. Jak zawsze w najtrudniejszych dla augustianów okresach, zakonników przygarniał stary, drewniany kościół Przemienienia Pańskiego stojący poza resztkami ocalałych murów miasta, na dawnym cmentarzu przy ówczesnej ulicy Starolubelskiej. Tak było w czasie potopu szwedzkiego i w obecnym okre-

sie zaborów, gdy odbierano im kościół i budynki zakonne. Tu, w cmentarnym kościółku mogli przeżyć najgorszy okres, lecz na szczęście były to czasy, gdy zaborca rosyjski stwarzał jeszcze pozory współpracy, oraz istnienia namiastki polskiej niezależności i chyba dlatego w latach 1824-39, na peryferiach ówczesnego Krasnegostawu wybudowano na zlecenie władz carskich nowy kościół i klasztor Augustianów, jako rekompensatę za utracone zabudowania starego klasztoru. Zespół budowli nowego klasztoru augustiańskiego składał się z kościoła pod tym samym wezwaniem Świętej Trójcy, z osobną dzwonnica, otoczonego murem, oraz klasztoru i budynku gospodarczego.



Kościół i klasztor Augustianów - widok obecny

Najpierw, bo około 1826 roku wzniesiono parterowy klasztor z mieszkalnym poddaszem. Jest to budynek na rzucie prostokąta, z płytkim portykiem o trzech arkadach na filarach, zwieńczony frontonem. Wnętrze było dwutraktowe, a obecnie jest znacznie przekształcone. Kościół wzniesiono w latach 1837-39 według projektu Henryka Marcyniego, w stylu klasycystycznym. Nawa powstała na rzucie zbliżonym do kwadratu, i jest przykryta stropem. Od frontu posiada płytki ryzalit, mieszczący kruchtę, a na piętrze chór otwarty arkadą do nawy. Prezbiterium było węższe, na rzucie też zbliżonym do kwadratu i przykryte stropem, z dwiema prostokątnymi zakrystiami po bokach. Dach nawy był czterospadowy z ośmioboczną wieżyczką na sygnaturkę, a nad prezbiterium - trójpłociowy. W roku 1839 nowy kościół Augustianów w Krasnymstawie konsekrował biskup pomocniczy lubelski Mateusz Maurycy Wojakowski, a ze starego kościoła do no-

wej świątyni przeniesiono datowany na XVII wiek obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, ubrany w sukienkę barokową z pierwszej połowy XVIII wieku i umieszczono go w ołtarzu głównym. Obraz Matki Boskiej nie jest jedyną zachowaną w kościółku pamiątką po dawnym kościele augustiańskim. W nowych budynkach zamieszkalili krasnostawscy augustianie po utracie swego pierwotnego klasztoru. W końcu 1864 roku ukaz carski zniósł (z małymi wyjątkami), klasztory w Królestwie Polskim. Powodem tych działań był wybuch powstania styczniowego, a zastosowana procedura - podobna do akcji podjętych wcześniej na Litwie. W nocy z 27 na 28 listopada do wytypowanych klasztorów wkroczyło rosyjskie wojsko i wywiozło wszystkich zakonników, wbrew ich woli, do nieskasowanych klasztorów, lub wydalilo za granicę. Nowicjuszy rozpędzono, a nowicjaty zamknięto. Poodbierano wszelkie dobra i fundusze zakonne. Z czasem dla wszystkich augustianów utworzono jeden klasztor w Wieluniu, w którym znalazło się 26 zakonników. W chwili kasaty w krasnostawskim klasztorze przebywało 6 zakonników. Byli to: o. Alipiusz Kałużyński - przeor konwentu, o. Rafał Rejman - prokurator, o. Gabriel Zimny - kaznodzieja, o. Paweł Morawski - kaznodzieja, o. Hiacynt Wiśniewski i Klemens Adamski - laik.

Jakie były dalsze losy ostatnich krasnostawskich augustianów? Przeor o. Alipiusz Kałużyński został wywieziony do jedynego klasztoru Augustianów w Wieluniu. O. Paweł Morawski pozostał przy którymś z ocalałych klasztorów innych zakonów w Lublinie. O. Rafał Rejman został wikariuszem przy parafii w Grabowicy, w dawnej diecezji lubelskiej. Los o. Hiacynta Wiśniewskiego jest mi nieznany, zaś Klemens Adamski, zapewne tak jak każdy nowicjusz został wypędzony z klasztoru, ale gdzie trafił później - nie wiadomo. Najtragiczniejszy los spotkał o. Gabriela Zimnego, urodzonego 27 czerwca 1821 roku we wsi Wawrzeńczyce, w diecezji krakowsko-kieleckiej, a który w 1847 roku wstąpił do zakonu oo. augustianów w Warszawie i w roku następnym złożył profesję zakonną. 7 listopada 1852 roku, po ukończeniu studiów został przeniesiony do klasztoru w Krasnymstawie jako kaznodzieja. Później przebywał jeszcze w klasztorach w Wieluniu, Ciechanowie i Warszawie, by w 1861 roku powrócić do Krasnegostawu. W czasie

pobytu w krasnostawskim klasztorze objął wikariat przy parafii w Gorzkowie. Tam został aresztowany i wywieziony na Sybir. Powodem aresztowania o. Gabriela było wygłaszanie kazań, w których ukazywał różnice między prawosławiem, a religią katolicką oraz przedstawiał powody wszystkich nieszczęść Polski. Na Syberii został skazany do pracy w kopalniach nerczyńskich, gdzie spędził 10 lat przykuty do taczki jak zbrodniarz. O. Gabriel Zimny znosił swój los z ewangeliczną pokorą, „za grzechy własne i narodu”. Po przeniesieniu do obozu pracy w Tuncy, dawał nadzieję innym swoją pobożnością i posługą kapłańską, za co groziły mu poważne kary. Po ciężkiej chorobie zmarł w tęsknocie za krajem ojczystym, w dniu 19 października 1870 roku, w wieku 49 lat, po 23 latach życia zakonnego i 19 latach kapłaństwa.

Wraz z wywiezieniem z miasta ostatnich zakonników, zakończył swoje istnienie krasnostawski konwent augustianów. Po 470 latach pobytu zakonu w Krasnymstawie pozostały po nim dobrze zachowane budowle, czyli oba kościoły i klasztory. Inne pamiątki poaugustiańskie są porozrzucane i odnajduje się je z trudnością. W krasnostawskim muzeum zdeponowane są cztery portrety idealne generałów zakonu augustianów, lecz z uwagi na ich stan nie są obecnie ekspozowane. Zachowała się także pewna liczba starych ksiąg z dawnej biblioteki augustianów. Najpiękniejszą pamiątką po krasnostawskim konwencie augustianów znajdującą się w zbiorach muzeum jest pochodzący z 1667 roku barokowy, srebrny kielich mszalny o. Leonarda Białeckiego, wykonany w gdańskiej pracowni Andrzeja Mackensona Starszego, który dla przeora klasztoru ufundowała Katarzyna z Sobieskich Radziwiłłowa. Można go oglądać w stałej ekspozycji muzeum, w części poświęconej sztuce sakralnej. W nowym kościele augustiańskim zachował się XVII-wieczny obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, ubrany w sukienkę barokową pochodzącą z 1. połowy XVIII wieku, rokokowy krucyfiks z 2. połowy XVIII wieku i żyrandol znajdujący się obecnie na plebanii. Wymienione zabytki zostały przeniesione ze starego kościoła augustiańskiego. Pomimo odzyskania przez ojczyznę niepodległego bytu, stary klasztor i kościół augustiański nigdy już nie powrócił do roli jaką mu pierwotnie przeznaczono.

Także i dziś wymyśla się dla tych najstarszych w mieście zabytków i jedynych gotyckich budowli zachowanych na obszarze ziemi chełmskiej różne inne cele i zadania, a przecież jedyne, co tym gmachom powinno być powierzane, to krzewienie wiary i głoszenie słowa Bożego. Po prawie pięciuset latach istnienia w Krasnymstawie kościoła i klasztoru augustiańskiego, stracił on swoją rolę wraz z rozbiorami państwa i kasatą zakonu. Wydawało się, że obecnie, gdy czasy się zmieniły, dawny kościół odzyska swój utracony blask, na co mógł wskazywać rozpoczęty w tym roku remont starego klasztoru i łączona z tym nadzieja na odtworzenie jego dawnego wyglądu, wzorem tego, co zrobiono w kolegium jezuickim. Niestety, ochłapywanie betonem odkopanych, średniowiecznych fundamentów, zamurowanie odkrytego i dotychczas nieznanego wejścia podziemnego, wstawienie prostokątnych okien, tam gdzie kiedyś były łuki, odstępianie od podwyższenia i odtworzenia dawnego wyglądu dachu oraz jego pokrycie - i to tylko w połowie - nową blachą, a nie dachówką czy gontem, oraz brak prac nad odtworzeniem zatartych cech stylowych, prowadzi do tego, że klasztor, pomimo wykonanych prac, nie odzyska, a nawet utraci jeszcze bardziej swój dawny wygląd. Całkowitą rezygnację z remontu, a nawet przeprowadzenia prac rozpoznawczych i inwentaryzacyjnych we wnętrzu istniejących w klasztorze krypt, gdzie obok zakonnych mogą znajdować się także groby dobroczyńców i innych znakomitych osobistości, pominąć milczeniem.

Jedyna informacja na temat wyglądu krypt pochodzi z lat 80. XX wieku. W czasie prowadzonego wówczas remontu dawnego klasztoru, a wówczas internatu szkolnego, zaszła potrzeba wizualnej oceny stanu murów tej części budynku. Wybito mały otwór w miejscu zamurowanego wejścia do krypt, znajdującego się na przedłużeniu biegu korytarza głównego piwnic. Dokonano oceny wzrokowej, lecz do krypty nie wchodziło. Te działania dały nam jednak informację, że krypty składają się z dwóch, a może nawet większej liczny pomieszczeń. Zamurowane wejście prowadziło do głównej krypty, nieco węższej niż szerokość budynku klasztoru, w której znajduje się około 30-40 prostych, drewnianych trumien, ustawionych w rzędach wzdłuż ścian, po lewej i prawej stro-

nie pomieszczenia. Wszystkie w miarę dobrze się zachowały, a ich wieka są częściowo odkryte. W nich spoczywają szczątki krasnostawskich augustianów. Na prawo od tej krypty, bezpośrednio pod refektarzem znajduje się druga, a może i trzecia krypta, ale tego jak one wyglądają już nie wiemy, bo tam nie zaglądano. Wiadomo jednak, że istnieją, gdyż ta część budynku stanowi niedostępny i brakujący element ciągnących się dalej piwnic klasztoru. Osobiście uważam, że w tych właśnie kryptach powinny być złożone szczątki ludzkie w postaci zachowanych kości, które zostały wykopane na terenie dawnego cmentarza przyklasztornego, w czasie prowadzonych obecnie prac remontowych. Nie będę także wypowiadał się na temat dużego pęknięcia w ścianie północnej, powstałego w czasie prac remontowych, a „zabezpieczonego tynkiem”, bo ten element przeprowadzonego remontu czas oceni najlepiej. Szkoda tylko, bo przecież obok zespołu pojezuickiego, stary klasztor, a może w przyszłości i gotycki kościół augustiański mogły stać się perełką wśród krasnostawskich zabytków, dumą i ozdobą całego miasta. Nowy augustiański klasztor i kościół Świętej Trójcy przy ulicy Okrzei jest obecnie kościołem parafialnym, lecz poza obrazem Matki Boskiej z Dzieciątkiem, próżno w nim szukać jakichś klasztornych pamiątek.

Zakon augustiański w czasie swego istnienia dał Kościołowi około 10 kardynałów i niemal 100 patriarchów, arcybiskupów i biskupów, 12 świętych i 171 błogosławionych. Z polskich augustianów za świętego uważany jest Izajasz Boner, zwany błogosławionym, którego proces beatyfikacyjny jest aktualnie prowadzony. Po latach nieobecności w Polsce augustianie powrócili do naszego kraju i odbudowują swoje klasztory. Znowu istnieje polska prowincja augustiańska, lecz jak dotychczas, do jednego z najstarszych swoich klasztorów i do Krasnegostawu augustianie jeszcze nie powrócili.

Zbigniew Atras

1. *Szkic historyczno-biograficzny zakonu augustiańskiego w Polsce*, O. Grzegorz Uth, Kraków 1930.
2. *Krasnostaw rys historyczny*, Kazimierz Stolecki, Puławy 2008.
3. *Nadzory archeologiczne*.

Mariusz Kargul

Prawie ko(s)miczny poemat prozą

Halinie Sobieszek



Stał sobie dwór, po czym rozpełzł się po okolicy.
Kamień po kamieniu, cegła po cegle. Rozmienił
się na drobne. A duchy wszystkie, jak stały, tak
po kolei kamieniały. I śniły snem kamiennym
o szalonym furmanie, co to zawsze 6 stycznia
biegał nago po wsi z apelem: Jest już nas trzech!
Jest już nas trzech! Potrzebujemy czwartego do
brydża! I te zjawy strasznie skamlały, ziejąc
z nudów paszczami po horyzont na przestrzał.
Straszenie bez dworu przypomina siarczysty
policzek wymierzony przez egzorcystę
w samo ciemnię ezoteryzmu. Zbiły się w kłębek
nieszczęścia w niecce na polu, przypominającej
odcisk stopy zapomnianego dinozaura, który stawiając
jedną nogę, opamiętał się, że przecież go nie ma.

[...]

W tym roku zima zapowiada się wyjątkowo długa i ciężka.
Tak naprawdę powoli można to czuć. Lato nie jest już tym
samym starym bałagulem, taszczącym spalone słońcem
brzuch na podolek jesieni. Niegdyś zawsze syte,
spoczone, sapiące, przegrzane i wypalone, raczyło
przechodzić w stan spoczynku gdzieś w połowie września.
Dzisiaj w ogóle nie przejmuje się losem letników.
Jest dla nich po prostu letnie. Nie daje nawet większych
powodów do narzekań na upał. Jakoś tak za szybko,
za łatwo, wyprzęgło swoje rumaki z solarnego rydwanu.
Zamiast dalekich ech sirocca serwuje nam coraz śmielsze
poczynania psów gończych boreasza, wyjących niczym
stado potępieńców na rozstajach dróg. Trudno szukać
miłości i grzybów, czując na plecach zew dalekiej północy.

[...]

A wy sobie fruniecie wyczepione z ogona komety.
Perseidy, dalekie i chłodne okruchy kosmicznej materii.
Beznamiętnie, prawie bezszelestnie i bezwonnienie
przemykacie
ponad naszymi głowami. Za nic macie kodeksy drogowe
i przyzwolenie społecznego obyczaju. Przecinacie niebo
w świetlnej wędrówce, której celu możemy się tylko
domyślać.

Wodzą za wami lunety astronomów i oczy zakochanych.
Nieszczęśnicy czekają na uśmiech losu sprowokowany
waszym upadkiem. Poszukiwacze meteorytów i przygód
liczą na szybki zysk i łatwy sukces w drodze po złote runo
wszechświata. Obarcza się was odpowiedzialnością za
nasze
ziemskie potknięcia i katastrofy. Trudno wam nie
zazdrościć,
by nie zadać sobie pytania, czym dla was jest Ziemia:
Jakąś nic nieznaczącą przystawką przed głównym
daniem,
które dopiero ma nadejść. Czkawką Wielkiego Wybuchu
niesioną na fali Kolapsu. Dziwnym przerywnikiem
moszczącym sobie prawo do życia w jakiejś podrzędnej
galaktyce, kiedy być może poza naszą percepcją
wymyślono
już coś lepszego od procesu narodzin i umierania?

[...]

Ciężko przeżyć czternaście miliardów lat bez
świadomości,
że i tak to wszystko zacznie znowu się kurczyć, jak śliwka
robaczywka. Wieczne przypływy i odpływy. Być może
istnieje skala czasu, w której miliard lat jest jakąś małą
pauzą, chwilą dla nabrania oddechu albo ziewnięcia.
Nie dożyjemy dni, w których, znane nam i nieznanne
galaktyki, zaczęły ku sobie bezmyślnie dryfować,
niczym tiry we mgle na zakorkowanej autostradzie.
Jak się już scala, wedle prawideł, dołączają do nich
gwiazdy.

I nie będzie raczej okazji na konstatację w rodzaju: orzesz
w mordę Kasjopei, a nie mówilem? Planety nie pozostaną
w tyle i chlupną w ten cały barszcz. Grawitacja scali
atomy,
które rozpadną się na nukleony. Po nich zostaną jedynie
kwarki.
Ktoś to będzie musiał posprzątać i wcisnąć przycisk
„power play”.

[...]

Pewne zapachy możliwe są tylko pod koniec sierpnia.
Płowa grzywa konia przemyka podcieniem dąbrowy.
Usta jeżdźca muska wiatr motany na kołowrotku południa.
Łany falują niczym piersi kobiety biegnącej ku mężczyźnie
wracającemu z pola walki. Jest w nich żar tęsknoty i cisza
spełnienia. Jeżeli możesz, jeszcze chwilę na mnie
poczekaj.
Nie odchodź w miejsce, skąd nie ma powrotu. Nawet
przez furtę pamięci. Oblaskawimy polne południce
i zalegniemy w złocie nabrzmiałych kłosów.

[...]

Od lasu ciągnie nieznanym. Na trudnej do rozpoznania
graniczy
światłocienia czekają zagadki i zasadzki. Strudzony
wędrowiec
marzy o chwili, kiedy głowa obarczy stopnie mchowatego
ołtarza.

Z wieczora nadciągają nad rzeki i stawy pierwsze chłody.
Mgły prują realność kształtów. Ptaki zdają się wzlatywać
z mlecznych oparów pozbawione skrzydeł, głów, połowy
tułowia.

Księżyc zawiesza strapiony swój wdzięk nad wodnym
kotłiskiem,
sam nawet nie wiedząc, czy blask w istocie odbija. Ryby
snią
nicnierobienie, pływanie do góry brzuchami w sjeście
dusznego
horyzontu. Blask mży i z cicha zamiera. Drga jeszcze w
skrzydłach
nocnych motyli, ale to tylko podzwonne letniej karmanioli

Trakt
polny wytłumia skrzypienie ostatnich piast i kamieni Ślady
żłobią

mozaikę hejta, wišta i nazad. Od tej pory wszelkie
wyprawy,
nawet na stronę, pod starą jabłonkę, przechodzą w sferę
podróży
na własne ryzyko. Licho nie śpi. Łypie kaprawymi oczkami
zza krzaków tarniny. Rade ucaścić niewinną duszę dziecka i
przenicowany grzechem na wylot dziadowski żywot
tulacza.

[...]

Sceneria pasuje jak ułal do któregoś z teledysków Pink
Floyd.

Łagodne wzgórza falują na wskroś po oczu horyzont.
Lasy tają
pod łagodnym tchnieniem wieczoru. Łysiec użycza wszem
i wobec kradzionej poświaty. Nikomu nie powinno niczego
brakować.

Nikt nie powinien od nikogo wymagać więcej, niż chwili
uwagi,
gdy po przekątnej Wszechświata spływają na tarło nowe
galaktyki.

[...]

A Zastawie?

Zastawie już do końca zostanie wyłączoną z ruchu
wyspą czasu, rozciągniętą niczym leniwy kocur,
pomiędzy było a będzie.

Kazimierz Stołecki

Sylwetki biskupów chełmskich i chełmsko-lubelskich.

Diecezja chełmska. Część IV



Stanisław Kazimierz Dąbski (Dąbski) z Lubrańca. Rodzina kujawska, biorąca nazwę z Dąbia w brzesko-kujawskim. Wydała dziewiętnastu senatorów w latach 1602-1796.

Stanisław, był synem Adama, kasztelana sońskiego, i Elżbiety z Jemielskich kasztelanki kowalskiej, urodzonym w Lubrańcu. Doktor obojga praw na Akademii Krakowskiej. Studiował za granicą; tam uzyskał tytuł doktora teologii. Po powrocie pełnił funkcję sekretarza króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Z archidiakona płockiego i kanonika kujawskiego, został koadiutorem biskupa chełmskiego Krzysztofa Żegockiego (1668), po jego śmierci zasiadł na stolicy chełmskiej (1673-76). Biskup łucki (1676-82) (w dziejach tej diecezji zapisał się jako budowniczy nowej świątyni katedralnej), płocki (1682-91), kujawski (1691-1700), w końcu krakowski i tytularny książę siewierski (1700), lecz zmarł nie dopełniwszy ingresu. Ostatnie dostał za dopełnienie koronacji Augusta II. Mówiono o nim, że biskupstw nie otrzymywał, a zdobywał. Zostawił po sobie wielki majątek, składający się z licznych włości, klejnotów i gotowizny.

O jego działalności biskupiej niewiele wiadomo nie tylko w odniesieniu do diecezji chełmskiej, ale i pozostałych. Wyrestaurował kilka kościołów w diecezjach, w których był pasterzem, a na odsiecz wiedeńską, wystawił swoim kosztem chorągiew husarską.

Stanisław był człowiekiem dwoistej natury. *Pierwszy to był Dąbski, co rodzinę swoją podniósł do znaczenia historycznego; wszakże zarzuca mu się ogromną ambicję i nie zawsze dostateczną godność w postępowaniu, gdy mu szło o pozyskanie nowych zaszczytów, a nieraz podstęp i potwarz. Z drugiej strony był on hojnym i na cele zacniejsze, oraz opiekunem ubogich. Był jak się zdaje gwałtowny, mściwy i niespokojny. Nie zajmując urzędu świeckiego, mieszał się do spraw państwa. Podkanclerzy Olszowski w liście do nuncjusza (1673), skarżył się na jego intrygi, mówiąc,*

że życiem swym gorszącym nigdy nie zasłużył na tak wysokie stanowisko (biskupa chełmskiego). Nie przeszkodziło mu to do awansów, bo królów i możnych zręcznymi usługami zjednywać sobie umiał. Tako jeden z pierwszych podczas elekcji króla wotuje na Sobieskiego, mimo że jeszcze rok temu wywołał z nim, jako hetmanem, głośny zatarg (oskarżał go o przefrymarczenie Turkom Kamieńca Podolskiego), a Jan III potem z godności na godność go forytuje. Przebiegłego biskupa dopiero kobieta w pole wyprowadzić zdołała. Królowa Marysińska, jak opowiada kronika skandaliczna, po rezygnacji Olszowskiego, nadzieją pieczęci podkanclerskiej wytudziła od Dąbskiego 200 000 zł. na wykup Jarosławia, a wzięwszy pieniądze spokojnie patrzyła, gdy pieczęć dostał Wydzga. Podczas elekcji, Dąbski biskupem będąc kujawskim, obwołał królem Augusta II, jego koronacji dokonał bezprawnie, bo ta czynność należała do prymasa. Powstała z tego przy zaprzysiężeniu paktów konwentów przez Fleminga pełnomocnika Augusta, bitka w kościele, a biskup miał uspokajać walczących, miał wołać od ołtarza: bij, zabij! Biskup gwałtownik, zawadiaka, pieniacz i kłótnik, szukający zwady nawet z kobietami i samą królową, nieprzebaczający uraz, zapominający się przy ołtarzu, dla prywaty gotów na szwank narazić dobro narodu, obierający na swoją rękę króla i przeprowadzający elekcję wbrew prymasowi i lepszym żywiołom społeczeństwa.

Miał też inne oblicze. O szczodrości jego na sprawy krajowe świadczy to, że na wyprawę wiedeńską króla Jana III, wystawił własnym kosztem chorągiew husarską. Odnowił kościoły plocki i pułtuski, katedrę łucką, spaloną od pioruna. W życiu prywatnym i duchowym cechował się łagodnością i prostotą, był hojny dla biednych, fundował liczne kościoły i kolegia jezuickie. Potrafił zjednać sobie ludzi wyjątkową hojnością, dla katedry wawelskiej ufundował zachowaną do dziś monstrancję wysadzaną szlachetnymi kamieniami. Zatem Dąbski miał dwa oblicza: złe i dobre. Wszystko zważywszy dochodzimy do przekonania, że choć może nie był uosobieniem złości, to ujemne strony przeważały w jego charakterze i życiu. W opinii Kaspra Niesieckiego, był *prałatem* znacznych cnót, a najprzód ludzkości ku wszystkim wielkiej, z tej i najmniejszemu wolny był przystęp do

niego, a z perspektywy stuleci historyk stwierdził: *był to człowiek szalonej ambicji, zawadiaka, kłótnik, postać typowa dla okresu saskiego.*

Biskup Stanisław zmarł w czwartym dniu pobytu w Krakowie, nie dopełniwszy ingresu na krakowskie biskupstwo.

Stanisław Jacek Święcicki, na Święcicach w Mazowieckiem. Był synem Jakuba i Katarzyny z Wąsowskich, urodzonym w Święcicach. Nauki pobierał w Krakowie, następnie u jezuitów i w Rzymie. Wstąpił do Zakonu Kanoników Regularnych Laterańskich w Czerwińsku. Oddany był polityce Jana Kazimierza i Jana III. Obdarzony licznymi godnościami kościelnymi. Swoją karierę duchowną rozpoczął jako prałat gnieźnieński, potem przeor Zakonu Kanoników Regularnych Laterańskich w Czerwińsku. Opat komandytariusz lubińskich benedyktynów. Oficjał pomorski i gdański (1655-59 i 1663-66). Tytularny biskup spigaceński, sufragan żmudzki (1681), scholastyk gnieźnieński, dziekan włocławski, archidiakon i proboszcz u św. Jerzego, wikariusz d/s duchowych i oficjał generalny warszawski i na całe Księstwo Mazowieckie. Proboszcz w Wiskitkach i Brochowie, pleban w Rokitnie. Kanclerz katedry poznańskiej i scholastyk kolegiaty warszawskiej. *Stanisław Święcicki, chcąc uczonych i pobożnych pasterzy przysporzyć Księstwu Mazowieckiemu, postanowił na dobrach swoich Trąbkach, Naborowie i na innych, które trzymał, fundować dla jezuitów warszawskich teologię, i przeznaczał fundusz na wychowanie w kolegium kilku szlacheckich dzieci. Konstytucja z 1677 obciążyć biskupowi na ten cel dobra pozwoliła.*

Król Jan III Sobieski awansował Stanisława na stanowisko biskupa chełmskiego (1677-96), a ze względu na szczupłe dochody w chełmskiej diecezji, dał mu dodatkowo opactwo lubińskie. Trzykrotnie był **prezydentem Trybunału Koronnego** (np. 1683) i kilkakrotnie komisarzem na trybunał skarbowy (1685, 1678 i 1690). Senator. Aktywnie uczestniczył w pracach parlamentu w latach 1677-96.

Stanisław oceniany był jako gorliwy ordynariusz, dbający o diecezję. W rok po objęciu rządów rozpoczął wizytację. Wspierał podupadłe kościoły. Przekazy mówią o licznych kontaktach nawiązywanych z wiernymi na przysłowiowej ulicy, w domach

opieki, szpitalach. Nie mniejszą troskę przejawiał o duszpasterskie sprawy diecezji. Zwołał IV synod diecezjalny (15.09.1694), który zajął się problematyką nabożeństw i sakramentów świętych. Oprócz rozważań ściśle teologicznych, dokonano również weryfikacji dawnych praw i przywilejów Kościoła. Był kanclerzem Akademii Zamojskiej.

Katedrę w Krasnymstawie ozdobił i ubogacił, gdzie po śmierci 1696 roku zaszłej spoczywa. Do Krasnostawu sprowadził Jezuitów, z których jednego zrobił w katedrze spowiednikiem, drugiego kaznodzieją. Pozostawił spuściznę pisarską: kazanie pogrzebowe Pan Wyszogrodski (1642), Niebieski wieku łaskawego kalendarz (1644), Cudowny w stajni betlejemskiej śpiewaczek (1645) i Synodes diocesiana Chelmensis anno 1691 celebrata (1696). Święcicki Biskup chełmski, zeznał o swoim w dzieciństwie konaniu, i zdrowieniu za przyczyną Matki Boskiej, także o przywróceniu do zdrowia swej matki, paraliżem po kilkakroć tkniętej (1676).

Po nominacji Stanisława na biskupstwo chełmińskie, prowizja z Rzymu przyszła w lutym 1696. Nie objął jednak formalnie nowej diecezji, zwlekał z przeprowadzką, był chory. Zmarł w rezydencji biskupów chełmskich w Skierbieszowie, pochowany w Krasnymstawie. Godność biskupa piastował przez 45 lat.

Mikołaj Ignacy Michał Wyżycki z Wyżyc.

Dom starożytny, jednym z nich w dziedzictwo dostały się Wyżyce w Krakowskim województwie. Mikołaj, syn Jana, chorążego kijowskiego, i nieznaney z imienia Żaboklickiej, wojewodzianki podolskiej, urodzony w parafii Jazłowiec. Bratanek arcybiskupa lwowskiego również Mikołaja Ignacego. Filozofię studiował w Krakowie, teologię w Poznaniu, doktorat otrzymał w Rzymie. Mikołaj wstąpił do Zakonu Kanoników Regularnych Laterańskich (1669). Znalazł się w świątyni króla Jana III na wyprawę wiedeńską (1683). Opat czerwiński, **sekretarz wielki duchowny** (12.10.1691-26.02.1699), biskup chełmski (1698-1705), kanclerz Akademii Zamojskiej. Dzięki jego staraniom rozpoczęto budowę rezydencji biskupiej w Skierbieszowie. Pracy nie ukończono na skutek śmierci Mikołaja.

Mikołaj cieszył się wielkim zaufaniem króla. Jako sekretarz duchowny, bardzo blisko znał króla i rodzinę królewską. Kazimierz Sarnecki zanotował

w pamiętniku (21.07.1693), że król wraz z królewiczami u Wyżyckiego na Służewcu bawili na kolacji, podczas której król był wesół, wino z samego lochu pili. Mikołaj Popławski, biskup inflancki, wyznał, że widywał Wyżyckiego na dworze królewskim, gdzie był on częstym gościem jako sekretarz królewski. Kilka razy był świadkiem nadużywania trunków przez Wyżyckiego, wspólnie z królem, czasami aż do wesołości, ale dodał, że taki w Polsce panuje zwyczaj. Mikołaj stałe przebywał przy królu Janie. Był przy królu w ostatnich chwilach jego życia (17.06.1696). Brał udział w deportacji ciała króla Jana III z zamku do kościoła warszawskich kapucynów (23.12.1697). *Na czele postępowały stołeczne cechy z zapalonymi świecami i chorągwiemi pochylonymi na znak żałoby. Dalej zakony, ławnicy i rajcy warszawscy, duchowieństwo, kapela królewska. Za nimi senatorowie nieśli na poduszkach ze złotogłowi zdjęte z trumny insygnia, a po bokach maszerowały rajtary Rzeczypospolitej oraz królowej Marii Kazimierzy, ochraniające dostęp do karawanu. Za nim kroczył sekretarz wielki koronny Mikołaj Wyżycki, niosąc w złotej puszcze serce królewskie, w towarzystwie marszałków: wielkiego koronnego i nadwornego litewskiego. Następnie postępowali królewicze Aleksander i Konstanty.*

Mikołajowi, jako biskupowi i senatorowi, wypadło współpracować z królem Augustem II Sase. Poparł Sasa podczas koronacji we wrześniu 1697. Koronacja stanęła pod znakiem zapytania, gdyż klucze do skarbcza z insygniami koronacyjnymi, były w posiadaniu kilku senatorów, spośród których nie wszyscy byli zwolennikami Augusta, a bez zgody wszystkich skarbcza otworzyć nie było można. Wówczas Wyżycki i przeor świętokrzyski Aleksander Wyhowski wpadli na pomysł: wybito dziurę w murze skarbcza i przez nią wydobyto insygnia; koronacja odbyła się. Biskup brał udział w odzyskaniu Kamieńca (22.09.1699): *Polscy komisarze wchodzili równocześnie na czele 2 000 piechoty i 600 jazdy do spustoszonego Kamieńca i udali się naprzód do katedry, gdzie wśród wystrzałów działowych Wyżycki biskup chełmski Te Deum odśpiewał. Następnie czyszczono i poświęcano na nowo kościoły, wykopywano ciała Turków pogrzebanych w mieście i chowano na polu za miastem, zdejmowano półksiężycy z wież kościelnych a zatykano krzyże i zaciągano dzwony, które pierwszy*

raz od 27 lat, znowu zwoływały lud okoliczny na nabożeństwo chrześcijańskie.

Złośliwi pisali: *Wyżycki opat Czerwiński zakuwu św. Bernarda (Cystersów) i sekretarz wielki koronny był w całej Rzeczypospolitej największym przyjacielem wina, i dla tego zwany powszechnie pod pieniem sitio (pijak). Wino wstawiło go więcej jak opactwo, jak wysoki urząd koronny, jak rodzina. Wspominano o kłótniach Wyżyckiego z biskupem chełmskim Stanisławem Świączkikiem.*

Biskup Mikołaj po krótkiej chorobie zmarł na kamień, mając niespełna 60 lat. Pochowany w Zamościu w kryptach kościoła Zwiastowania NMP (oo. franciszkanów).

Kazimierz Łubieński z Łubnej w Sieradzkim. Starszy syn Zygmunta, stolnika sieradzkiego, i Cecylii z Opackich. Wychowany przez wuję, Andrzeja Trzebieckiego, biskupa krakowskiego, jego staraniem i kosztem ukończył nauki. Studia w Akademii Krakowskiej i jezuickim Collegium Romanum. W Rzymie w Kolegium Świętego Ignacego otrzymał święcenia kapłańskie i doktorat z teologii. Wkrótce zasłynął z wiedzy i pięknej wymowy, a zaletami charakteru umiał zjednać sobie wszystkich. Szybko posuwał się po stopniach hierarchii kościelnej. W wieku 23 lat został kanonikiem katedry wawelskiej (1675). Wybrany deputowanym z grona kapituły na Trybunał Koronny. Proboszcz w Czeladzi oraz kanonik wiślicki i sandomierski (1678). Deputowany na Trybunał lubelski (1689), kanonik krakowski (1675) i sandomierski (1690), tytularny biskup heraklejski i sufragana krakowski (1701), administrator diecezji krakowskiej (1702). Przeżył najazd szwedzki i wielką zarazę w Krakowie (1702). Konsekwował nowo wzniesione kościoły św. Anny i Kapucynów (1703). Uzyskał królewską prowizję na biskupstwo chełmskie (1705-10). Otrzymał również godność opata cystersów w Czerwińsku (1706), która ordynariuszom ubogiej diecezji chełmskiej pozwalała powiększyć uposażenie. Pozostał przy funkcji administratora diecezji krakowskiej. Król prezentował go na biskupstwo w Krakowie (1710), a diecezję objął w roku 1711. *Kazimierz, wieżę przy kościele katedralnym krakowskim, którą wiatr gwałtowny obalił (16.12.1703), i która upadkiem swym wiele szkody katedrze zrządziła, dach i sklepienie przełamawszy, własnym kosztem z ciosowego kamienia wystawił, i kościół sam około wielkiego ołtarza zbyt zacieniony.*

Do zasług biskupa Kazimierza należy erygowanie seminarium kleryckiego w Lublinie (1714), prowadzonego przez misjonarzy lazarystów. W Krasnymstawie zatroszczył się o odbudowę katedry ograbionej i zniszczonej w czasie wojen. Osobiście ufundował dwanaście pozłacanych srebrnych kielichów mszalnych i wiele szat liturgicznych, a wśród nich bogato haftowane ornaty. Pragnąc pomóc kanonikom kapitulnym, których majątki zostały spustoszone przez wojny, wyjednał u króla powiększenie dochodów przez nadanie kapitule chełmskiej za zgodą Stolicy Apostolskiej zamożnego probostwa hrubieszowskiego.

Kazimierz, zastawszy swoją katedrę krasnostawską złupioną, przez inkursję wojsk różnych, zajął się jej podniesieniem. Na cześć dwunastu apostołów, pod których tytułem jest zbudowana, oddał do niej dwanaście srebrnych kielichów pozłoczonych, aparat kościelny bogaty, sprawił organ, i wyłożył cały kościół posadzką piękną. Słynął z wymowy, słodczy charakteru oraz z miłosierdzia. Był on wielki jałmużnik. Codziennie 30 ubogich karmił, a 12 ubogiej szlachty synków chował przy Akademii Krakowskiej. Z dobroczynności słynął, stąd opiekunem ubogich nazywany. Kochał nauki, zachęcał i dopomagał tym, którzy im się oddawali. W czasie klęsk powszechnych, wojny, głodu, morowego powietrza, jeńców, sieroty, klasztoru wzorową miłością opatrywał. Ojciec ubogich, opiekun dzieci, własnym kosztem je wychowywał i do szkół posyłał.

Biskup Kazimierz zmarł w Kielcach. Pomnik z czarnego marmuru z popiersiem ze złoczonego brązu (proj. Kacper Bażanka(?)) znajduje się przy filarze obok ołtarza św. Stanisława w katedrze krakowskiej.

Teodor Wolff z Ludingshausen. *Dom w cudzych krajach znaczny pamiętnemi dziełami. Do Inflant z Westfalji przyszli jeszcze za Krzyżaków, a potem jedni w księstwie Litewskim, drudzy w Prusiech osiedli, inni w Inflanciech i w Niemczech.* Teodor, syn Fryderyka, tytularnego podkomorzego dorpckiego, i Anny z domu Denhoff. Wstąpił do jezuitów w Wilnie (05.11.1684), dymisjonowany za papieską zgodą (02.05.1689). Teologię studiował w Rzymie (1688-89). Kanonik wileński (1700), biskup tytularny trypolitański (1701), koadiutor inflancki (prekonizowany 14.03.1701). Pro-

boszcz miechowski, sufragan i koadiutor biskupa inflanckiego Mikołaja Popławskiego, administrator archidiecezji gnieźnieńskiej (1705-10), biskup inflancki (1711), biskup nominat chełmski (1710-12), przebywał na dworze Augusta II Mocnego w Warszawie. Ofiarował katedrze krasnostawskiej bogato inkrustowany srebrny krzyż o masie 15 funtów (5,6 kg) i dużej wartości. Siostra biskupa, Maria Kossowa, przekazała katedrze w Krasnymstawie zapisane testamentem przez zmarłego szaty liturgiczne i srebrny krzyż. *Koadiutor Mikołaja Popławskiego biskupa Inflanckiego a od 1709, sam biskup Inflancki, w 1712 był nominatem chełmskim; umarł nim mu na to drugie biskupstwo bulla nadeszła.*

Biskup Teodor nie zdążył formalnie objąć diecezji chełmskiej, zmarł w Warszawie w wieku lat 50, podczas przygotowań do ingresu.

Krzysztof Andrzej Jan Szembek ze Słupowa. Rodzina pochodzenia niemieckiego, z księstwa magdeburskiego, pierwotnie Schonbegk. Mieszczańska krakowska, otrzymała polski indygenat 25.07.1566, a polską nobilitację 23.10.1579. *Indygenat wydany przez Króla Zygmunta Augusta Bartłomiejowi Szembekowi i synom za zasługi jego w Warszawie 25.07.1566. Dom ten szczyti się dwoma prymasami, sześcioma biskupami, kanclerzem w kor., dwoma wojewodami, sześcioma kasztelanami i jednym referendarzem koronnym. Piętnastu senatorów w latach 1685-1808.*

Krzysztof Andrzej, ósmy syn Franciszka, starosty bieckiego, i Barbary z Rupniowskich. Doktor teologii, kanonik krakowski, scholastyk sandomierski (1706), proboszcz generalny miechowski. **Sekretarz wielki duchowny** (04.04.1710-1712). Biskup chełmski (1713-19), przemyski (1719-24), biskup książę warmiński (1724-40). Wielokrotny poseł na sejm, deputowany do Trybunału Koronnego. Młodszy, przyrodni brat prymasa Stanisława. Chwalony przez współczesnych, jako ten duchowny, który umiał łączyć posługę wiernym z obowiązkami względem Rzeczypospolitej i nie zapominał o swych obywatelskich korzeniach oraz powinnościach. Przykładowy kapłan i obywatel.

Prezydentem na kommissyi kurlandzkiej zasiadając w Mitawie, to księstwo po zejściu Ketterowskiej familii w płci męskiej do Polski inkorporował, i w prowincją obrócił. Żarliwości jego przy

prawach kościelnych pamiętka, jest w katedrze krasnostawskiej, gdy gwałt kościołowi temu uczynionego od dyssydentów i żołnierzy, tak, jako na Biskupa prawego należało, poszukiwał u majestatu polskiego.

Krzysztof odbudował kościoły zniszczone przez wojny, osobiście nadzorował restaurację katedry w Krasnymstawie i ofiarował do niej relikwie Drzewa Krzyża Św. Przeznaczył znaczne sumy na utrzymanie katedry chełmskiej. Osobiście odwiedził wszystkie kościoły, wykazując specjalną troskę o sporządzenie spisu praw i przywilejów, jakie posiadały poszczególne probostwa. Zwołał ostatni synod diecezjalny w Krasnymstawie (18.07.1717), który zajął się głównie umocnieniem roli parafii, nakazał odbywanie zjazdów dekanalnych i usunął wiele niewłaściwości w zakresie kultu. W obradach uczestniczyło duchowieństwo unickie wraz z biskupem Józefem Łowickim, który w ostatnim dniu synodu odprawił uroczystą liturgię w obrządku wschodnim.

Katedrę swoją opatrzył ołtarzem wielkim, amboną na kościele, stalami dla kanoników, ławkami i posadzką marmurową. Do zakrystyi sprawił aparata różne, i w 1714, krzyż srebrny do procesyi. Wprowadził na święto Narodzenia Matki Boskiej, czterdziesto-godzinne nabożeństwo. Wielce był gorliwy pasterz, bo sam do ludzi kazał, spowiedzi słuchał, chorych na śmierć dysponował, nawet katechizował lud prosty. Żarliwość jego przy prawach kościelnych jest pamiętna, gdy windykował u majestatu królewskiego, gwałt uczyniony kościołowi krasnostawskiemu, od żołnierza saskiego, nie oglądając się na żadne ludzkie względy. Wyrestaurował katedrę, zbudował w niej ołtarz Św. patronów kraju, na którym zebrane ich relikwie umieścił z uroczystym nabożeństwem, relikwie Drzewa Krzyża Św. ofiarował, oraz krzyż srebrny, noszony na procesji przed kapitułą. Uposażenie seminarium krasnostawskiego pomnożył Krzysztof Jan Szembek, natenczas biskup chełmski, przydawszy do niego sumę 10 000 złotych.

Na mocy decyzji papieża Klemensa XI (1716), Krzysztof koronował jasnogórski obraz Maryi, w obecności 200 tysięcy pątników, ceremonii wobec tłumów ludu dokonał (08.09.1717). Była to pierwsza koronacja obrazu Maryjnego w Polsce.

Aleksander Antoni Fredro z Pleszowic.

Rodzina czerwonoruska, pochodzenia węgierskiego od Fryderyka vel Frydrusa Kis-Pallugya pana na Jesmanicach, Pleszowicach i Popowicach (1383): 1410 wzięła nazwę Fredro z Pleszowic. Ośmiu senatorów w latach 1469-1734.

Aleksander Antoni był synem Antoniego Stanisława, kasztelana czernihowskiego, i Katarzyny z Belżeckich, wojewodzianki podolskiej. Studiował w kraju i za granicą. Sekretarz króla Augusta II Mocnego. Był proboszczem międzyrzeckim (1712), proboszczem i prepozytem przy jarosławskiej kolegiacie (1714-34). Sekretarz wielki duchowny (21.01.1713-23.06.1717), kanonik poznański, kantor i prałat gnieźnieński (1713), proboszcz jarosławski (1717), biskup chełmski (1719-24), biskup przemyski (1724-34), senator, wiceprezydent i prezydent Trybunału Koronnego.

Biskup Aleksander w diecezji chełmskiej, ujawnił niezwykle talenty organizatorskie i zasłynął, jako dobry gospodarz. W ciągu sześciu lat z jego inicjatywy wykonano wiele prac remontowych w katedrze krasnostawskiej. Zmieniono pokrycie dachu i wybudowano wieżę. Biskup dbał także o wyposażenie świątyni. Zachowały się informacje o wizytowaniu przez niego parafii i kazaniach głoszonych do wiernych. Interesował się także kościołem oo. Bernardynów w Sokalu, gdzie znajdował się sławny obraz NMP uznany za cudowny (1723). Biskup podjął starania o koronację obrazu u Innocentego III. Uroczystość nastąpiła 8 września 1724. Koronacji dokonał arcybiskup lwowski Jan Skarbek. Poświęcał szczególną uwagę ludziom najbardziej potrzebującym. Zasłynął, jako donator i opiekun ubogich. Stąd zyskał sobie przydomek *ojca ubogich*, których wspierał licznymi ofiarami pochodzącymi głównie z prywatnego majątku. Jako biskup ujawnił niezwykle talenty organizatorskie i zasłynął, jako dobry gospodarz. *Kościół swój katedralny dachówką pokrył, wieżę wspaniałą przyozdobił, dwiema kielichami i aparatami bogatemi opatrzył.* Zachowały się informacje o wizytowaniu przez niego podległych parafii i kazaniach głoszonych do wiernych. Był wielkim miłośnikiem i kolekcjonerem dzieł sztuki. Fundator klasztoru oo. Paulinów pod Brzozowem.

Biskup Aleksander rozpoczął wielką przebudowę katedry w Przemyślu, nadając jej nowy,

barokowy styl (1728). *Ówcześni budowniczy tak nieumiętnie dziełem tem kierowali, że gdy już tylko nowy dach miał być dany, nagle w r. 1733 oberwały się sklepienia i znaczną część kościoła na nowo zniszczyły. Podwoił swe starania Fredro, sprzedał ojczyste swe dobra Przędzel, aby wznieść Bogu odpowiedni przybytek, sprowadził najbieglejszych artystów, kiedy go śmierć w 1734 zaskoczyła. Przeznaczywszy testamentem kilka kroć sto tysięcy na ten cel i poruczywszy dokonanie dzieła przyjacielowi swemu i wykonawcy ostatniej woli sufraganowi Andrzejowi Pruskiemu, stał się rzeczywiście ojcem dzisiejszej katedry.* Biskup Aleksander ufundował także szereg kościołów: np. św. Katarzyny Aleksandryjskiej w Jaśliskach w Beskidzie Niskim (1732).

Zjednawszy sobie nauką, roztropnością i gruntowną prawa krajowego znajomością szacunek i poważanie kapituły gnieźnieńskiej, zasiadał wskutek jej jednomyślnego wyboru w latach 1708 i 1710 jako wiceprezydent na trybunale koronnym w Piotrkowie i Lublinie, a w latach 1714 i 1716 z wielką roztropnością i zręcznością na tymże trybunale prezydował. Znany był z tego, że „kiedy dawał, to pełną ręką”.

Biskup Aleksander zmarł w Radymnie, które należało do dóbr biskupstwa przemyskiego i gdzie kiedyś wystawił biskupi pałac. Pochowany w Przemyślu. Kapituła katedralna ufundowała mu nagrobek w późnobarokowej kaplicy Fredrów.

Jan Feliks Szaniawski z Szaniaw. Rodzina wywodzi się z ziemi łukowskiej. Jan urodzony w Poznaniu. *Z młodych lat cnotliwy i pobożny, w naukach pilny, poświęciwszy się stanowi duchownemu, prędko doszedł do kościelnych godności.* Proboszcz w Wohyniu, kanonik kijowski. Opat wąchockich cystersów, sufragan archidiacon lwowski (1713-25). Biskup tytularny kapseński (Capsus). Proboszcz w Haliczu. Konsekwował kościół Karmelitanek Bosych w Lublinie pw. Niepokalanego Poczęcia NMP (07.09.1721). Koadiutor lwowski arcybiskupa Jana Skarbka (1713-25). Biskup chełmski (1725-33).

Biskup Jan położył zasługi w uporządkowaniu majątkowych i gospodarczych spraw diecezji. Erygował klasztor Reformatów św. Michała Archanioła w Rawie Ruskiej (1725). Wyraził zgodę na założenie bractwa św. Józefa w Krasnymsta-

wie (03.08.1725). W r. 1726 ustanowił prebendę w kościele pw. Wniebowzięcia NMP w Ulinowie, zezwolił na działalność bractwa różańcowego NMP w Rawie Ruskiej oraz ponownie erygował cerkiew greckokatolicką w Machnówku, zastrzegając, by tamtejsi unicy nie ważyli się zerwać łączności z Kościołem rzymskokatolickim. Otrzymał nominację królewską na opactwo komendatoryjne cystersów w Wąchocku (1728). Kanclerz Akademii Zamojskiej. Interesował się literaturą, posiadał własną bibliotekę przekazaną testamentem reformatom w Zamościu. Został mianowany przez Augusta II biskupem wileńskim (1729), lecz kapituła wileńska kategorycznie sprzeciwiła się kandydaturze Jana, ponieważ... nie był on Litwinem. Zrzekł się tego zaszczytu. Konsekwował kościół i klasztor Kapucynów w św. Apostołów Piotra i Pawła w Lublinie (16.08.1733). Słynny kaznodzieja, głosił kazanie na mszy otwierającej sejm elekcyjny. *W dniu otwarcia sejmu elekcyjnego, dnia 25 VIII 1733, po odprawieniu uroczystego nabożeństwa w Kolegiacie Warszawskiej Świętego Jana przez nuncjusza papieskiego, po odbytych kazaniach przez biskupa chełmskiego Feliksa Jana Szaniawskiego, udali się senatorowie i posłowie na pole elekcyjne pod Wolą.*

Biskupa Jana pochowano w Zamościu w kryptach kościoła św. Katarzyny.

Józef Eustachy Szembek ze Słupowa.

Najstarszy syn Antoniego Felicjana, starosty bocheńskiego, i Ewy z Nielepców. Kanclerz krakowski (1725), kanonik warmiński, назначony deputowanym na Trybunał Koronny (1726). Nominowany na biskupa chełmskiego przez Augusta III (1736-53). Biskup płocki, książę pułtusi (1753), senator (ok. 1740-60). *Na wyniesienia względów dworu, osobiście zasługiwał ze wszech miar, tchnął samą dobrocią w pasterstwie; wyniósł dla siebie sławę człowieka sprawiedliwego.* Odznaczony Orderem Orła Białego.

Najważniejszym zadaniem kilkunastoletnich rządów w diecezji chełmskiej była troska o ludzi ubogich. Głównie w tej sprawie zwołał ostatni (VI) synod diecezjalny, podczas którego zwrócono uwagę na opiekę Kościoła nad wdowami, sierotami i biednymi. Wielu biskupów chełmskich wykazywało troskę o najuboższych; Józef, jako pierwszy, podniósł tę kwestię do rangi najpilniejszych zadań

Kościoła. Koronował obraz Matki Boskiej u bernardynów w Skępem (18.05.1755). Zezwolenie wydano w Rzymie (04.12.1754), a korona pochodziła ze składek obywateli. Obraz wyobraża samą Matkę Boską i pochodził z daru Kościeleckiej, kasztelaniki kruszwickiej (1496). *Mikołaj Kościelecki biskup chełmski, dziedzic dóbr Skępskich, zważywszy zacność miejsca i liczne przy tym obrazie cuda, i widząc codziennie zbiegające się tłumy ludzi: żeby nabożeństwu ich dogodził, postanowił kościółek obszerniejszy z klasztorem wymurować, i zakonników zwanych Bernardynami sprowadzić, co wkrótce skutkiem wypełnił (1498).*

Biskup Józef zmarł w Pułtusku.

Walenty Franciszek Wężyk z Osin. Rodzina z województwa sieradzkiego. Walenty, syn Wawrzyńca, wojskiego ostrzeszowskiego, i Marianny z Olszewskich, starościarki wieluńskiej, urodzony w Opatowie. Studiował w Akademii Krakowskiej i Uniwersytecie La Sapienza we Włoszech; tam uzyskał tytuł doktora teologii. Po powrocie do kraju, został proboszczem w Wieruszowie, a następnie prepozytem w Wieluniu, kanonikiem kustoszem gnieźnieńskim, krakowskim. Kilkakrotnie pełnił funkcję przewodniczącego Trybunału Koronnego. Biskup chełmski (1753-65) i przemyski (1765-66). Odznaczony Orderem Orła Białego (03.08.1761).

Walenty uczył się w Rzymie teologii i prawa, skąd powróciwszy został kanonikiem gnieźnieńskim, a potem kustoszem. Z proboszcza wieruszowskiego został najprzód kanonikiem, następnie proboszczem i oficjałem wieluńskim przed rokiem 1735. W roku 1740 wszedł, jako kanonik do kapituły płockiej, a w dwa lata później otrzymał od prymasa Krzysztofa Szembeka, krewnego swego po matce, który go wielce poważał, prowizję na kanonię gnieźnieńską. W dokumencie z dnia 9 X 1748 roku, tytułowany jest hrabią (comes), kanonikiem gnieźnieńskim, krakowskim i łowickim. Zjednaawszy sobie imię biegłego prawnika i wziętość u kapituły metropolitalnej dla swej ochoczości do wszelkich posług, prawości obrotności, wybrany był przez nie w porozumieniu z arcybiskupem w roku 1745 wiceprezydentem, a w roku 1750 prezydentem Trybunału Koronnego. Deputatem obrany na Trybunał Koronny, zwrócił oczy na siebie Augusta III, który go podał do infuły chełmskiej Benedyktowi XIV.

Walenty, mianowany przez Augusta III biskupem chełmskim (1753-65), *odbył okazały wjazd na stolicę biskupią, lubo zawsze skromny był w życiu, a to dla godności dostojęństwa biskupiego. Na samym wstępie znacznym nakładem zrestaurował kościół katedralny i wewnątrz przyzwoicie go przyozdobił, kościoły parafialne pilnie wizytował, karność w duchowieństwie troskliwie przestrzegał, zaległą od kilku lat hibernę do wielkiej urosłą sumy z własnych zasobów zapłacił i tym sposobem od wielkiego ciężaru duchowieństwo swoje uwolnił.* Urzędowanie w diecezji chełmskiej rozpoczął od wizytacji kościołów, które zniszczone przez wojny, z braku funduszy w większości nie były remontowane i chyliły się ku upadkowi. Biskup wspierał finansowo najbardziej zagrożone kościoły, a nawet opłacał ze swej prywatnej kasy zaległe podatki niektórych parafii. Jemu zawdzięczać należy wyremontowanie katedry w Krasnymstawie i kilku kościołów parafialnych.

Chorując na ranę w nodze nieuleczoną i niesłychane sprawującą mu boleści, budował wszystkich przytomnych swą cierpliwością, i poddaniem się woli Bożej. Biskup Walenty zmarł w Brzozowej pod Przemyśłem.

Feliks Paweł Turski. Był synem Mikołaja, stolnika sieradzkiego, i Katarzyny z Poleskich, urodzony w Czarnocinie w archidiecezji gnieźnieńskiej. Nauki początkowe u misjonarzy w Łowiczu, a w Rzymie uzyskał doktorat obojga praw (1742). Zostawszy księdzem, zdolnościami zwrócił na siebie uwagę. Otrzymywał kanonie: gnieźnieńską, następnie w kolegiacie św. Jana Chrzciciela w Warszawie (1754), prepozyturę w Kaliszu i godność prepozyta gnieźnieńskiego (1759). Proboszcz w Jaworowie, oficjał warszawski. Po trzech latach został koadiutorem z prawem następstwa prepozyta katedry prymasowskiej. Senator i członek Rady Nieustającej. Przewodniczył Trybunałowi Koronemu (1763). Ordynariusz chełmski (1765-71). Został administratorem archidiecezji gnieźnieńskiej (1767). *Jako oficjał warszawski, w imieniu warszawskiego kleru piękną mową łacińską witął nowo obranego króla Stanisława Augusta* (1764). Król Stanisław August Poniatowski przeniósł go na bogatsze biskupstwo łuckie (1771), następnie na krakowskie (1790). *Polityczną swoją rolę zakończył chwilą podniosłą na sejmie czteroletnim:*

to on, 3 Maja 1791 odczytał królowi rotę przysięgi i w jego ręce wobec całego sejmu król zaprzysiął konstytucję.

Troską biskupa Feliksa były obyczaje diecezjan. Skarżył się w liście pisanym do nuncjusza Duriniego (07.04.1770), że wielu z jego dyecezanów, *drwiąc sobie z praw kościelnych i własnych jego upomnień, udaje się do Prus lub do dyecezy kujawskiej, gdzie zawarwszy potajemnie związki małżeńskie z protestantkami bez zachowania warunków w tej mierze od Kościoła przepisanych, wraca potem z tryumfem a powszechnem katolików zgorszeniem. Jeżeli zaś pociąga ich za to do odpowiedzialności, lub grozi im kościelnymi cenzurami, to przechodzą publicznie i bez najmniejszego skrupułu do innego wyznania.* W 1773 na radzie senatu, odbywającej się pod naciskiem bagnetów rosyjskich i mającej przygotować haniebny sejm warszawski, jako jeden z nielicznych senatorów miał odwagę przemawiać przeciw intrygom Rosji. Kiedy miano wybrać stałą delegację prawodawczą dla urządzenia nowego stanu rzeczy na podstawie rozbioru, Feliks pierwszy z niemałą odwagą cywilną próbował oprzeć się temu w kilku śmiałych przemówieniach. Odpowiedzią było wstawienie w jego mieszkaniu 12 żołnierzy z poleceniem niszczenia wszystkiego, co się da. Gdy senatorowie zaczęli rozdrapywać dobra po skasowanym zakonie jezuitckim, znów Turski prawie sam jeden przeciw temu oponował i bronił majątku przeznaczonego na cele edukacji narodowej (1774). Jako biskup krakowski, był ostatnim tytularnym księciem siewierskim. Pamiętnikarze zapisali jako ciekawostkę, że Feliks na zamkowym dziedzińcu oszczepem polował na dziki. Jako biskup łucki (1769), brał udział w akcjach obywatelskich, a wystąpienia nacechowane były prawością i gorącym patriotyzmem. Tadeuszowi Kościuszcze przekazał pieniądze i srebra ze skarbca katedry wawelskiej na potrzeby powstania (1794). Wzbudzał uszanowanie, jako uosobienie głosu rozsądku, sumienia i honoru, o których to trzech rzeczach prawie wszyscy zapomnieli. Turski był otoczony szacunkiem jako charakter nieskazitelny, gorący i nieustraszony miłośnik Ojczyzny.

Feliksowi dane było dożyć ostatecznego rozbioru państwa polskiego. *Złamany wiekiem, pracą i nieszczęśliwymi w kraju przewrotami. Feliks Turski, był jednym z szczerze katolickich Pasterzy,*

k którzy pracowali w pocie czoła, około powierzonej sobie owczarni, i mniej dbali o czczy honor. Był to pasterz znany, szanowany i żalowany powszechnie, miał zachowanie u ludzi wielkie i pod każdym względem zasługiwał na nie. Biskup mądry i jedna z najwybitniejszych postaci czasów panowania Stanisława Augusta. Miał postać wspaniałą, oblicze piękne, zachowanie u ludzi i szacunek dla siebie tych starych biskupów, po których ona godność chowała się z nim do grobu. Nuncyusz z 17 biskupów polskich tylko 5 za godnych uważał w tym Feliksa Turskiego biskupa chełmskiego.

Biskup Feliks zmarł w Krakowie, powszechnie żalowany. Pochowany został w katedrze na Wawelu.

Antoni Onufry Okęcki z Okęcia. Z zasłużonej rodziny, która wydała: sześciu wojewodów, czterech kasztelanów, dwu marszałków koronnych, trzech kanclerzy wielkich. Z rodziny staromazowieckiej, która pisała się ze wsi Okęcie w ziemi rawskiej. Antoni, syn Jakuba, podstolego mazowieckiego, i Katarzyny z Grzybowskich, urodzony w Kobylinie. Pierwsze nauki pobierał w szkołach warszawskich, do stanu duchownego wstąpił w seminarium xx. Misjonarzy. Kanonik poznański (1757), warszawski (1762), gnieźnieński (1764), biskup chełmski (1771-80), poznański (1780-93). **Podkanclerzy koronny** (31.03.1780), **kanclerz wielki koronny** (17.11.1780-28.12.1786).

Jeden z tych rzadkich biskupów, za panowania Stanisława Augusta, co sprawiali swój obowiązek pasterski z poświęceniem się i z wiarą w swoje boskie posłannictwo. Zacny, pocciwy, nie na ludzi zwał wina; mówił raczej, że to nieszczęście jakieś. Napisał nową ordynację dla duchowieństwa parafialnego, w której nie uwodził się żadnym względem, jedynie chwałę Bożą mając na celu.

Adam Naruszewicz napisał panegiryk: *Ode XX do Antoniego Okęckiego, Biskupa chełmskiego. W dzień jego konsekracji. Czyliś życie prywatny osobne prowadził; Czyliś sądził, czy mówił publicznie, czy radził; Każdy nieuprzedzony mylnem zdaniem żadnem; Przyzna, żeś dobrym ziomkiem, kapłanem przykładnym; Żeś jako w ukaraniu występnych stateczny; Jak miły w obcowaniu, tak względny i grzeczny; Gorliwy bez zapалу, na ubogich hojny; We wszystkich sprawach mądry, baczny i przystojny.*

Antoni był wtenczas w całej sile męskiego wieku, bo wcale niedawno skończył dopiero lat 40: był czynny i gorliwy, był światły i przystępny. Takiego pasterza mogła życzyć sobie chełmska dyecezya. Naprzód zwiedzał dyecezyę, wizytował kościoły i parafie. Lud wiejski zbiegał się wszędzie po drodze biskupa. Pasterz go błogosławił krzyżem zbawienia. Gdzie tylko stanął, ocułał ducha pobożności i dawnej wiary. Bierzmował po wsiach i po miastach i utwierdzał słowo boże. Biskup zacny czuł, że jest pasterzem ludu. W dyecezyi swojej, nowe zaprowadzał nabożeństwa i ofiary. Ustanowił modlitwy o Św. Janie Kantym, kapłanom kazał odprawiać pacierze o Franciszce de Chantal. Za niego Katedra chełmska przeniosła się z fary do kościoła Pojezuickiego (1773). W roku 1776, ogłosił Okęcki jubileusz w swojej dyecezyi. Zjechał biskup do Krasnegostawu i prowadził processyę od kościoła Augustyanów do swojej Pojezuickiej katedry, w sam dzień Św. Trójcy, otwierając nabożeństwo i odpusty. Processya zaczęła się od katedry i obchodziła kościoły. Biskup sam urządził kolej i porządek. Sprowadził dawnych Jezuitów, którzy występowali po ambonach z kazaniami, z katechizacją dla ludu. Biskup sam był wszędzie i doglądał wykonania swoich rozporządzeń. O 9-tej rano, codziennie obchodził kościoły z kanonikami i z kapitułą. Cały tydzień potem bierzmował, i ani na chwilę nie ustał w pracy. Powiadali wszyscy, że biskup dawał wtedy z siebie wzór pobożności i przykład poświęcenia się dla innych kapłanów, że jubileusz wiele sprawił wszędzie dobrego, ale najwięcej w dyecezyi chełmskiej, przez gorliwe starania biskupa.

Biskup Antoni zmarł w Warszawie. Pochowany w warszawskiej katedrze.

dr Kazimierz Stolecki

c.d.n.



rys. Benek Homziuk

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Krajobraz z Nepomucenem. Część I



W numerze 3(5)2008 Nestora znajduje się omówienie figur usytuowanych przy źródle w Orłowie Murowanym. Stoją tutaj rzeźby św. Jana Nepomucena i - przypuszczalnie - św. Antoniego Padewskiego. Interesująca nas pierwsza z wymienionych figur, chociaż jest usytuowana w obecnym miejscu wtórnie, to jednak nie przypadkiem - św. Jan Nepomucen jest orędownikiem wzywany w niebezpieczeństwach związanych z żywiołem wody.

Ten męczennik jest jednym z popularniejszych świętych w Europie Środkowo-Wschodniej. Jego kult promieniował z Pragi, miasta w którym uczył się i pełnił posługę kapłańską. Był pracownikiem kurii w Pradze, a następnie proboszczem w jednej z parafii i kanonikiem na Wyszehradzie. Podczas sprawowania funkcji wikarego przy arcybiskupie Pragi Janie von Jenzensteinie, był drugą po metropolicie osobą decydującą o ważnych sprawach Kościoła rzymskokatolickiego w Czechach. Około 1390 roku wciągnięto go w spór między arcybiskupem a królem Czech. Następstwem konfliktów było skazanie Jana z Pomuk (Pomuki to rodzinna miejscowość świętego, która posłużyła jako przydomek) na więzienie i tortury. Po jednym z wielu przesłuchań, w 1393 roku utopiono go w rzece Wełtawie w Pradze. Zachowały się przekazy źródłowe, z których wynika, że św. Jan Nepomucen został skazany za to, że nie chciał zdradzić tajemnicy spowiedzi królewskiej małżonki. Na upowszechnienie jego kultu w XVIII stuleciu wpłynął rozpoczęty w 1710 roku jego proces kanonizacyjny, zatwierdzony przez Stolicę Apostolską dziewiętnaście lat później. Wówczas też spopularyzowano przedstawienia św. Jana Nepomucena w sztukach plastycznych.¹

Przedstawia się go w stroju kapłańskim (w sutannie, komży, okrywającym ramiona manto-

lecie i birecie na głowie, nad którym widnieje wieniec z pięciu gwiazd). W dłoniach trzyma krucyfiks, który stanowi odwołanie do szczególnego umiłowania dla Jezusa Chrystusa. Unoszące się nad głową św. Jana Nepomucena gwiazdy są również elementem hagiograficznym. Z przekazów źródłowych wynika, że nad Wełtawą, w miejscu gdzie dokonał żywota, ukazał się wieniec z pięciu gwiazd. Nepomucen bywa przedstawiany w ukłęk podczas adoracji krucyfiksu, w momencie pojmwania przez żołnierzy i wrzucania do rzeki Wełtawy.²

Kult św. Jana Nepomucena, wyrażony przez fundowanie rzeźb i obrazów przedstawiających tego kapłana dosyć wcześnie zaistniał także na obszarze należącym obecnie do powiatu Krasnystaw (gminy Fajstławice, Gorzków, Izbica, Krasnystaw, Kraśniczyn, Łopiennik Górny, Rudnik, Siennica Różana, Żółkiewka). Podobnie jak w całej Rzeczypospolitej, kult św. Jana Nepomucena nasilił się tutaj po 1710 roku, kiedy rozpoczął się proces beatyfikacyjny męczennika. Na jego upowszechnienie wpłynęło kilka czynników.



Ołtarz główny kościoła św. Jana Nepomucena w Fajstławicach po 1916 r., fot. A. Szykuła-Żygawska, 2011

Kult św. Jana z Pomuk rozpropagowali ordynaci Zamoyscy na terenie swego prywatnego dominium, bezpośrednio sąsiadującego z omawianymi terenami. W czasie, gdy św. Jan Nepomu-

1. Z. Bauer, A. Leszkiewicz, *Wielka księga świętych*, T. II, Kraków 2003, s. 143-144.

2. R. Knapieński, *Przedstawienie św. Jana Nepomucena w sztukach plastycznych jako przykład ikonografii hagiograficznej*, [w:] *Imago Narrat. Obraz jako komunikat w społeczeństwach europejskich*, red. S. Rosik, P. Wiszewski, „Acta Universitatis Wratislaviensis” 2002, nr 2478, s. 112.

cen został uznany za świętego (1729 r.), przyszły ordynat Tomasz Antoni Zamoyski pobierał nauki w Pradze. Kiedy zachorował, oddał się pod opiekę Janowi Nepomucenowi i swoje uzdrowienie przypisał jego wstawiennictwu.

W 1736 roku urodził się pierwszy syn Tomasza Antoniego i Marianny z Łubieńskich Zamoyskich, któremu rodzice nadali imię Jan Nepomucen. O kolejnych fundacjach Tomasza, którym patronował święty zaważył fakt, że pierworodny syn wkrótce zmarł.³ W 1739 roku Tomasz Antoni wraz z drugą żoną, Teresą Anielą z Michowskich ufundował w Zwierzyńcu kaplicę pod wezwaniem tego świętego. Kościółek został usytuowany na zbiorniku wodnym przepływającym przez miasto. Na jego wewnętrznych ścianach znajdują się malowidła przedstawiające świętego. Figura świętego znajduje się też w XVIII-wiecznym ołtarzu bocznym kościoła parafialnego w Turobinie.⁴

Kult św. Jana Nepomucena upowszechniali posiadacze majątków ziemskich na badanym terenie. Mogli zetknąć się z orędownictwem dla tej postaci w większych ośrodkach religijnych na terenie kraju lub podczas podróży w miejsca bezpośrednio związane z Janem Nepomucenem.

Początki kultu na terenie powiatu krasnostawskiego Fajslawice

Najwcześniej kult świętego jest odnotowywany w Fajslawicach. W 1754 r. sporządzono akt erekcyjny parafii pw. św. Jana Nepomucena w Fajslawicach.⁵ Pierwsze nabożeństwo we wzniesionym wówczas drewnianym kościele odbyło się dnia 11 listopada 1757 roku i tę datę przyjmuje się za początek funkcjonowania parafii. Fundatorami

nowo wybudowanego kościoła oraz pomysłodawcami jego patronium byli ówcześni właściciele miejscowości, podstoli lubelski Konstanty z Ołtarzewa Ołtarzewski wraz z małżonką Anną z Obarchcic Bielską.⁶

Wyrazem nabożeństwa dla męczennika było sprowadzenie do nowo wybudowanego kościoła jego relikwii, co znacząco wpłynęło na upowszechnienie kultu. Jest ona umieszczona w XVIII-wiecznym relikwiarzu, w przeszklonej promienistej glorii.

Z powodu pożaru w 1788 roku, nie zachowało się wyposażenie tego pierwszego kościoła.⁷ Brakuje informacji na temat wizerunków św. Jana Nepomucena, które znajdowały się w środku, ale można przypuszczać, że patronowi był poświęcony ołtarz główny.



Kościół św. Jana Nepomucena w Fajslawicach, proj. Joachim Hempel, 1791-1795, fot. A. Szykuła-Żygawska, 2011

Nowy kościół wybudowano w latach 1791-1795 i zadbano, aby w jego wyposażeniu znalazły się wyobrażenia św. Jana Nepomucena. W eklektycznym ołtarzu głównym, z umieszczonym pośrodku wizerunkiem Chrystusa z Sercem

3. Por. P. Kondraciuk, „Roztoczański patron”. Kaplice i figury św. Jana Nepomucena w pejzażu kulturowym Roztocza, [w:] Roztocze, region pogranicza przyrodniczo-kulturowego. Materiały polsko-ukraińskiej konferencji naukowej 35 lat dziedzictwa przyrodniczo-kulturowego Roztocza - regionu pogranicza, red. T. Reszler, T. Grabowski, Zwierzyńiec, 9-10 września 2009, Zwierzyńiec 2009, s. 217-225.

4. Tamże.

5. Publikowany w książce Adama Polskiego i ks. Władysława Wójtowicza Zarys dziejów parafii Fajslawice (Lublin-Fajslawice 2007, s. 73-75).

6. M. T. Zahajkiewicz ks., Diecezja lubelska. Informator historyczny i administracyjny, Lublin 1985, s. 275.

7. A. Polski, W. Wójtowicz ks., dz. cyt., s. 25.

Gorejącym, znajdują się po bokach obrazy przedstawiające św. Teresę od Dzieciątka Jezus po jednej stronie i św. Jana Nepomucena po drugiej stronie. Męczennik jest przedstawiony na tle zabudowań, z mostem na rzece na pierwszym planie. Stoi ubrany w strój kapłański, z krucyfiksem i palmą symbolizującą jego męczeństwo.

Wyrazem kultu patrona jest przechowywany na plebanii parafialnej obraz. Św. Jan Nepomucen jest ukazany na jednolitym tle, jako młodzieniec, w stroju kapłańskim. Jego uniesioną do góry głowę otacza nimb z dziewięciu gwiazd. Męczennik trzyma w jednej dłoni krucyfiks i palmę męczeństwa, a drugą dłoń składa na ustach. To ujęcie nawiązuje do wydarzenia z życia św. Jana, kiedy podczas tortur dochował tajemnicy spowiedzi.

Wyrazem upowszechnienia kultu na terenie parafii Fajslawice były fundacje kaplic i figur, którym patronuje święty. Barokowa kapliczka z rzeźbą św. Jana Nepomucena z końca XVIII wieku znajduje się przy drodze prowadzącej z Fajslawic do Woli Idzikowskiej. Umieszczona w środku figura przedstawia św. Jana w klasycznym ujęciu: w kapłańskim stroju, z krucyfiksem na ramieniu.⁸

W 1820 roku właścicielka sąsiadujących z Fajslawicami dóbr Suchodoły, Teresa z Baranów Błażowska wniosła na fajslawickim cmentarzu kaplicę grobową poświęconą jej mężowi Janowi Sławie Hakenszmitowi.⁹ Kaplica jest wzniesiona z kamienia, na rzucie koła, z prostokątnym przedścionkiem, od frontu zwieńczonym trójkątnym szczytem. Otwór wejściowy jest zamknięty półkoliście i ujęty po bokach półkolumnami jońskimi. Wiadomo, że do II wojny światowej w tej kaplicy znajdował się ołtarz, a w nim obraz imiennego patrona Jana Sławy Hakenszmity - św. Jana Nepomucena.¹⁰



Kapliczka z figurą św. Jana Nepomucena z przełomu XVIII/XIX wieku usytuowana przy drodze prowadzącej z Fajslawic do Woli Idzikowskiej, fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009

XX-wieczny wizerunek świętego jest umieszczony w feretronie noszonym w Fajslawicach podczas procesji w dzień wspomnienia św. Jana Nepomucena (21 V).

Równolegle wraz z Fajslawicami kult rozwinął się w innych parafiach położonych w granicach powiatu Krasnystaw.

Można przypuszczać, że ośrodkiem życia religijnego, do którego kult tego męczennika dotarł wcześniej był też Krasnystaw - stolica diecezji. Działało tutaj kolegium jezuickie, była również biblioteka. Potwierdzeniem orędownictwa dla Jana Nepomucena w stolicy diecezji jest zapis w protokole wizytacyjnego kościoła Wszystkich Świętych w Krasnymstawie. Wizytacja z 1796 wymienia ołtarz św. Józefa, w którym, na zasuwie namalowany był obraz św. Jana Nepomucena.¹¹

Z początkiem XIX stulecia kult św. Jana Nepomucena rozwinął się także w mniejszych ośrodkach parafialnych. Temu tematowi będzie poświęcony artykuł w kolejnym numerze czasopisma.

dr Agnieszka Szykuła-Żygawska

c.d.n.

8. Katalog Zabytków Sztuki w Polsce, T. VIII, Województwo lubelskie, red. R. Brykowski, E. Smulikowska, Z. Winiarz, z. 8, Powiat krasnostawski, opr. T. Sulerzyńska, F. Uniechowska, E. Rowińska, Warszawa 1964, s. 11.

9. O kaplicy wspomina ks. Karol Boniewski historyk diecezji lubelskiej i proboszcz parafii w Fajslawicach w latach 1827-1870, kronikarz tejże parafii w Opisie historycznym parafii Fajslawice z 1845 roku. Opis jest zamieszczony na stronie internetowej gminy Fajslawice <http://www.fajslawice.info/index.php?p=19> [źródło internetowe, data korzystania: 20.06.2011].

10. A. Polski, W. Wójtowicz ks., dz. cyt., s. 29 i 61.

11. Bibl. PAN w Krakowie, rkps. 2374/I, J. A. Wadowski ks., *Kościoły diecezji chełmskiej*, T. I, *Historia diecezji chełmskiej, dekanat Krasnystaw*, [1907], k. 32.

Irena Iwańczyk

Siłaczka



Jest koniec sierpnia 1945 roku. Wiejską drogą jedzie furmanka, zaprzężona w chude szkapiny. Na siedzeniu zrobionym z wiązki słomy, siedzi chłop, a obok niego szczupła dziewczyna. Za nimi, na wozie leży żelazne łóżko, dwa stołki, mała szafka malowana we wzory, tekturowe pudelka i dwa worki.

Chłop trzyma lejce i cmoka na konie:

- Wio, maluśkie! - woła.

Powoli zjeżdżają z góry. Przejeżdżają przez płytki Wieprz, gdyż dwa mosty zostały zbombardowane, i jadą pod szkołę podstawową, która mieści się w piętrowym budynku zbudowanym przez Zamyskich z białoczerwonej cegły.

- Prrr maluśkie! - woła chłop i wóz się zatrzymuje, a z niego zeskakuje młoda i zwinna dziewczyna.

Niespodziewanie wychodzi kierownik Szkoły Podstawowej w Michałowie.

- Witam, witam! Mamy nową nauczycielkę!

- Jestem Janina Sokołowska, chcę uczyć matematyki - informuje dziewczyna.

- Świetnie. Ten cały majątek, który pani przewiozła zapewne zmieści się w jednej klasie, właśnie w tej najmniejszej, na parterze. Ławki są już wyniesione. Chodźmy, niech pani obejrzy!

Idą wąskim korytarzem, najpierw prosto, później w lewo. Przechodzą przez jedną klasę do drugiej, a z tej - do pustej sali. Okno jest tu skierowane na północ, przy ścianie - wysoki, kaflowy piec.

- Ta klasa będzie pani domem. Czy się pani podoba? - pyta mężczyzna.

- Owszem, nawet bardzo. Ale może ktoś mi pomoże wnieść mój skromny dobytek - prosi dziewczyna. Kierownik wezwał woźnego, który razem z chłopem wnieśli rzeczy nowej nauczycielki. Dziewczyna wskazała miejsca:

- Pośrodku szafka, która będzie pełnić także funkcję stołu, a łóżko przy zachodniej ścianie.

Gdy już wszystko wniesiono, wieśniak odezwał się w te słowa:

- Panienko, na wozie już nic nie ma. Na mnie czas - i wyszedł.

Pannie Janinie podobał się budynek szkolny, przed którym rosły dwa potężne kasztanowce. Urzekł ją śliczny ogródek z egzotycznymi krzewami i kwiatami, stary sad, do którego szła przez romantyczny mostek na małym strumyczku wpadającym do Wieprza. Okolica była prześliczna. Wieś rozłożyła się po obu stronach Wieprza, otoczona rozległymi łąkami i lasem. Najwięcej uroku i tajemniczości krył park, a w nim dwa pałace, oranżeria i inne zabytkowe budynki, należące niegdyś do Zamyskich.

Blisko szkoły był też folwark, z dawnymi czworakami i zabytkowym dworkiem. Obok - młyn, elektrownia, a przy niej stawidła spiętrzające wodę, która spadała z szumem, rozpryskując się w mokre koralce. Olbrzymią wyspę tzw. „Olszynki”, dwoma ramionami obejmował Wieprz. Kiedy szła do parku, musiała przejść przez drewniany mostek. Wtedy wchodziła na środek, opierała się o poręcz i patrzyła jak odbija się słońce zatopione w wodzie, dostrzegała też, że drzewa odbite w toni mają brylowate kształty i cudowne kolory. Gdy długo patrzyła w taflę wodną, doznawała nieznanego jej dotąd zjawiska - czuła, że wraz z nurtem rzeki płynie. Trzeba było mocno potrząsnąć głową, by nie wpaść do wody, tak bardzo ulegała złudzeniu.

Nauczycielka swą urodą zwracała uwagę mieszkańców wsi. Była to brunetka o jasnej cerze i fiołkowych oczach. Bujne, ciemne włosy spletała w dwa warkocze, układając z nich w tyle głowy ciężki, zgrabny koszyk. Twarz o regularnych rysach zdobił uśmiech i błysk radości. Zawsze nosiła duży, srebrny sygnet. Najchętniej ubierała się w szafirowy kostium, ozdobiony butonierką. W razie potrzeby zakładała piękny kapelusz.

Od 1 września, dziewczyna z ogromną radością i pasją rzuciła się w wir pracy szkolnej. Okazało się, że jest energiczna i wymagająca. Nie mogła darować uczniom, że nie pojmują prostych, według niej, praw matematycznych i bywało, że na jednej lekcji postawiła kilka ocen niedostatecznych, ale byli też tacy, którzy dobrze sobie radzili.

Niektórzy ze strachu dostawali biegunki. Na lekcji panowała żelazna dyscyplina, choć nauczycielka umiała rozładować zdenerwowanie jakimś

dowcipem lub uśmiechem, zresztą mimo woli powstawały śmieszne sytuacje. Kiedyś Edek Pańczyk narysował twarz na swoim kolanie. Podniósł palec do góry, więc nauczycielka pyta:

- Pańczyk, czego chcesz?
- Proszę pani, przybył nowy uczeń.
- Gdzież on jest? - zapytała pani.
- Zaraz pokażę - i usiadł, by za chwilę

podnieść jak najwyżej swoje nagie kolano z wyrysowaną twarzą. Na taki widok, klasa ryknęła śmiechem. A wieczorem pani Janina uczyła matematyki na kursie wieczorowym dla dorosłych w zakresie siedmiu klas. Prowadziła też kurs dla analfabetów. Na jednej z lekcji wprowadziła literę „dz”. W tym celu narysowała na tablicy psa, z dzwonkiem na szyi. Chodziło przecież, by wyodrębnić wyrazy z głoską „dz”. Stary Piszcz z folwarku opisywał psa, mówił, że ma głowę, cztery łapy, ogon, uszy, sierść, ale nie zauważył dzwonka. Więc nauczycielka zaapytała:

- Panie Janie, a czym pies dzwoni?
- Nie powiem! Nie powiem! - wzbraniał się stary uczeń.
- Dlaczego?
- Bo się wstydzę - odpowiedział ten sam mężczyzna.
- Ależ niech pan spojrzy, co pies ma na szyi? - pomagała nauczycielka.
- Już widzę, to jest dzwonek - odpowiedział Piszcz. Dalej lekcja poszła gładko.

Pani Janina bez reszty poświęcała się pracy: robiła pomoce, dekoracje, afisze, organizowała loterie fantowe, zabawy taneczne z kotylionami dla dzieci, oczywiście pomagali uczniowie. Wiele czasu i serca wkładała w przygotowanie występów artystycznych z dziećmi i dorosłymi. Sama była reżyserem, scenarzystą i choreografem. Wystawiała sztuki w rodzaju współczesnego „Metra”. Było to połączenie dialogów z tańcami, baletem, śpiewem solowym i zbiorowym, a wszystko na tle pięknych dekoracji. Dla wielu był to pierwszy kontakt ze sztuką i teatrem. Do dziś pamiętam spektakl pt. „Bajka”, gdzie główną rolę grała Nina Kościak. Śpiewała i tańczyła z leśnymi ruszałkami. Dołąd pamiętam melodię i słowa. Z dorosłymi pani Sokółowska wystawiała: „Szczęście Frania”, „Grube ryby” i inne sztuki.

Prowadziła harcerstwo, organizując atrakcyjne zbiórki, pieszce wycieczki, pomoc samotnym

i niedołężnym tzw. „akcję niewidzialnej ręki”. Dzięki niej, szkoła stała się ośrodkiem kultury. Właśnie tu odbywały się zabawy taneczne. Latem przed szkołą, a zimą - w klasach.

Ponieważ zbyt się wyróżniała, nauczyciele nie darzyli jej zbytnią sympatią. Lgnęły do niej dzieci i młodzież. Pani była dla nich żenująco hojna. Częstoowała najlepszymi ciastkami i cukierkami. Za przyniesienie wiaderka wody, (studni nie było na terenie szkoły) wciśkała na siłę duże sumy pieniędzy.

Praca nadal była jej pasją. Mijały lata, w pokoiku nauczycielki nie było zmian, doszedł prosty stół i dwa krzesła. Ubierała się skromnie, lecz schludnie i gustownie. Za to z jedzeniem było zupełnie źle. Pani Janina najczęściej gotowała... herbatę na kuchence elektrycznej. Raz w tygodniu jeździła do Zamościa, skąd przywoziła tortowe ciastka, którymi się żywiła przez cały tydzień.

Pochłonięta pracą nie zauważyła, że ma 55 lat. Jej rozpacz nie miała granic, gdy zmuszono ją do odejścia na emeryturę. Samotna, bez żadnej rodziny, zamknięta w czterech ścianach, nie mogła się pogodzić ze swoją sytuacją. Prosiła dyrektorów, którzy dawniej byli jej uczniami, aby pozwolili jej bezpłatnie uczyć, gdy ktoś z grona zachoruje. Początkowo się zgodzili, wkrótce zmienili decyzję. Wyprosiła więc jedną klasę przy jej pokoiku i zorganizowała Izbę Pamięci Narodowej. Sama zbierała eksponaty, prosząc ludzi o pomoc.

Zgromadziła różne przedmioty: broń, umundurowanie dawne i współczesne, monety, kołowrotki, żelazka, a najwięcej przedmiotów z okresu drugiej wojny światowej, także zdjęcia poległych w obozach koncentracyjnych. Na podium stała urna z prochami poległych w Oświęcimiu, w otoczeniu kwiatów i zawsze palącej się lampki, co stwarzało niesamowite wrażenie. Eksponatów ciągle przybywało, więc nauczycielka skatalogowała je.

Były nawet próby włamania. Ponieważ Izba Pamięci stała się treścią jej życia, zachęcała wszystkich do obejrzenia jej, a sama przestała jeździć do Zamościa z obawy, że ktoś może ukraść bezcenne zbiory. Nie mogła nawet udać się do lekarza. Za utworzenie i wzorowe prowadzenie izby pamięci, pani Janina otrzymała pierwsze w swoim życiu radio transistorowe.

W czasie Wigilii zapalała świeczki przy urnie z prochami, klękała i modliła się. A następnie szła do

swojego pokoiku, brała do rąk opłatek i łamiąc go, składała życzenia swoim rodzicom, którzy jeszcze w dzieciństwie odumarli ją. Po tym śpiewała kolędę „Cicha noc, święta noc. Pokój niesie...”

Przez cały czas starała się utrzymać kontakt z dawnymi uczniami. Korespondowała z Teresą Dz., z Zosią Ż., z Ireną M. Przeważnie w czasie wakacji odwiedzały ją uczennice ze swoimi rodzinami. Często wała herbatą i ciastkami, a ich dzieci obdarowywała prezentami w postaci własnoręcznie zrobionych koralików z barwnego papieru, wstążkami, przepaskami, wszystkim, co miała. Żaliła się też na samotność i brak zrozumienia, płakała z tego powodu. Niektóre jej dawne uczennice były tak zajęte swoimi rodzinami, że zapominały o swojej nauczycielce, nazywały ją dziwaczką i mówiły, że nie mają czasu na jej żale.

Po siedemdziesiątce pani Janina zaczęła chorować na serce. Dość długo leżała w szpitalu w Szczepieszynie. Podczas choroby zabrano jej muzeum do Zamościa. Powróciła jednak do domu, gdzie było zimno, a po wodę trzeba było daleko chodzić. Uliłował się nad jej dolą dyrektor PGR-u w Michałowie i dał jej jednoizbowe mieszkanie w bloku emerytów. W prezencie otrzymała nową kozetkę, więc z żalem rozstała się ze swoim żelaznym łóżkiem, które pamiętało jej młodość.

Mimo lepszych warunków, pani Sokołowska nie mogła się zaaklimatyzować i powoli czekała na śmierć. Przygotowała ubranie, a na pochówek zaoszczędziła 100 tysięcy złotych. Zmarła w szpitalu w Szczepieszynie w wieku 76 lat. Gdy ją chowano, był mróz ponad 20 stopni. Grabarze z trudem wykopali grób. Na skromnym nagrobku wypisane są słowa: „Zasłużona Nauczycielka odznaczona Krzyżem Kawalerskim”.

A teraz kolej na refleksje.

Moja nauczycielka była piękna, mądra i zdolna. Mogła być aktorką, reżyserem, lekarzem, a przynajmniej mieć rodzinę, kochającego męża i dzieci. Dlaczego stało się inaczej? Co zdecydowało o jej życiu? Przypadek, niewłaściwy wybór, a może takie było jej przeznaczenie?

Cisną się różne pytania, ale odpowiedź jest jedna. Moja nauczycielka, pani Janina Sokołowska była Siłaczką. Inne refleksje pozostawiam Czytelnikom.

Irena Iwańczyk

Leonid Gawryłow miałby dziś 110 lat

§zanowna Redakcjo!

Przeczytałam w Waszym arcyciekawym piśmie *Nestor* „Fenomen Gawryłowa” Andrzeja D. Misiury i „Genialny lekarz spod znaku ryb” Marka Szymaniaka.



Urodziłam się w 1937 roku w Siennicy Dużej (jej odnodze Browarówka). Po śmierci mamy wychowywała mnie babcia. Z jej to opowieści wiem, że (cytuje): *...może robak z siana cię ugryzł w kołysce, albo jakie skrofuły, zaczęły ci wychodzić kosteczki z lewej rączki*. Zaniósł mnie babcia w tobołku do lekarzy w Krasnymstawie i oni orzekli, że to gruźlica kości, która obejmie mnie całą i tak umrę. Babcia była bardzo biedna, nie wiedziała co robić, a mnie, gdy ledwie zaczęłam chodzić wyrzekł się ojciec, mama już dawno nie żyła, więc ktoś poradził wizytę u doktora Leonida Gawryłowa. I znowu tłumoczek (czyli ja) na plecy i wędrówka do Krasnegostawu. Doktor Gawryłow przyjął, dał zioła do kąpieli, kilkakrotnie oglądał rączkę i za każdym razem pocieszał babcię, że ręka będzie sprawna, ja zdrowa i wszystko będzie dobrze.

Później, jako kilkuletnie dziecko, chodziłam po leki do doktora Gawryłowa dla chorej ciotki, czasami babcia podawała kurę, a czasami parę jajek.

W 1956 roku zamieszkałam na ulicy Mokrej, najpierw u pani Pakulskiej, później u pani Boblowej i często przy nabieraniu wody spotykałam doktora Gawryłowa, albo przy studni (nie pamiętam czy jej - może pana Malca?), albo przy beczkowie. Pamiętał mnie, był uprzejmy i bardzo, ale to bardzo życzliwy. Powiedział, że będę miała dzieci, ale

i poronienia i smutne życie. Ale dam sobie radę. Widywałam też później jego żonę Jadwigę. Sie-działa na pniaczku i uczyła się zawzięcie. Była przeciwieństwem męża. Młodsza, ale bardziej zamknięta, wyobcowana. Wtedy mówili, że przyjechała zza wschodniej granicy, a on ożenił się z nią, by mogła zostać w Polsce i studiować medycynę. Teraz przeczytałam w Nestorze coś zupełnie innego i dopiero teraz rozumiem zachowanie pani doktorowej, jak się mówiło na naszej ulicy.



Rękę mam dotychczas w miarę sprawną, pozostały tylko blizny po „wychodzeniu kości”, dzieci miałam dwoje (syn zmarł w wieku 39 lat) i rzeczywiście kilka poronień. Życie bardzo smutne, ale skoro dożyłam 74 lat, dałam radę wielu przeciwnościom, jak powiedział pan Leonid Gawryłow. Pomógł mi, gdy miałam 2-3 lata i jak miałam 16-18 lat.

Później okazało się, że leczył też, w dzieciństwie mojego męża. Lekarze nie pomagali, a nasz doktor wyleczył ranę „maścią Bazylego”. W Krasnymstawie ukończyłam liceum ogólnokształcące, tam byłam rok w domu dziecka przy kościółku. Uwielbiałam profesorów Podgórskiego i Tchórzewskiego. Zaznałam ich ludzkiej, bezinteresownej pomocy. Dużo zawdzięczam dyrektorowi St. Halakowi, profesorowi Lipczyńskiemu (od muzyki) i kochanej wychowawczyni z domu dziecka pani Bogusi Grimm. Oni, tak jak doktor Gawryłow uczyli mnie nie bać się życia. Pomogli. Byli tacy mądrzy.

Jeżeli wydrukujecie mój list, ucieszę się. Pan Radej obdarował mnie *Nestorami*. Podziwiam Was i gratuluję.

(nazwisko do wiadomości redakcji)

Henryk Sienko



Ten chłopiec na ramionach to jestem JA! czyli niezwykle historia zwykłej fotografii

*Fotografie to kęsy czasu, które można wziąć do ręki.
Angela Carter (Magiczny sklep z zabawkami)*

Błędnie napisaliście, że na ramionach znakomitego aktora Ludwika Benoit („Niewiarygodne przygody Marka Piegusa”, „Potop”, „Pan Samochodzik i niesamowity dwór” - przyp. red.), jest jego syn **Mariusz Benoit** (też aktor, m.in. „Szczur” - przyp. red.). - Na jego ramionach siedzę JA” - napisał do nas z Wrocławia **Krzysztof Kisieliński**, rodem z Krasnegostawu, który wypatrzył fotografię na stronie internetowej klubu Start Krasnystaw. Co wiąże pana Krzysztofa z Krasnymstawem, czy prawdą jest, że jego stryjowie grali w reprezentacji Polski w piłce nożnej. Co robi na zdjęciu były zastępca burmistrza Krasnegostawu Zbigniew Miarczyński oraz bohaterka filmu „Sami swoi” i „Nie ma mocnych”? Oraz co takiego się wydarzyło w Zakopanem, kiedy obecni na zdjęciu trafili w środek walk funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa i grupy „Ognia”?



Podczas urlopu w Zakopanem uczestnicy rodem z Krasnegostawu przeżyli dramatyczną przygodę, pośrednio znaleźli się w centrum walk „Ognia” i bezpieki.

Na zdjęciu od lewej: Maria Zbyszewska, Krzysztof Kisieliński z mamą i przewodnik

Ludzkie losy bywają proste i skomplikowane, zwykłe i niezwykle. Czasem przypadek sprawia, że drażymy temat, splot okoliczności sprawia,

że spotykamy ludzi, którzy odkrywają historię na nowo. Oto jak niezwykle może być odkrywanie historii - a nawet opisywanie jej z błędem. Ale po kolei.

Kiedy pisałem książkę o Startcie Krasnystaw „**Pierwszy gol**”, pierwszą rzeczą, którą miałem na uwadze była korekta treści i dbałość o nazwiska. To była rada **Zbigniewa Pięroga**, który użyczył mi wielu fotografii. I choć książka jest gotowa, to dawałem i daję ją osobom pamiętającym historię - do przeczytania, z prośbą o korekty i uzupełnienia. Aliści nie dałem pani **Marii Miarczyńskiej** - żonie **Zbigniewa Miarczyńskiego**, która również rozpoznawała osoby na starych fotografiach, opowiadała gdzie i w jakich okolicznościach były zrobione... Zdjęcie zrobione w Zakopanem... Oto piłkarz Startu Krasnystaw, **Zbigniew Miarczyński**, uczestnik pierwszego meczu w wyzwolonej Polsce (Start Krasnystaw - Reprezentacja Jednostki Radzieckiej 6:1), pozuje do fotografii z nowo poznanymi towarzyszami wycieczki. Zainteresowała mnie fotografia (wykonano ją w 1947 roku), na której pozuje on razem z popularnym później aktorem **Ludwikiem Benoit**...



Reprezentacja Polski.
W białym swetrze Stefan Kisielewski

Jest 2007 rok - kibic Startu Krasnystaw założył stronę w Internecie, poprosił mnie o umieszczenie kilku sylwetek zawodników Startu okresu powojennego... W piłkarskich biogramach, obok m.in. **Ryszarda Opielaka**, strzelca pierwszego gola na ziemiach polskich po wyzwoleniu, pojawił się **Zbigniew Miarczyński** i fotka zrobiona w Zakopanem. A pod nią podpis (błędny, jak się okazało), że na ramionach taty, **Ludwika Benoit**, siedzi syn - **Mariusz Benoit**. Tak mi powiedziano... Nie minął

rok i redakcja strony startkrasnystaw.futbolowo.pl otrzymała list, który administrator strony natychmiast mi przesłał.



Gwiazdy Polonii Warszawa i reprezentacji:
Mieczysław Mączkowski, Stefan Kisielewski,
Jerzy Bułanow (później reprezentant Argentyny)

Poszukuję kontaktu i informacji o mojej rodzinie, wraz z którą spędziłem lata okupacji w Krasnymstawie, w którym zresztą urodziłem się w 1940 roku. Jedną z osób blisko związanych z moją rodziną był **Stefan Gładkowski**, mąż lekarki **Ireny** i ojciec córki **Marty**. Poza tym, że losy wojny rzuciły go, podobnie jak i nas do Krasnego-stawu, był pasjonatem piłki nożnej. Moi trzej stryjowie i ojciec byli piłkarzami **Soły Oświęcim**, w tym reprezentanci Polski: bramkarz **Stefan** i pomocnik **Walerian Kisielewski**. I stąd być może zrodziły się bliskie kontakty. Po jego nazwisku trafiłem na stronę klubu Start Krasnystaw i tu zobaczyłem zdjęcie-niespodziankę! Do opisu sylwetki **Zbigniewa Miarczyńskiego** dołączono zdjęcie mojej rodziny, ale z błędnym częściowo opisem.

W moim albumie zdjęciowym mam jeszcze trzy inne ujęcia z panem **Miarczyńskim**, więc nie ma mowy o pomyłce! Latem 1948 roku na **Pola-nie Waksmundzkiej** w **Tatrach** przeczekiwaliśmy deszcz w schronie turystycznym. Dołączyło do nas dwóch turystów, jednym z nich był **Zbigniew Miarczyński**. W trakcie postoju nastąpiła grzecznościowa wymiana zdań, a potem zbliżenie - na tle wojennych opowieści.

Widocznie mówiono również o Krasnymstawie, ale tego nie pamiętam, bo miałem wówczas 8 lat, skoro to spowodowało, że dalszą część wycieczki odbyliśmy razem. Nocleg mieliśmy w Morskim Oku, w starym schronisku leżącym przy parkingu (na innym zdjęciu nasza grupa, w tle schronisko i jego opiekun, pan Franciszek). I tu potrzebna jest korekta i uzupełnienie do opisu zdjęcia. Od lewej strony: - 1. **Zbigniew Miarczyński**, 2. **Stanisława Zbyszewska-Kisielińska** - moja matka, a teściowa Ludwika Benoit, 3. **Maria Zbyszewska-Benoit** - moja siostra przyrodnia, matka Mariusza Benoit, 4. **Franciszek Kisieliński** - mój ojciec, 5. **Ludwik Benoit** - mój szwagier, chłopiec na ramionach - to ja, **Krzysztof Kisieliński**.



Pomyłka w opisie polega na tym, że Mariusz Benoit urodził się dwa lata później, a zdjęcia ilustrują pierwszy urlop poślubny państwa Benoit, spędzany w Zakopanem. Dodam, że dramatycznie „urozmaicony”. Jechaliśmy któregoś dnia kolejką na Gubałówkę, tą, w której funkcjonariusze UB, zostali wystrzelani na górnej stacji, przez partyzantów (grupa „Ognia”). [...]

W czasie okupacji moja rodzina i Stefan Gładkowski działali na terenie Krasnegostawu „na niwie kultury”. Moja matka, Stanisława Zbyszewska-Kisielińska była aktorką, po wojnie również reżyserem teatralnym. Zajęła się organizowaniem amatorskiego ruchu teatralnego w trudnych czasach wojny, właśnie w Krasnymstawie. Pomagał jej

w tym mój ojciec Franciszek oraz Stefan Gładkowski, fantastycznie uzdolniony plastycznie - twórca plakatów, scenografii. Moja siostra Maria, wówczas 18-letnia panna stawiała tam pierwsze kroki sceniczne. Poznała tam swojego pierwszego partnera **Zdzisława (?) Zasadę**. Został on zastrzelony na rynku krasnostawskim przez pijanych żołdaków (tak sobie - bez powodu). Po wojnie ukończyła aktorskie studia w Krakowie, w Studiu **Iwo Galla**, gdzie poznała przyszłego męża **Ludwika Benoit**. Przez wiele lat była jednym z filarów teatrów wrocławskich. Zagrała w ponad 20 filmach, ale wszyscy zapamiętują ją z „**Samych swoich**” w reżyserii Sylwestra Chęcińskiego, jako żonę Pawlaka.

Jeżeli ktoś pomoże odnaleźć ślady działalności teatralnej mojej rodziny, będę wdzięczny.

Pozdrawiam, Krzysztof Kisieliński
(urodzony w Krasnymstawie, w grudniu 1940 r.)

Skontaktowałem się z Krzysztofem Kisielińskim. Opowieść o spotkaniu w Zakopanem i o tym jak piłka nożna, teatr, historia i film „wgrały się” w dzieje jego rodziny została rozwinięta.

- Moja rodzina, po zakończeniu wojny wyniosła się do Krakowa, pod Kopiec Kościuszki - powiedział Krzysztof Kisieliński. - Do mieszkania Stefana Kisielińskiego, reprezentacyjnego bramkarza.

Po paru latach przyciągał nas do siebie w Katowicach, ale już tylko na pół roku. Kiedy miałem kilkanaście lat odwiedziliśmy Stefana Gładkowskiego w Krasnymstawie, gdzie dożył swoich dni. Ja byłem wówczas na etapie poszukiwania sportowej dyscypliny i właśnie zaczynałem stawiać pierwsze kroki w Gwardii Wrocław. Ot - mieszkałem kilka kroków od stadionu. Z wielką wiarą w moje plany Stefan Gładkowski obdarował mnie swoimi prawdziwymi, korkami! Uznał, że jemu już nie posłużą, a w tamtych czasach o wszystko było niesamowicie trudno. Później okazało się, że miał wielkie stopy i ja po paru treningach powiesiłem te buty na kołku, bo pożytek z nich był żaden. Spadały niemal z nóg. Ze mnie zresztą, pomimo rodzinnych tradycji dla piłki nożnej, pożytku nie było.

Opisana historia pewnej fotografii jest jedną z wielu, ale mam przeczucie, że po schowaniu zdjęcia do albumu - wkrótce pojawi się kilka innych

historii i zdarzeń związanych z ludzkimi losami. Pewnie pojawiają się nowe „kęsy czasu”. Może zdobędę informacje jak i dlaczego zginął Zasada, dlaczego **Ryszard Liskowacki**, pisarz krasnostawski swoją sztukę teatralną zatytułował „Rzut karny”? Czy przypadek sprawił, że będąc autorem (Henryk Sieńko - przyp. Nestor) książki „Przekleństwo 11 metra”, w której bohaterem jest fragment gry w piłkę nożną jakim jest rzut karny, trafiłem na sztukę Ryszarda Liskowackiego, który mieszkał w Krasnymstawie, a później w Szczecinie.



Ludwik Benoit był bohaterem wielu filmów, podobnie jego syn Mariusz. Na zdjęciu Mariusz Benoit z Janem Englertem jako Grundol w „Piłkarskim pokerze”

A swoją drogą - czy to nie gotowy scenariusz filmu, w którym narrator wyjmuje zdjęcie z albumu i wspomina swoją przeszłość, odwiedza miejsca, spotyka się z bohaterami fotografii, a jeśli nie żyją to z ich rodzinami... Kto mógłby być narratorem takiej opowieści? Krzysztof Kisieliński, Maria Miarczyńska, Zbigniew Piróg?

Henryk Sieńko

Osoby:

Zbigniew Miarczyński

(uczestnik pierwszego po wojnie meczu piłkarskiego na ziemiach wyzwolonych, członek założyciel pierwszego klubu piłkarskiego po wojnie - Startu Krasnostaw, później zastępca burmistrza Krasnostawu)

Maria Miarczyńska

(żona Zbigniewa Miarczyńskiego)

Ryszard Opielak

(strzelec pierwszej bramki w pierwszym powojennym meczu, później lekarz weterynarii w Lublinie)

Zbigniew Piróg

(szwagier Zbigniewa Miarczyńskiego, uzdolniony sportowiec, później radny w Krasnymstawie)

Stefan Kisieliński

(bramkarz w piłce nożnej, piłkarz m.in. Polonii Warszawa i reprezentacji Polski)

Stanisława Zbyszewska (animatorska życia kulturalnego w powojennym Krasnymstawie, współtworzyła teatr)

Franciszek Kisieliński

(mąż Stanisławy Kisielińskiej, ojciec Krzysztofa Kisielińskiego)

Maria Zbyszewska-Benoit

(żona Ludwika Benoit, w filmie „Sami swoi” - żona Pawłaka)

Walerian Kisieliński

(piłkarz, reprezentacyjny pomocnik)

Ludwik Benoit

(popularny aktor teatralny i filmowy, mąż Marii Zbyszewskiej)

Mariusz Benoit

(popularny aktor teatralny i filmowy, syn Marii Zbyszewskiej i Ludwika Benoit)

Krzysztof Kisieliński

(urodzony w Krasnymstawie, syn Stanisławy i Franciszka Kisielińskich)

Zdzisław Zasada

(pierwszy partner Marii Zbyszewskiej, zastrzelony tuż po wojnie)

Józef Kuraś, ps. „Orzeł”, „Ogień”

(ur. 23 października 1915 w Waksmundzie, zm. 22 lutego 1947 w Nowym Targu - porucznik WP, partyzant na Podhalu w czasie II wojny światowej, jeden z dowódców oddziałów podziemia antykomunistycznego i niepodległościowego).

Irena Gładkowska

(lekarka w Krasnymstawie, żona Stefana Gładkowskiego)

Stefan Gładkowski

(lekarz, działacz sportowy, współzałożyciel klubu piłkarskiego Start Krasnostaw, organizator życia kulturalnego w powojennym Krasnymstawie, także teatru)

Ryszard Liskowacki

(pisarz, dramaturg, dziennikarz, redaktor naczelny „Morza i Ziemi”, autor m.in. sztuki teatralnej „Rzut karny”, w najpiękniejszym okresie życia zamieszkały w Krasnymstawie).

Zbigniew Waldemar Okoń

Moja twórczość związana jest z człowiekiem - o teatrze jednego aktora Reginy Możdżeńskiej



W jesieni br. odbędą się w Lublinie jubileuszowe spotkania z Reginą Możdżeńską - reżyserem, instruktorem teatralnym kategorii „S”, poetą, animatorem kultury i pedagogiem, z okazji 65-lecia jej działalności teatralnej i kulturalno-oświatowej, 55-lecia pracy literackiej i 90. rocznicy urodzin. W związku z tym ukaże się książka pt. *Między teatrem a poezją. Życie i twórczość Reginy Możdżeńskiej*. Publikowany tekst jest zmodyfikowanym fragmentem tej książki poświęconym teatrowi jednego aktora, w tworzeniu i prowadzeniu którego Regina Możdżeńska odniosła największe sukcesy artystyczne.

Tadeusz Buski, znakomity znawca polskiego teatru, w jednej z licznych publikacji poświęconych teatrowi amatorskiemu, w artykule pt. *Siew („Sprawy i Ludzie”, nr 51/52 z 19 grudnia 1985 r.)* napisał:

Jaki jest sens /.../ istnienia scen amatorskich? Co dzisiaj skłania młodych ludzi do zabawy w teatr, wkuwania tekstów, udziału w uciążliwych próbach, ćwiczeniach, treningach - za które nie otrzymują - jak sportowcy kadrowego ani stypendiów, ani rekompensat na dożywianie? Jaki rodzaj satysfakcji i radości znajdują w tej przygodzie?

Poszukując odpowiedzi na to pytanie - wybrałem się /.../ do Lublina. Skąd ten Lublin? Ano stąd, że tam oraz w okolicy obejmującej także Chełm, od niepamiętnych czasów pracuje w amatorskim ruchu teatralnym Regina Możdżeńska. Kto to jest Regina Możdżeńska? Pytać o to w kręgach związanych z tym ruchem byłoby wstyd. Przecież wiadomo, że Możdżeńska to niezmordowana animatorka amatorskiego teatru, która stworzyła w życiu i prowadziła tyle zespołów, że nikt się ich do końca doliczyć nie może. Pracowała z młodzieżą szkolną i pracującą, z żołnierzami i studentami, z junakami OHP - a mówiąc między nami - także z chuliganami. /.../ W ogóle sława jakich mało. /.../

Wyjeżdżam z Lublina z taką mniej więcej odpowiedzią na wyjściowe pytanie: Różnymi drogami dochodzi się do tego, że jest się człowiekiem. Każdemu szukaniu partneruje niepewność, błędy, kluczenia. Dobrze jest trafić jak najwcześniej na własną drogę. Jedną z możliwości dla wielu jest ruch amatorski, w tym teatr. Rozwija, usprawnia, zwiększa dyspozycyjność - uczy myśleć, uczy żyć. Sprzyja rozbudzaniu wrażliwości, uczy szacunku i miłości do ludzi, otwiera na dialog, dowartościowuje niepewnych. Takie możliwości tkwią w każdym teatrze. Ale urzeczywistniają się w pełni tam, gdzie osoba prowadząca wykazuje szczególne predyspozycje, mówiąc patetycznie: powołanie do siewu dobra. Jak Rena Możdżeńska.

Wybierając powyższy cytat, przejrzałem dziesiątki artykułów o życiu i twórczości Reginy Możdżeńskiej. Wszystkie poświęcone były najpiękniejszej dziedzinie jej twórczości artystycznej - teatrowi jednego aktora - i mówiąc najogólniej - wszystkie komplementowały jej osiągnięcia w tej dziedzinie sztuki. Żeby pozostać w konwencji tych ocen, wypisuję wybrane skrótowo - tylko niektóre - skierowane do niej lub jej dotyczące wypowiedzi, zwroty, oceny zawierające jej przymioty, cechy charakteru, określające sposób działania, efekty jej pracy, wyrażające podziw i uznanie, podkreślające jej charyzmę, bogatą i niekonwencjonalną osobowość:

Wielka artystka o czułym, gorącym sercu; niekonwencjonalna osobowość; wybitny instruktor kultury żywego słowa i reżyser małych form teatralnych w lubelskim środowisku kulturowym; człowiek o niezwykle silnej sile witalnej, duchowej, pięknym charakterze, posiadający rzadko spotykany dar: tę intuicję w odkrywaniu tkwiących (ale nie zawsze rozwiniętych) talentów w młodych ludziach; wrażliwość, piękno tworzenia i mądrość Reny; kochana Pani Renia, fenomen Możdżeńskiej; dopracowała się własnych sposobów nauczania i oddziaływania na młodzież; umie być wobec swoich teatralnych dzieci równocześnie matką, panią profesor, przyjacielem, a nawet po prostu „kumplem”; niezmordowana animatorka amatorskiego teatru „niespożyta energia twórcza i zdolności empatyczne”; wspałały człowiek i pedagog, oddany całym sercem sprawie kultury polskiej.

W amatorskich (i profesjonalnych) kręgach teatralnych, szczególnie z okresu najbardziej aktywnej działalności Reginy Możdżeńskiej, były to opinie powszechne, ukazujące jej rolę i znaczenie we współczesnej kulturze polskiej, dodajmy: do dziś wciąż aktualne, do dziś w zasadzie nie do przecenienia i ciągle jeszcze w pełni nieopisane, mimo że o jej działalności, oprócz wspomnianych już artykułów prasowych, ukazało się kilka opracowań naukowych, m.in. prac magisterskich.

Największe zasługi Reginy Możdżeńskiej związane są z teatrem jednego aktora. Pisać o tym teatrze, o jego urodzie, niepowtarzalności artystycznych odkryć, twórczych olśnień, niezwyklej historii jego istnienia, rozwoju i artystycznych osiągnięć, to pisać także o Reginie Możdżeńskiej, o tym, co ona dla tego teatru zrobiła, czym ten teatr wzbogaciła, czym ten teatr był dla niej i jej wychowanków, jaką wiedzę o tym teatrze, o sztuce, o życiu poprzez swoje doświadczenia i mądrość im poprzez ten teatr przekazała.

Teatr jednego aktora, jak każda sztuka, jest świadectwem czasu, w którym powstawał (połowa XX w.): stał się ożywczym, wartkim i czystym nurtem polskiego teatru, wykonywanego przede wszystkim przez amatorów, porywał świeżością, żarliwością, rozpalał widzów do czerwoności, tworzył wspólnie z indywidualnym wykonawcą i publicznością jedną przestrzeń sceniczną. Tworzył jedno wielkie i autentyczne, pełne szczerości i pasji zdarzenie, jedno miejsce i wspólny czas, w którym aktor i widzowie uświadamiali sobie, że obecność tutaj i teraz jest poszukiwaniem siebie w nas samych, jest poszukiwaniem człowieka w człowieku.

Eksplozja teatrów jednego aktora w Polsce w latach sześćdziesiątych XX wieku była potężna i twórcza, szerokim echem odbiła się poza granicami Polski, a Wrocław i Zgorzelec, były jedynymi miastami w Europie, gdzie odbywały się ogólnopolskie, amatorskie i zawodowe, ogromnie popularne festiwale i spotkania tych teatrów.

O niespotykanej wprost popularności i fenomenie społecznym teatrów jednego aktora w tamtym okresie rozpisywała się prasa ogólnopolska i regionalna, ukazywały się o nich poważne publikacje i dokumentalne opracowania, np. w 1986 r. Barbara Henkel i Tomasz Miłkowski, au-

torzy książki pt. *Aktor obnażony: teatr indywidualny* (Warszawa 1986, s. 8) stwierdzali:

O skali zjawiska niech świadczy fakt, że niemało spektakli jednoosobowych osiąga po kilkakaset wykonan. Krzysztof Pietrykowski, jeszcze jako amator, swój monodram „Ludzie” przedstawił publiczności tysiąckrotnie, a więc ogółem co najmniej stu tysiącom widzów! Niejeden teatr marzy o takiej widowni.

Nie jest moim zamiarem przedstawienie w tym artykule genezy powstawania (tworzenia) teatru jednego aktora w Polsce: *teatru skromnego, prostego... i potężnego* - jak określił go T. Burzyński (Krzysztof Kucharski, *Burzyński na tropach teatru jednego aktora. W poszukiwaniu definicji*. Wrocław 2008, s. 17).

Historię tego teatru tworzyli wielcy jego znawcy i specjaliści, prekursorzy i pionierzy jego powstania w Polsce, strażnicy i orędownicy jego kilkudziesięcioletniego trwania, tacy jak Lech Śliwonik, Marian Szałecki, Tadeusz Geres, Wanda Uziembło, Tadeusz Burzyński (pseudonim Tadeusz Buski), Krzysztof Kucharski, Janusz Nagórny.

Ważne i twórcze miejsce w historii teatru jednego aktora - w wymiarze profesjonalnym i amatorskim - mają też polscy aktorzy i reżyserzy, w tym ci najwybitniejsi, np. Wojciech Siemion, będący cudowną legendą teatru jednego aktora, Danuta Michałowska, nazywana pionierką polskiego teatru jednego aktora, Lidia Zamkow, Jan Świdorski, Adam Hanuszkiewicz, Daniel Olbrychski, Ryszard Filipiński. Leszek Herdegen, Tadeusz Łomnicki.

W ten zaszczytny poczet wielkich ludzi teatru - profesjonalistów i amatorów - należy wpisać Reginę Możdżeńską oraz grono takich jak ona pedagogów, instruktorów i reżyserów - współtworzących ze swoimi wychowankami historię zgorzeleckich i wrocławskich spotkań jednego aktora (m.in. Mariana Półtoranosa, Janinę Danutę Bednarek, Antoniego Franczaka, Andrzej Górszczyka, Andrzeja Schneidera, Romana Uścińskiego i paru innych.

Uściślmy: w historię teatru jednego aktora Reginę Możdżeńską wpisano „na stałe” od III OSATJA (Ogólnopolskich Spotkań Amatorskich Teatrów Jednego Aktora w Zgorzelcu w 1973 r.), tj. od słynnego udziału w nim Krzysztofa Pietrykow-

skiego, wychowanka Reginy Możdżeńskiej z Teatru „WERSETY” w Chełmie (prowadzonego przez nią), *największego talentu wśród setek uczestników OSATJA* - jak określił go Lech Śliwonik, obecny rektor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. W. Zelwerowicza w Warszawie.

Marian Szalecki, dyrektor zgorzeleckich spotkań teatralnych, w eseju-wspomnieniu *Piękno zamieszkuje w nas* tak pisał o Reginie Możdżeńskiej:

Kiedy w dniach znakomitego jubileuszu 25-lecia Ogólnopolskich Spotkań Amatorskich Teatrów Jednego Aktora (7-10 czerwca 1996 r.) w Zgorzelcu, przyszło mi niejeden raz „spowiadać się” dziennikarzom, krytykom, publicystom prasy, radia i telewizji z całej historii i dokonań tej imprezy, zawsze imię Reny Możdżeńskiej wymieniałem na jednym z pierwszych miejsc jako tych twórców, którzy zapisali się w niej złotymi zgłoskami.

Nikt bowiem tak, jak właśnie Rena Możdżeńska - scenarzystka i reżyser - nie „przywoził” do Zgorzelca tylu wrażliwych i utalentowanych wykonawców! Przez 25 lat prezentowało się 298 wykonawców - w 410 programach i zmaganiach konkursowych. Blisko 20 to podopieczni naszej bohaterki, których przedstawienia każdorazowo zdobywały cenne nagrody od Grand Prix, poprzez nagrody I, II, III stopnia i wyróżnienia o wielu imionach i nazwach twórczych zmagają. Często, jako twórca-inicjator, główny organizator i juror tej imprezy (tu wyznam nieskromnie) zastanawiałem się, skąd u Reni bierze się tyle energii, niespożytych sił, tak wiele twórczych pomysłów?

- I skąd „biorą się” ci piękni sercem i duchem młodzi ludzie, z którymi przyjeżdżała do Zgorzelca na popularne OSATJA, i o których pamięć moja - mimo upływu lat - jest ciągle żywa? Nie muszę dziś sięgać do żadnych dokumentów i publikacji, z pamięci mogę wymienić: Krzysztof Pietrykowski, Jolanta Woźniak-Kania, Jolanta Kwiecińska, Grażyna Pałyska, Ewa Wróbel-Dados, Ewa Pawlic-Rafałowska, Anna Staszczak, Janusz Ogiński, Barbara Roźniakowska, Małgorzata Rudzka, Mirosław Haponiuk, Robert Maj, Joanna Szczypior i inni. Nie muszę długo szukać odpowiedzi, gdyż tkwi ona w twórczej osobowości mojej serdecznej przyjaciółki, bohaterki tej publikacji i całego zdarzenia, w jej umiłowaniu drugiego człowieka.

Bez miłości - nawet największym pedagogom (a do takich Renię zaliczam!), nie udaje się tak cudownie zbliżyć do siebie ludziom, a zwłaszcza dawać z siebie wszystko to, co najmańdrzejsze i najpiękniejsze. Tą swoją wrażliwością, pięknem tworzenia i mądrością Rena Możdżeńska zainspirowała wielu młodych ludzi, tak wielu, że nie sposób tego przecenić ani też nie docenić.

A wszystko to dzieje się dlatego, że jej głównym celem i marzeniem jest, aby piękno zamieszkiwało w nas wszystkich. Na zawsze, do końca naszych dni (Zbigniew W. Okoń, Szukanie człowieka. Pięćdziesiąt lat pracy twórczej Reginy Możdżeńskiej, Chełm 1996, s. 34, 35).

Niezwykle trudno jest określić niepowtarzalność i w wielu przypadkach nowatorstwo działań twórczych Reginy Możdżeńskiej. Jest ona nie tylko animatorem kultury z 66-letnim stażem pracy w placówkach kultury, szkołach i placówkach opiekuńczo-wychowawczych w województwie lubelskim i innych regionach Polski, poetką, ale także, a może przede wszystkim reżyserem, instruktorem teatralnym kategorii „S” i pedagogiem z ponaddwudziestoletnią działalnością dydaktyczno-wychowawczą i artystyczną na UMCS w Lublinie. W jej działalności zawodowej, animacyjnej, teatralnej, literackiej i naukowo-dydaktycznej trudno jest odwoływać się do jednej, czy nawet kilku z nich. Na przykład:

Barbara Jedlewska w książce *Animatorzy kultury wobec wyzwań edukacyjnych* (Wydawnictwo UMCS. Lublin 1999, s. 7, 211), będącej - jak pisze - *formą dokumentu i jednocześnie uznania dla pracy animatorów i pracowników kultury, którzy w trudnych warunkach społeczno-gospodarczych realizują proces edukacji kulturalnej w środowiskach lokalnych*, w rozdziale *Wielcy animatorzy małych ojczyzn* jako pierwszą omawia działalność Reginy Możdżeńskiej, mianując ją *Matką wielkiej teatralnej rodziny*.

Tadeusz Buski nazywa ją *niezmordowaną animatorką amatorskiego teatru, która stworzyła w życiu i prowadziła tyle zespołów, że nikt się ich do końca doliczyć nie może* (Tadeusz Buski, Siew. [w:] „Sprawy i ludzie” z dn. 19 XII 1985 r., nr 51/52).

Mirosława Zawirska stwierdziła, że jej *niekonwencjonalna, fascynująca osobowość wymyka się szablonom...* (Mirosława Zawirska, *Nie samym*

chlebem człowiek żyje. „Młodzież-Nauka-Praca”, sierpień 1981, s. 5-6), a Eugeniusz Kawenczyński, że tworzy teatr na własną dużą odpowiedzialność (Zbigniew W. Okoń, op. cit., s. 8).

Charakterystyczna jest wypowiedź Mariany Bocian, znanej poetki z Wrocławia:

Nie ma sposobu, by w miarę rzetelnie opisać działalność twórczą Reny Możdżeńskiej, której dokonania nie tylko związane ze sztuką monodramu, ale i samą osobę spowija pewien rodzaj legendy. /.../ Rena Możdżeńska w sposób wyraźny traktowała zawsze sztukę jako jedną z form przejawiającej się sakralności życia, wyzwalającej potencjał duchowy, refleksyjny, człowieczeństwo w jego najszerszym rozumieniu - zarówno w aktorze, jak w widzu.

Szkoda, że w odpowiednim czasie nie zauważono, że Rena Możdżeńska z wytrwałością i konsekwencją, tworzyła swoją (a więc i polską) „szkołę monodramu”. Nie tylko ja byłam zachwycona dokonaniem Reny Możdżeńskiej, na którą zawsze spora ilość odbiorców czekała we Wrocławiu w czasie festiwalu jednego aktora... W dokonaniach Reny Możdżeńskiej było zawsze „coś” nieznanego, co silnie oddziaływało na odbiorców, często nieprzygotowanych do obcowania z tak finezyjnymi i subtelnymi dokonaniem w „sztuce słowa”. /.../

Powiedzieć, że Rena Możdżeńska to niepowtarzalny talent twórczy to za mało. To wspaniałość człowieczeństwa, siły duchowe, niecodzienny szacunek do aktora i widza znalazł swoje potwierdzenie i w części spełnienie w jej twórczych dokonaniach. Jakże łaskawy był los, że mogłam w swym życiu spotkać tak wspaniałego człowieka i twórcę (Zbigniew W. Okoń, op. cit., s. 44, 45).

Działalność Reginy Możdżeńskiej wysoko ocenił prof. dr hab. Janusz Gajda, który z grupą naukowców z Zakładu Teorii Upowszechniania Kultury UMCS od lat zajmuje się badaniami animacji kulturalnej:

Jesteśmy pod urokiem Pani kultury osobistej, życzliwości, sumiennosci, bogatej inwencji twórczej, umiejętności i taktu pedagogicznego. Te wszystkie i inne Jej przymioty dane są nielicznym, a tylko wzorom Człowieka - humanisty i najwyższej klasy Animatora. Z wyrazami głębokiego szacunku (wpis do książki pamiątkowej R. Możdżeńskiej).

Na wybitne zasługi w dziedzinie edukacji kulturalnej i wychowania młodzieży /.../ z oka-

zji dwudziestu lat pracy Reginy Możdżeńskiej w zakresie kultury żywego słowa wśród studentów pedagogiki UMCS w Lublinie wskazywał prof. dr hab. Mieczysław Marczuk (Wydział Pedagogiki i Psychologii UMCS), badający problematykę pracy kulturalno-oświatowej, animacji kulturalnej i animatorów (Zbigniew W. Okoń, op. cit., s. 7, 8).

Krystyna Kotowicz, redaktor Radia Lublin, w jednej z audycji w listopadzie 1986 r., stwierdziła m.in., że to, co uprawia od lat Rena Możdżeńska to bynajmniej nie jest teatr - a w każdym razie teatr nie jest tu najważniejszy. Uprawia ona bowiem wielką fascynującą dziedzinę wiedzy i sztuki, którą nazwałabym poznawaniem człowieka...

Cytując powyższą wypowiedź Edward Bala-wejder, jedna z największych i najbardziej zasłużonych postaci lubelskiej kultury, wielki jej współtwórca i animator (m.in. wieloletni dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, dyrektor Muzeum na Majdanku, prezes Fundacji im. M. i J. Kuncewiczów w Kazimierzu, prezes Zarządu Głównego TWP w Warszawie, wiceprezes Zarządu Głównego TKT w Warszawie), w eseju *Rena Możdżeńska - popularyzator wiedzy* (2011) pisze:

Dla mnie osobiście to kwintesencja zarówno cech osobowości jak i oceny twórczości oraz aktywności całego bogatego życia Reny Możdżeńskiej.

A wypowiedziała je osoba znakomicie rozpoznana w sprawach kultury, sztuki, literatury, teatru zawodowego i artystycznego, bezpośrednio śledząca wszystkie znaczące wydarzenia artystyczne.

Należę do grona osób znających Jubilatkę (R. Możdżeńską - przypis mój), współpracujących z nią i towarzyszących jej działaniom od wielu lat. Połączyła nas wspólna aktywność w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, szczególnie w latach 1962-1980. /.../ Była jedną z bardziej aktywnych i cenionych popularyzatorów wiedzy z zakresu kultury i sztuki, teatru, literatury, poezji, kultury życia codziennego. Prowadziła, za pośrednictwem TWP, zajęcia oświatowe wśród dzieci i młodzieży, bardzo aktywnie uczestniczyła w licznych wyjazdach do wielu domów kultury, świetlic, szkół, bibliotek, a także zakładów pracy województwa lubelskiego, prezentując wartościowe programy poetyckie w wykonaniu członków prowadzonych przez nią zespołów artystycznych. /.../

Bogactwem Towarzystwa stali się ludzie, ich wiedza, zapał, pełne rozpoznanie potrzeb i realizowany przez nich różnorodny program edukacyjny i szansę tę wykorzystano dzięki m.in. takim swoim członkom jak Rena Możdżeńska, czy wiele lat wcześniej niezastąpiony Wojciech Siemion. Wiedza o kulturze, sztuce, literaturze, teatrze, kulturze życia codziennego mogła być popularyzowana, w placówkach TWP w województwie lubelskim, w najlepszym wydaniu.

Rena Możdżeńska była wyjątkowym przykładem popularyzatora, który potrafił dać znakomitą wiedzę, kształtować umiejętności korzystania z niej, wyrabiać przekonania, budować nawyki i postawy. Było to widoczne w każdym podjętym przez nią działaniu, w każdym spotkaniu ze słuchaczami. Posiadała także wyjątkowe umiejętności metodyczne, zajęcia były żywe, aktywne, mobilizujące i inspirujące do dalszego samokształcenia i twórczej działalności. Czuło się w nich nieustający ruch.

Przytaczam powyższe opinie o pracy społeczno-kulturalnej Reginy Możdżeńskiej, chcąc wskazać w możliwie największym - wybiórczym - skrócie jej nieprzeciętną osobowość jako człowieka uprawiającego w swym życiu kilka profesji twórczych na najwyższym poziomie artystycznym i zawodowym, za co zyskała niezwykłą wprost popularność, uznanie i podziw ludzi, z którymi i dla których pracowała, i którym oddana była „całym sercem”.

Wieloaspektowość, wielodziałalność i różnorodność zajęć przez nią prowadzonych, złożoność problematyki, mnogość nurtów i zjawisk występujących w jej pracy, poszukiwania człowieka twórczego, idee wolnościowe, demokratyczne i patriotyczne w jej wychowaniu i nauczaniu, kształtowanie więzi między ludźmi - uczestnikami jej procesów dydaktyczno-wychowawczych i działań artystycznych w teatrze i literaturze, wskazywanie na konieczność duchowego i moralnego odrodzenia społeczeństwa, odwoływanie się do wzorców osobowych i społecznych ideałów, tworzenie tych wzorców i ideałów, rozwijanie twórczej postawy wobec kultury (szerzej - życia), budzenie „wysokich” uczuć i pogłębianie osobowości przez teatr i literaturę, budowanie i umacnianie tożsamości jednostek, odwoływanie się do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości małych ojczyzn, kształtowanie

postawy społecznej, uczenie i wychowywanie przez pracę i sztukę w zespole - to tylko przykładowe cechy, kompetencje i zabiegi, formy i treści pracy i działalności Reginy Możdżeńskiej.

Cechy te - w kontekście wykonywanych przez nią zawodów - powodują, że Regina Możdżeńska jest osobą o niespotykanej wprost ekspresji i skuteczności działania i oddziaływania na tych, z którymi pracuje, wśród których - zawsze - rozbudzała i do dziś rozbudza potrzebę tworzenia i obcowania ze sztuką, kształtuje ich świadomość, wpaja wartości „być”, „rozumieć”, „uczestniczyć”, „tworzyć”. Dla nich była zawsze i pozostała do dziś autorytetem, którego wielkość i znaczenia, wpływ i oddziaływanie na ludzi, z którymi się stykała i pracowała, rośnie w miarę, jak ci ludzie w swoim dalszym życiu dojrzewają, dochodzą do „czegoś”, stają się „kimś”, czerpią i korzystają z jej wiedzy i doświadczeń, z mądrości i przykładów, które wpajała im w latach wzajemnych kontaktów i działalności.

To za sprawą ludzi - takich jak Regina Możdżeńska - odkryto niedostrzegalne dotychczas obszary, aspekty i zakresy kultury i oświaty. Ich przestrzeń działania, pomysłowości i inicjatyw twórczych nie jest ograniczona, poszerzają ją w nieskończoność zdolności, ambicje i praca ich wychowanków (członków zespołów artystycznych, uczniów, studentów itd.). Ich wiedza, umiejętność współpracy z ludźmi, inspiracje twórcze, niekonwencjonalne, nowatorskie prowadzenie zajęć, preferowane wartości, tworzenie i szukanie nowych wzorców i ideałów, ukazywanie i wyzwalanie piękna istniejącego w człowieku, uczenie tolerancji, szacunku do przeszłości i przyszłości, rozwijanie tradycji, poznawanie i współtworzenie współczesnej historii swojej małej ojczyzny - to tylko niektóre aspekty ich animacyjnej pasji i działalności, które spowodowały nowy sposób rozumienia edukacji, pojmowanej jako nieustanny, ustawiczny proces wychowania społeczeństwa (dzieci, młodzieży, dorosłych).

To dlatego życie ludzi - takich jak Regina Możdżeńska - ich praca, wielodziałalność społeczna, naukowa, kulturalna, artystyczna, ich wiedza i doświadczenie, osiągnięte efekty są tak ważne nie tylko dla naukowców, dla których stanowią wciąż odkrywany materiał badawczy i naukowy, ale przede wszystkim dla ludzi, dla których stają się

częstką ich obecności, ich działalności tu i teraz, w miejscach, gdzie żyją i pracują, stają się wartością ich życia.

I znowu wypisuję - wybrane z kilkudziesięciu - niektóre wypowiedzi jej teatralnych wychowanków:

Czarek z Grupy Teatralnej „RENUM 76”:

Pragnę się uczyć, ale nie tylko w szkole, także i tu, w teatrze. Od swoich kolegów, którzy może wiedzą więcej, od instruktorki, która nas rozumie i którą my rozumiemy (Kaja Bogumilska, *Teatr to nie zwyczajne zwierciadło*, [w:] „Na przełaj”, Nr 24 [1003], 13 VI 1976).

Marzena Mróz - Teatr Poezji „Prometeje” z Chelma:

Kim jest dla nas pani Renia. Odpowiem tak, jakby odpowiedział każdy członek teatru „Prometeje”. Jest matką, przyjacielem, doradcą i potrafi tak mocno zainteresować poezją i teatrem, że „wyzwolić” się od obecności w zespole nie sposób, a przynajmniej bardzo trudny byłby to moment (Jerzy Piekarski, *Teatr Poezji „Prometeje” z Chelma*, [w:] „Sztandar Ludu”, z dn. 23 VI 1980 r.).

Jadwiga Derecka - Teatr „Bartnik” z Pszczelnej Woli:

Nie kazała nam kłamać.. Nie mówiła, że mamy udawać kogoś innego. Nauczyła, że teatr nie jest udawaniem, ale przeżywaniem i wyrażaniem siebie. Jeśli ktoś nie zastanowił się głęboko nad swoją rolą, jeśli nie wczuł się całym sobą w postać - nie mógł być do końca wiarygodny. /.../ Potrzeba było czasu, by zrozumieć, jak wiele zawdzięczam temu teatrowi i Pani Reni. /.../ Dziękuję, Pani Reniu.

Bogumiła Bartoszcze (Nizioł) - Teatr „Bartnik” z Pszczelnej Woli:

Dokonała niesamowitego „przewrotu” w naszej szkole. Założyła teatr - bardzo współczesny jak na tamte czasy i w tym regionie. Ta kobieta miała „to coś” w sobie, jakąś siłę, która pozwoliła przyciągnąć sporą grupę młodzieży. Nie było problemu z przychodzeniem na próby i nieustannym powtarzaniem tych samych strof. Nikt się nie buntował, wszyscy posłusznie pracowali na wielkość przedstawienia. /.../ Praca pod kierownictwem Pani Reni nauczyła mnie otwartości na ludzi, umiejętności opanowania tremy, kultury słowa. To cenne doświadczenie życiowe przydaje mi się i dzisiaj

(Pszczela Wola 1945-2010. *Jubileusz Technikum Pszczelarskiego im. Zofii i Tadeusza Wawrynów*. Opracowanie redakcyjne: Janusz Adam Kamiński, Adam Pitek, Ewa Wiórko. Lublin 2010, s. 80).

Zrozumienie „teatralnego” fenomenu Reginy Możdżeńkiej nie byłoby możliwe bez odwołania się do jej wypowiedzi dotyczących jej działalności twórczej, szczególnie w zakresie teatru jednego aktora. Tych wypowiedzi, najczęściej w formie wywiadów, jest kilkadziesiąt. Każda stanowi ważny przyczynek do genezy jej artystycznych dokonań, wnosi nową wiedzę o teatrze, o jej świadomości jako twórcy, pedagoga, animatora kultury.

W wypowiedziach tych jej program twórczy odnosi się nie tylko do rozważań ściśle warsztatowych: często odchodzi od nich, zachowując zawsze teatralny kontekst: *Pytasz, jaka jest funkcja teatru? Jest. Bardzo skomplikowana, bo niekiedy w ten sposób otwiera się proces doczłowieczania człowieka; akcentuje wyostrożoną samoświadomość - swoją i swoich wychowanków: Być reżyserem - to zdawać egzamin. Przez całe życie, każdego dnia. Przed wyjątkowo surowym jurorem, bo oko w oko z widzem. /.../ Chcę, aby w moim teatrze aktor nie był futerałem na człowieka, żeby odrzucając obojętność, nijakość, bylejąkość, jawił się jako gorący, mądry i dobry człowiek /.../ Ilekroć zjawia się w mojej grupie nowy człowiek, proponuję mu wiedzę teatralną przez praktyczne ćwiczenia i warsztat. Trwa to nieraz latami. Wcześniejszy start - zawsze uzależniony jest od posiadanych predyspozycji albo od tej „iskry bożej” od wieków nazywanej talentem. Poza warszatem i techniką - szukam czegoś więcej. W tym eksperymencie społecznym, który nazywam teatrem amatora, niezbędny jest jeszcze drobiazg, mały, niespokojny: serce.*

Człowiek znajduje się w centrum działalności twórczej Reginy Możdżeńkiej. Cała moja twórczość związana jest z człowiekiem. Każdy mój kontakt z nowo poznanym człowiekiem jest zawsze niepokojem i nadzieją, że urodzi się nowa jakość. Warto nieraz na nią poczekać. /.../ Tak trudno w dzisiejszych czasach o porozumienie. Zawsze byłam surowa dla siebie, a bardzo przyjazna dla tych, którzy poświęcali mi swój czas. Przez wiele lat uczyłam ludzi ryzyka prowadzenie dialogu z całym światem. /.../ Kocham i szanuję każdego człowieka, bez względu na jego pochodzenie, wyznanie,

czy kolor skóry (Kazimierz Rejmak. *Sylwetki Galerii „DZIESIĄTKA”. Regina Możdżeńska - ...będziemy mieli świat na miarę jego mieszkańców.* „Ziemia Lubelska”. Nr 10/11 (22/23), październik/listopad 2004, s. 28, 29).

Teatr jednego aktora R. Możdżeńskiej, stanowiący nie wyłączny, ale główny nurt jej twórczości artystycznej, jest ważnym i znaczącym zjawiskiem we współczesnej kulturze polskiej, stawia ją w gronie najwybitniejszych nowatorów tego teatru. Regina Możdżeńska *jest założycielką wielu tzw. szkół animatorów sztuki i animatorów wartościowego życia* (stwierdzenie B. Jedlewskiej), *jest też twórcą swojej (a więc i polskiej) „szkoły monodramu”* (określenie M. Bocian).

Wydaje mi się - jestem tego pewien - że w działaniu R. Możdżeńskiej, równie ważne jest to, że potrafiła ona przekonująco ukazać i skutecznie realizować kulturową i etyczną wartość uczestnictwa człowieka w teatrze, kształtować jego świadomości i postawę, formułować poprzez teatr ideały, pojmować idee sprawiedliwości, godności i solidarności międzyludzkiej. Potrafiła nowatorsko uchwycić i przekazać swoim wychowankom ten ważny moment, w którym człowiek - aktor amator stawał się podmiotem nie tylko spraw i problemów codziennego życia, ale także procesów społecznych i narodowych.

Charakteryzując Reginę Możdżeńską, Barbara Jedlewska (op. cit. s. 219) napisała:

Roztacza wokół siebie aurę niezwykłości, fascynacji pięknem, przyrodą, sztuką. Stwarza klimat radosnej twórczości, niepowtarzalny urok, który trudno opisać słowami. Jej magnetyczna osobowość powoduje, że przyciąga do siebie ludzi. Uprawia misterium budzenia ludzkiej wrażliwości, wciągania ludzi w krąg sztuki, wskazuje drogę do innego życia - twórczego, uczuciowego, wrażliwego. Potrafi wyzwolić z ludzkich dusz ukryte moce tworzenia siebie i świata. Ożywia ludzkie ukryte zdolności, pragnienia, budzi pasje i ambicje twórcze, ukazuje nowy sposób na życie - teatr.

Tę opinię potwierdzam z ogromną satysfakcją, ponieważ z Reginą Możdżeńską mam przyjemność znać się i współpracować od 1968 r.

Zbigniew Waldemar Okoń

Robert Gałań

„Lubelska 36”



Nigdy w historii Chełma nie istniały tak sprzyjające warunki dla rozwoju sztuki, a zwłaszcza literatury. Wolność słowa, dostępność technik drukarskich, powszechność Internetu, absolutna niezależność i dowolność przejawiająca się zarówno w formie jak i w treści, to podstawowe czynniki wpływające na komfort pracy twórczej i jej finalnego dzieła, jakim jest książka. Potomność nie wybaczyłaby współczesnym, gdyby tych warunków nie wykorzystali. Całe szczęście, że w odpowiednim czasie i miejscu znaleźli się ludzie, którzy chcieli i potrafili skupić wokół siebie znaczną część lokalnego środowiska literackiego.

A zaczęło się niewinnie, od kilku spotkań ludzi pióra, które odbyły się na początku 2003 roku z inicjatywy Waldemara Taurogińskiego w jego księgarni mieszczącej się przy ulicy Lubelskiej 36. Z czasem spotkania czwartkowe stały się normą, a uczestniczyli w nich, oprócz wspomnianego już właściciela TAWY: Longin Jan Okoń, Arkadiusz Sann, Zbigniew Waldemar Okoń, Paweł Nowicki, Krzysztof Kołtun i nieżyjący już Zbigniew Markiewicz. W miarę upływu czasu lista nazwisk wydłużała się i pod koniec roku 2003 przekroczyła pierwszą dziesiątkę. Wraz ze wzrostem liczby pasjonatów, rósł apetyt właściciela TAWY, aby z luźnych spotkań uczynić coś poważniejszego. To właśnie Waldemar Taurogiński zaproponował utworzenie w Chełmie grupy literackiej i kontynuowanie dzieła zapoczątkowanego w dwudziestolecie międzywojennym przez Kazimierza Andrzeja Jaworskiego i jemu współczesnych tworzących „Pryzmaty”.

Wraz z zawiązaniem grupy, podjęto decyzję o wybraniu jej władz. Pierwszym prezesem został poeta i prozaik Arkadiusz Sann. Jednocześnie uchwalono, że z racji swoich osiągnięć twórczych i olbrzymiego doświadczenia, jakim może się pochwalić, Longin Jan Okoń zostanie prezesem honorowym grupy.

Niezwykle ważnym czynnikiem cementującym nowo powstałą grupę stało się utworzenie przez Waldemara Taurogińskiego kolejnego w Chełmie, po *Kamieniu* i *Kresach Literackich*, pisma literacko-artystycznego o nazwie *Egeria*. Możliwość publikowania

na łamach tego pisma, oraz wydawania własnych tomików i książek prozatorskich w nowo powstałym wydawnictwie TAWA stała się bodźcem do wyjątkowej pracy twórczej i ciągłego doskonalenia warsztatu pisarskiego.

Jasnym stało się, że gościnne, lecz jednak ciasne progi księgarni nie będą dłużej w stanie wytrzymać naporu chętnych do wzięcia udziału w niezwykłej przygodzie, jaką stała się Chełmska Grupa Literacka „Lubelska 36”. Przez pewien czas literatów gościła, więc „Gęsia Szyja”, potem galeria „Atelier” Ryszarda Karczmarskiego. W późniejszych czasach miejsce spotkań zapewniały grupie inne kawiarnie: „Soprano”, „Chicago Cafe”, „Kosmos”, a obecnie dach nad głową zapewnia miłośnikom czwartków literackich kawiarnia „Bistro”, zaś w każdy pierwszy czwartek miesiąca spotkać nas można przy stolikach kawiarni „Dekafencja” mieszczącej się w Chełmskim Domu Kultury.

Działalność Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36” to przede wszystkim służba słowu pisanemu. Dbałość o język i jego kulturę. To mozolne kształtowanie następnych pokoleń, dla których znaczenie będzie miała nie tylko elektronika, ale także archaiczny papierowy blok książki. Członkowie grupy realizują to zadanie poprzez udział w różnorodnych spotkaniach i odczytach organizowanych w szkołach, domach kultury i bibliotekach naszego regionu. Spotkania te mają nie tylko charakter autorski, ale często poświęcone są szeroko pojętej literaturze, a nierzadko mają charakter warsztatowy. Chełmskie środowisko literackie aktywnie udziela się w komisjach oceniających twórczość i recytacje (I i II Liceum Ogólnokształcące, Zespół Szkół Zawodowych nr 4, Zespół Szkół w Strachosławiu). Członkowie Chełmskiej Grupy Literackiej wydają własne książki i promują je na spotkaniach autorskich. Organizują wizyty znanych i tych mniej popularnych literatów z kraju. Uczestniczą w życiu społecznym miasta, stając się nie tylko jego elementem, ale wręcz jednym z kulturalnych fundamentów. Filarem działalności grupy są cotygodniowe spotkania zwane czwartkami literackimi. Spotkania są okazją do dyskusji o problematyce związanej z poezją i prozą, doskonalenia własnego warsztatu twórczego, omawiania publikacji i nowości wydawniczych, jak również spraw związanych z działalnością i planami na przyszłość „Lubelskiej 36”, a tych rysuje się niemało.

Do innych osiągnięć „Lubelskiej 36” zaliczyć można:

- konsolidację ludzi pióra regionu chełmskiego (gdyby grupa nie powstała, nikt nie wiedziałby, jak wiele osób w naszym mieście zajmuje się twórczością literacką),
- współudział jej członków w tworzeniu pisma literacko-artystycznego *Egeria*,
- współpracę przy organizacji „Ulicy Literackiej” będącej jedną z imprez wchodzących w skład „Dni Chełma”,
- współpracę w organizacji konkursów literackich im. Wacława Iwaniuka w Siedliszczu, i im. Pauliny Hołysz w Strachosławiu,
- opiekę nad młodzieżą uzdolnioną literacko i promocję młodych twórców w regionie,
- promocję miasta i jego środowiska literackiego nie tylko w województwie lubelskim, ale także w innych częściach kraju.

Codziennosc członków grupy to przede wszystkim i w zdecydowanej większości praca zawodowa. Najliczniej reprezentowaną grupą są tu nauczyciele i pracownicy biurowi, ale swoje miejsce znaleźli także dziennikarze, emerytowany bankier czy pielęgniarz. Bardzo szerokie jest spektrum wieku: najmłodszy działacz to dziewiętnastolatek - uczeń liceum, najstarszy - emerytowany dyrektor szkoły i pracownik kuratorium oświaty ma 84 lata. I to właśnie wielopokoleniowość i otwartość grupy na wszelkiego rodzaju style pisarskie decydują o jej największej sile. Sile, która sprawiła, że od czasu założenia grupy aż czterech jej członków wstąpiło w szeregi Związku Literatów Polskich.

Od powstania grupy w 2004 roku, przewinęło się przez nią około 35 osób, obecnie liczy ona 20 członków oraz trzy osoby w tzw. poczekalni, które złożyły, bądź też mają zamiar złożyć podanie o przyjęcie. Uczestnicy czwartkowych spotkań wydali łącznie od 2004 r. ponad 50 książek oraz 5 antologii. Uczestniczyli w powstaniu kilkunastu almanachów i antologii, wydanych w innych częściach naszego kraju. Zdobywali nagrody i wyróżnienia w ogólnopolskich i regionalnych turniejach poetyckich. Wszystko to sprawia, że Chełm stał się (i to bez wątpienia zasłużenie) drugim po Lublinie ośrodkiem literackim województwa.

Z historii Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”

2003.02.21. Chełm, księgarnia przy ul. Lubelskiej 36 - wieczór autorski L. J. Okonia. Pierwsze luźne koncepcje utworzenia grupy chełmskich literatów. Idea wspólnych spotkań w każdy pierwszy czwartek miesiąca z udziałem gospodarza - W. Taurogińskiego oraz L. J. Okonia, Z. W. Okonia, A. Sanna.

2004.01.08. Chełm, ul. Krzywa 41/3, Wydawnictwo TAWA - zebranie nowo zorganizowanej grupy twórców chełmskich. Dyskusja nad jej nazwą; pada pomysł „Lubelska 36”, którego autorem jest P. Nowicki; powstaje Chełmska Grupa Literacka „Lubelska 36”. W. Taurogiński oznajmia uczestnikom spotkania, że zamierza w najbliższym czasie powołać do życia „zeszyt literacki”. Do Grupy dołącza Teresa Pyc.

2004.03.05. Chełm, ul. Krzywa 41/3, Wydawnictwo TAWA - ustalenie drogą eliminacji nazwy wydawnictwa *Egeria* (pomysłodawcą tytułu jest W. Taurogiński). *Egerię* tworzą: D. Makaruk, P. Nowicki, L. J. Okoń, A. Sann, W. Taurogiński (redaktor prowadzący), przy współudziale technika komputerowego - A. Watraka.

2004.07.29. - ukazuje się pierwszy numer *Egerii*; publikują w nim m.in. D. Czaus, K. Kołtun, S. Koszewski, D. Makaruk, A. Matuła, P. Nowicki, L. J. Okoń, Z. W. Okoń, T. Pyc, A. Sann, S. Stalowski, W. Taurogiński, a także Zbigniew Lubaszewski i H. Radej.

2004.11.26. Krasnystaw, dom kultury - prezentacja *Egerii* i działalności „Lubelskiej 36” podczas spotkania związanego z ogłoszeniem wyników krasnostawskiego konkursu poetyckiego im. Anny Kamieńskiej oraz wieczoru gombrowiczowskiego. Prezentacji dokonali: W. Taurogiński, L. J. Okoń, A. Sann. Pierwszy kontakt z Krasnostawską Grupą Poetycką „A4”; ze strony A. Sanna padła propozycja spotkania się obu grup - chełmskiej i krasnostawskiej, natomiast L. J. Okoń zaproponował szereg form współdziałania obu grup; lider A4, Jan Henryk Cichosz, wyraził pełną akceptację dla tego pomysłu.

2005.03.01. Krasnystaw, dom kultury - gościnnie u „A4”. Grupa Krasnostawska prezentowała swe utwory z nowo wydanej antologii poetyckiej - *Krasnostawskie zapiski poetyckie*. Po części oficjalnej odbyło się robocze spotkanie „A4” z „Lubelską 36”.

2005.04.13. Chełm, galeria „Atelier” przy ul. Lwowskiej 23 - widowisko poetyckie zainspirowane twórczością zmarłej przedwcześnie Katarzyny

Rychliczek, z udziałem uczniów Liceum Ogólnokształcącego im. S. Czarnieckiego. Całość opracował i wyreżyserował Damian Czaus.

2005.05.21. Tuligłowy, karczma „U Fela” - „Łany poetyckie”, impreza zorganizowana z inicjatywy Krasnostawskiej Grupy Literackiej „A4” z udziałem „Lubelskiej 36”. W programie m.in. ogłoszenie wyników konkursu na jeden wiersz, zwiedzanie okolic Krasnegostawu oraz pojedynek dwóch fraszkopisarzy - Saturnina Naliwajki („A4”) i Stanisława Koszewskiego („Lubelska 36”).

2005.06. Chełm - laureatem V edycji nagrody im. Kazimierza Andrzeja Jaworskiego w kategorii twórczość literacka i artystyczna zostaje Krzysztof Kołtun; w kategorii animator kultury - Waldemar Taurogiński.

2005.09.03. Dorohusk, pałac Suchodolskich - „Koczowisko poetyckie” zorganizowane przez „Lubelską 36” w odpowiedzi na krasnostawskie „Łany poetyckie”.

2005.11.17. Chełm, ul. Lubelska 8, restauracja „Soprano” - L. J. Okoń wyjawiał Grupie swój zamiar utworzenia w przyszłości chełmskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Przyszły oddział miałby tworzyć członkowie lubelskiego ZLP: Jan Henryk Cichosz, Edward Cimek, Bronisława Fastowiec, Longin Jan Okoń, Zbigniew Waldemar Okoń, Arkadiusz Sann (wówczas jeszcze kandydat na członka ZLP).

2006.03.16. Chełm, restauracja „Kamena” - wieczór autorski Stanisława Koszewskiego, połączony z prezentacją opublikowanego przez Wydawnictwo TAWA zbioru fraszek tegoż autora *Bez retuszu*. Z Grupy odchodzą J. Kostecka i D. Czaus.

2006.03.25. - Arkadiusz Sann zostaje przyjęty do Związku Literatów Polskich.

2006.05.18. Chełm, ul. Lubelska 8, restauracja „Soprano” - gościem była Halina Graboś, która złożyła regulaminowe podanie z prośbą o przyjęcie jej do grona członków Chełmskiej Grupy Literackiej.

2006.08. Krasnystaw - w międzynarodowych warsztatach literackich wzięło udział sześciu członków Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”: M. Jesionczak, S. Koszewski, L. J. Okoń, S. Stalowski, W. Taurogiński, S. Wiśniewska; ponadto w warsztatach wzięli udział niektórzy członkowie Krasnostawskiej Grupy Literackiej „A4” oraz goście - poeci z Ukrainy i Białorusi.

2006.10.12. Chełm, ul. Lubelska 8, restauracja „Soprano” - wykład dr D. Makaruk na temat prozy polskiej schyłku XX wieku. Michalina Deniusz-Rosiak

złożyła podanie z prośbą o przyjęcie jej do Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”.

2006.12.13. Chełm, ul. Krzywa 41/3, Wydawnictwo TAWA - dziesiąte posiedzenie Rady Wydawniczej. Ustalanie szczegółów planowanego wydania antologii Grupy.

2007.04.24. - ukazuje się Antologia Poetycka Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”.

2007.04.26. Chełm, restauracja „Kamena” - Promocja Antologii Poetyckiej Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36” z udziałem 130 gości. W programie imprezy koncert muzyczno-recytatorski i m.in. przemówienie prezesa oddziału lubelskiego Związku Literatów Polskich, Urszuli Gierszon, która wręczyła później członkom Grupy legitymacje członkowskie. Arkadiusz Sann przekazał oficjalnie kierownictwo Grupy na ręce Danuty Makaruk.

2007.06.28. Natalin - piknik zorganizowany przez członków Grupy, na którym ogłoszone zostały wyniki Konkursu Na Jeden Wiersz o tematyce „Mieć czy być”. Jury nagrodę prezesa „Lubelskiej 36” przyznało Halinie Graboś za wiersz ****Nie mam*.

2007.11.15. Chełm, kawiarnia „Chicago Cafe” - szeregi „Lubelskiej 36” zasila Robert Gałan. Przeglądowane zostają poprawki do regulaminu Grupy. Na zastępcę prezesa wybrany zostaje Piotr Śnieg.

2008.03.01. Siedliszcze, skansen, szkoła podstawowa i gimnazjum - ogłoszenie wyników I Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Wacława Iwańniuka, organizowanego przez Wydawnictwo TAWA, z udziałem władz gminnych, członków Związku Literatów Polskich (Oddział Lubelski) i członków Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”.

2008.11.27. Chełm, Biblioteka Publiczna przy ul. Partyzantów - dzięki uprzejmości Mariusza Kargula, Grupa spotyka się z poetą, prozaikiem, współtwórcą programu telewizyjnego „Łossskot” - Jackiem Dehnelem. Po spotkaniu, bardziej kameralnie, w restauracji „Gęsia szyja” gościa podejmowali sutą kolarz: D. Makaruk, H. Radej, A. Sann.

2008.11.28. Chełm, Biblioteka Publiczna przy ul. Partyzantów - wieczór autorski Roberta Gałana połączony z promocją jego debiutanckiego tomiku poetyckiego *Pejzaże tożsamości*.

2008.12.12. Lublin, Osiedlowy Dom Kultury - spotkanie redakcji *Egerii* ze środowiskiem twórczym. Pismo literacko-artystyczne *Egeria* reprezentowali: D. Makaruk, L. J. Okoń, T. Pyc, A. Sann, W. Taurogiński (red. prowadzący).

2009.01.29. - Piotr Śnieg składa rezygnację z członkostwa w Grupie.

2009.03.10. Chełm, Biblioteka Publiczna przy ul. Partyzantów - wieczór autorski Zbigniewa Lubaszewskiego z okazji wydania jego felietonów pod wspólnym tytułem *W cieniu trzech dębów*.

2009.04.30. - ukazała się antologia wierszy patriotycznych Chełmskiej Grupy Literackiej, zatytułowana *Biało-czerwonej*. Tomik sponsorował „Skok Chmielewskiego”.

2009.12.04. Lublin, Biblioteka im. H. Łopacińskiego, III Lubelskie Targi Książki - Wydawnictwo TAWA miało okazję już po raz trzeci zaprezentować swój okazały dorobek wydawniczy. TAWĘ reprezentował szef wydawnictwa oraz D. Makaruk, D. A. Kurczewicz, A. Nazar, T. Pyc.

2010.06.20. Dni Chełma, plac Łuczowski - członkowie „Lubelskiej 36” grupują się w zorganizowanej przez Wydawnictwo TAWA Kawiarence Literackiej. Ogłoszone też zostaje nazwisko laureatki Nagrody KAJ-a za 2009 rok - Bronisławy Fastowicz.

2010.06.26. Kamień, świetlica - promocja trzeciego tomiku poetyckiego H. Graboś *Myśli niesekretne*, połączona z występami poetyckimi młodzieży szkolnej i dwóch zespołów ludowych. Państwo Grabosiowie rezolutnie zadbali, aby nikt z uczestników tego wieczoru autorskiego nie wyszedł głodny i spragniony.

2011.03.18. Sala konferencyjna Chełmskiej Biblioteki Publicznej - wieczór autorski połączony z promocją debiutanckiego tomiku młodego, niespełna dwudziestoletniego poety Mateusza Grzeszczuka pt. *Z brakiem czasu*. W trakcie spotkania, Mateusz został oficjalnie przyjęty do Chełmskiej Grupy Literackiej.

2011.06. - w związku z nieprzebrnięciem statutu, zarząd postanowił usunąć z listy członków Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36” S. Wiśniewską.

2011.07. - rezygnacja z członkostwa w Chełmskiej Grupie Literackiej „Lubelska 36” L. J. Okonia.

Opracował: Arkadiusz Sann

Obecny Zarząd Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36” sprawują: prezes - Robert Gałan, wiceprezes - Danuta Makaruk, skarbnik - Iwona Chudoba, członkowie zarządu - Arkadiusz Sann i Stanisław Koszewski.

Iwona Chudoba

Niedosyt

wspomnienia
jak nietoperze

kopce siana
pozbawione snu
grają
w wyliczankę pragnień

plączą się we włosach
wdzierają w usta
w moje milczenie
wyglodniałe

eksplodują

Niebawem

kiedyś jeszcze
pójdziemy na łąkę
wysłuchamy żabiego gadania

usiądziemy na ławce
w towarzystwie kasztanów
i snuć będziemy plany
za nasze dzieci

pajęczy wachlarz
rozszczepli promienie
wędrujące po szczelblach
w ucieczce przed jesienią

pragnę by znów
motyle obsypywały nas radością
i nakrapianym szczęściem

Życie

Skrzydło w puchu
w locie
niczym struna
raz się słucha
raz kaleczy

skąpe lub opaste
zakłamanie

chyże
lub ślimacze
lot w nieznane
bez wyjątku

wszystkim dane
mgnienie

Odcisnięty ślad

Miarą istnienia
odmierzam ślad
w kołyskach myśli
wspomnienia

garną się w ramiona
beztroskie lata

mój dom
pod ratuszowym zegarem
u progu skamieniały rynek
i fontanna
osieroczone karpie odmładza

wierzby nad Wieprzem
dobrze mi znane
i święty Franciszek
zasłuchany
moje skargi znosi

przyjaźnie na dobre i złe
dzielią się ze mną uśmiechem
gdy jestem tutaj
przejazdem

Iwona Chudoba (z domu Zie-leńczuk), z urodzenia krasnostawianka, z wyboru mieszkanka Chełma. Pielęgniarka, absolwentka Liceum Medycznego w Chełmie i Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Białej Podlaskiej. Debiutowała w 2002 r. Następnie publikowała w pismach literackich: *Egeria* i *Nestor* oraz almanachach i antologiach. Jest autorką czterech tomików poetyckich: *Okrętem marzeń* (2007), *Oderwana od cienia* (2009), *Oczy czasu* (2010) i *Otulone alabastrem* (2011). Od 2006 roku należy do Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”, w której od 2009 roku pełni funkcję skarbnika.



Robert Dariusz Gałań

Ona

jak diament między kostkami lodu
nieodgadniona
czasem wśród myśli się błąka
to znów twardo stąpa
po wodzie

ileż razy widziałem
ten uśmiech
w którym radość z żalością pospołu
nadmiar światłocienia

o wiek już nie pytam
choć za brak słów
nie stawia się ocen
na maturze z życia

a uroda
piękno nie wieczne
jest względne - bezwzględne
podobne czasowi
nawet zmrożonemu

jak diament między kostkami lodu

w dłoniach jubitera
los tylko
lub brylant

20.11.2008 r.

Paradoks

gdybym kochał cię
w twoich myślach
miałbym oczy
czarne jak wszechświat
o więcej nie prosiłaś

we wspólnej obczyźnie
wypełnionej szeptem
i superatą przestrzeni
iskra zapalniczeki
jest tysiącem galaktyk
między nami

zbyt długo
by czekać odpowiedzi
zwłaszcza że nawet
nie padło pytanie

21.11.2008 r.

Receptura

dobrze że poezja
bez sztampy
i produkcyjnych linii

technologia tworzenia
nie wymaga ochów-achów
ani aklamacji

grzech - ignorować
własne upodobania
i gardzić warsztatem

co rusz odchodzi się
od schematów
częściej od zmysłów

dla czytelnika
takie proste aż
szkoda że wiersz

25.03.2010 r.

Robert Dariusz Gałań

- ur. 20.03.1972 r. w Chełmie.
Absolwent lubelskiego UMCS.
Bibliotekarz, nauczyciel i wy-
chowawca w jednej z podmiej-
skich szkół. Pomysłodawca
i organizator odbywającego się

od dziewięciu lat w Strachosławiu kon-
kursu poetyckiego dla dzieci i młodzieży szkol-
nej z województwa lubelskiego. Od 2009 roku
wiceprezes, a od 2010 roku prezes Chełmskiej
Grupy Literackiej „Lubelska 36”. Píše od dzie-
ciństwa. Dojrzały debiut literacki w 1992 r. na
łamach *Tygodnika Chełmskiego*. Laureat kilku
ogólnopolskich konkursów poetyckich. Publi-
kował w *Kresach Literackich*, *Egerii*, *Nestorze*
prasie lokalnej, a także w almanachach i zbior-
kach poetyckich. Jest autorem jednego tomi-
ku poezji pt. *Pejzaże tożsamości* wydanego
w 2008 r.



Halina Graboś

skok z mostu wahań

gdy duszę zalegają księżycowe krajobrazy,
a księżyc stał się martwą skałą

zawieszoną na nitce obcego spojrzenia
myśli się: dlaczego radość zawsze

przegrywa ze smutkiem, pewność z niestałością,
zrozumienie z rozbieganiem osądów.

plytko pod powieką błysk czerni,
kontur światła, a w głębi bezdenne

piękno. - nie bój się skoczyć, nie wahaj.
ta chwila jest nawiedzeniem, odwróceniem

rzeczy, biegunem wszystkiego. każdy
może poznać mistyczne słońca duszy.

trzeba zgubić lęk - by poznać siebie.
zapomnieć siebie - by odnaleźć duszę.

950 hPa

Chmury niskociśnienne
usiadły na trawie
cyklonem tętnic
depresyjnie
wiruje serce
mówię mu - daj spokój
zobacz jaki błady deszcz
za boże drzewko się chowa
rumianki drżą
białosrebrzyście
i rosa na malwach
jak rozcieńczona krew

usypia malinowe powietrze
przezroczystą komunię
tlenu
spożywamy w milczeniu

ja
i moje serce
które na chwilę
zatrzymało wskazówkę
na lewej komorze
niepobłogosławionej jeszcze
żywym znakiem
tętna

prawdy

naga - odczyniona na głębokości bólu
wezbrana - zakotwiczona w najmniejszym
krążku duszy
zawila - meteor krążący w potrzasku sumienia

zamiast wznosić
ściągają

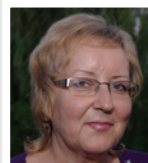
między rozkoszą natchnienia
a okrucieństwem wiersza

poznaliśmy je
nie chcąc

prócz tej jednej nieprawdziwej
w którą wierzymy

wybrańcy bogów
poławiacze piękna i cierpienia

Halina Graboś urodziła się 17.05.1952 roku w miejscowości Ciemno koło Lubartowa. Od 1956 r. mieszka w Kamieniu koło Chełma. Jest absolwentką Technikum Ekonomicznego w Chełmie. Należy do Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36” i Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Opublikowała 3 tomiki poetyckie: *Gdzie się maleńki ptomyk pali* (2003), *Strony życia* (2007), *Myśli niesekretne* (2010). Jej wiersze drukowane były w wielu almanachach, antologiach i czasopismach literackich. Jest wielokrotną laureatką konkursów poetyckich.



Mateusz Grzeszczuk

Złoty środek

w potoku ludzkich słów
jedynie modlitwa milczy

tak się o nią modlę
i jej wyczekuję

modlitwa to czas przemijania
gdy powiem
„jest już po wszystkim”
gdy powiem
„jest już okropnie”
i zrób by było lepiej

w potoku ludzkich słów
jedynie modlitwa milczy

mam nadzieję, że dziś nie chybi
i jakieś szczęście ześle
choćby na chwilę
tak by bez zdarcia
uśmiechnąć się
powiedzieć
żyć

W czym Ciebie odnajdę

Gorzej będzie gdy sercom,
ludzi zastąpią wiersze.
Kiedy słowa stracą rysopis
a oddechów miarą, zapachem włosów
kropla tuszu na pergaminie.

słowa to pustka nocy
za dnia świecą
jakimkolwiek słońcem
słowa nocą milczą
i trudno jest nimi płakać
czasami chcą być lżą
mylą się
wchodzą pod paznokcie...

a ta cisza między nami
nie złotem, nie milczeniem
tonu oczu twych nie zgadnę
tak bez barw się

Ciebie słucha
westchnień podszeptem

Kiedy kobieta

Kocha się bardziej o poranku
aniżeli nocą

wtedy zakuta w tajemnice
obudzona, zbuntowana
zrywa lekko
śpiący owoc z powiek

zawsze może zamieszkać u mnie
choć jej upór usta zacina
wywodzi z raju i tylko
ona zaprowadzi tam
złąkane modlitwy
pogodne
modlitwy bliskie

Kocha się bardziej o poranku
aniżeli nocą

skryta, cała gorąca
puszcza oddech w pierz poduszki
tam moja wolność i moje niebo
przyniesie mi ze śniadaniem
a to w nim je wypatrzę

Mateusz Grzeszczuk - Ewangelii św. Mateusza nie napisał, ale poezję (jak to dumnie brzmi!) sam tworzy. Urodzony 3 marca 1992 roku po Chrystusie. Sukcesy życiowe: brak... no może jeden - trzy lata w murach chełmskiego „Dreszera”. Humanści sukcesów nie odnoszą, a jest nim z krwi i kości. Próbuje walczyć z całą ludzkością, twierdząc, że najbardziej pociągający faceci chodzą w koszulach. Idealista i marzyciel. Nienawidzi przedmiotów ścisłych. Kocha kabaret i teatr. Oto fragment notki biograficznej Mateusza Grzeszczuka na okładce debiutanckiego tomiku *Z brakiem czasu* (Wydawnictwo TAWA, Chełm 2011, ss. 90).



Stanisław Koszewski

Spotkanie

W cieniu
oczekującego poranka
muzyczna cisza
z komarem w dominancie

poeci
skupieni
sycą płomień
a woń kadzideł
snuje pasmo nadziei

gdy zabrzmi akord
ze świtem
pieśń powróci
echem
cieplej pieszczoty

Wspomnienie dzieciństwa

Świt tkął
biel jedwabiu

woal rzeczki
muślinem pieścił
kryształy ros

donośne pienie
gasilo księżyc

studzienny żuraw
lustrował toń

żeńców syciły
brzemienne snopki

echo powiewało
dźwięki kos

uszy lip
pieściła melodia
smakoszy nektaru

powiew słońca
zmiatał pył
spróchniałych ścian

rozgaconych chat

spopielale dłonie
pieściły przednówek

Mój Eden

W zawoju pragnień
stu błękitach
brylantem zdobna
złota nić

pośród motyli
perłoskrzydłych
niedoścignione dni

w miodnych obłokach
ciepło lata
kołysze
kroplę barwnych snów

Stanisław Koszewski - poeta fraszkopisarz, mecenas kultury, ur. 10 grudnia 1936 roku, członek Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”, laureat prestiżowej nagrody KAJ-a (im. Kazimierza Andrzeja Jaworskiego), uhonorowany Brązowym Wawrzynem Literackim. Debiutował w kwartalniku literacko-artystycznym *Egeria* wierszem *Cnota* i piosenką dla dzieci *Tomek i Miś* (tekst i muzyka). W roku 2005 wydał nakładem Wydawnictwa TAWA, zbiór fraszek pod tytułem *Bez retuszu*, w 2008 roku opracował i wydał spuściznę literacką mieszkańca Krasnegostawu Zbigniewa Uchnasta zatytułowaną *Gorycz życia*, w 2010 roku opracował książkę *Pamięć i Nadzieja* (wyd. Drukarnia Kresowa w Chełmie) zawierającą referaty wygłoszone na konferencji naukowej w Chełmie o ludobójstwie dokonanym przez nacjonalistów ukraińskich na narodzie polskim - mieszkańcach Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej w latach 1943-1946, a w roku 2011 wydał drugi tomik fraszek zatytułowany *Bez pudru* (Wyd. Drukarnia Kresowa). Wiersze, fraszki, limeryki, szkice literackie i artykuły drukuje w lokalnej prasie, almanachach poetyckich i antologiach. Publikuje też na łamach czasopisma *Nestor*.



Danuta Agnieszka Kurczewicz

Gibka

Drzewom dałam chłodny przewiew by
w całusach złotolistnych konik polny
się nie scukrzył

Kwiatom szumy od kolorów i zapachów
karmel nocy na dzień dobry od zachodu gdzie
się słońce modli szczerze

Nic nie miałam dla księżycy co tak w oczy
patrzył blado i ułamki czasu dzielił przez
się wtedy rozmarzyłam;

progi moje choć zmurszałe kładka gibka
wzrok przedszkoczka a w nim tyle nowalijek
kwiatostanu i zapewnień od przeciągów
się hortensja poprzebarwia na różowo

krioterapia spóźniona

skóra wchłania białe nawilżenie
rozciąga soplowe rozwidlenia
jestem naga

i tylko patrzeć
opadną lawinowe płótna
dachy podejść pod kominy
pachnące kadzidłem

wyrośnie krzew naszego varieté
będziesz mi tłumaczył
jak tańczyć kankana bez emocji

Oczy Wielkie

znikających uliczek. Pół wypełnionych wieżowcami,
stosem nieczytelnych rozpraw o graniu słońca
z zacienieniem -

prowadzą w zaułki. Skadrowane obrazy, które

przysiadły na żrenicy **Oczu Wielkich**; domofony
uzależnień -

w połogu otwierane. Kuszące pachnidła: nagiego
wybudzenia, drugiego pokosu w drzemce kąpanego,
zadeptanych -

podwórek wieczoru. Krwisty zachód jak stek:
miłosny podbródek, ust mikstura i **Oczu Wielkich**
głębia tajemna -

twarz nocy

a potem przyjdzie czas: „zmiażdżaczy”
ochrypłych błękitów, wachlarzowy chłód

zakwitnie kwiat wielki jak jezioro Loch Ness
każda z łez będzie miała własnego potwora

kolor płatków w obiektywie inności zadamowi
spadną głęzie na wiatr

(w rozpiętej galaktyce w samym środku jądra
ogród, ścięte drzewo - zbieram korę z twarzy)

a potem odkryję cud: na pestce morwy Ziemia
niebiańskie muzeum miniatur

Danuta Agnieszka Kurczewicz

z domu. Michalak (ur. 1950). Poetka, mająca w swoim dorobku trzy książki poetyckie: *W galaktyce czasu*, *Iluminacje jesieni* oraz *Kręgi zwielokrotnione*. Jej utwory znalazły się w wielu almanachach i antologiach poetyckich. Publikowane były w czasopismach literackich: *Egerii*, *Akcencie* oraz *Głosie Pawłowa*. Jest członkiem Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36” i Stowarzyszenia Przyjaciół Pawłowa. Należy również do Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.



Katarzyna Czubala

stare miasto

gasnąca pochodnia
aromatem
zdobi utrudzone oblicze

rysowane trzciną
zmarszczki
przeglądają się w zwierciadle

gładzą skroń
skrzydlate wierzy
pod powieką
nocy
zasypia stare miasto

szczęście

ukryte w czuprynach
jagód
skrzydlatych zatokach

drzemiące w magii
kosmatych traw
leśnych podszytów

zerkające okiem
bursztynu
na powłóczyste suknie
turkusowych fal
pląsające w objęciach
zefiru
zapatrzone
w pastelowy pejzaż

niezmierzone
ulotne
upragnione

Katarzyna Czubala została przyjęta do grupy Literackiej „Lubelska 36” we wrześniu 2010 roku. Ukończyła Liceum Ogólnokształcące w Dubien-
ce, następnie studia magister-
skie na kierunku filologia rosyjska (UMCS) wraz z trzyletnią specjalizacją bułgarystyczną. W 2005 roku obroniła pracę doktorską z zakresu neofilologii i uzyskała stopień doktora nauk humanistycznych. Ponadto ukończyła studia magisterskie z filologii germańskiej w AHE w Łodzi. Pracuje w szkołach i na uczelniach wyższych. Debiutowała jako poetka wierszem *Na wrzosowisku* opublikowanym w *Angorze* (nr 39, z dnia 27 września 2009 r.). Jej utwory ukazały się w *Egerii* oraz antologii *Chełm w poezji*. W 2010 roku wydała pierwszy tomik poezji pt. *Akwarelą wyobraźni*.



Małgorzata Łobejko

Być czy mieć?

Żeby być
trzeba mieć
oko na świat
serce zwrócone
na innego człowieka

Żeby być
trzeba mieć
uśmiech na twarzy
pokrytej zmarszczkami
czasu

Żeby być
trzeba mieć
siłę do walki
o życie
godne siebie

Ona i On

Ona i on
ledwie widoczni
w blasku dogasających latarni
spowici mgłą
niepewności strachu

ona z nim
spotyka się przypadkiem
po omacku szukając
na próżno
duszy kochanka
otoczona jego bluźnierczą
namiętnością

ona bez niego
miota się
w pomiętej pościeli
w upojnych wspomnieniach
ukrytych w zakamarkach
świadomości

Małgorzata Łobejko (z domu Koza), urodziła się w 1982 r. w Zamościu, z zawodu nauczycielka i dziennikarka, pracuje w Radiu Bon Ton w Chełmie. Należy do Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”. Debiutowała wierszem *Krajobraz* w piśmie artystyczno-literackim *Egeria* w 2007 roku. Jest autorką tomiku poetyckiego *Trakty niespokojne* i antologii *Chełmskie strofy*. Drukuje swoje wiersze w czasopiśmie i antologiach. Niedługo ukaże się jej kolejny tomik *Smak ciszy*.



rys. Benek Hornziuk

Teresa Pyc

Do Muzy

Przychodzisz nocą w moim zmęczeniu
w szumie wiatru za ciemnym oknem
w odgłosach śpiącej rodziny
Kołyszysz nieznaną tęsknotę
trącasz nierealne marzenia
pozwalasz poczuć smak zazdrości
Czasami płaczesz myśli natłokiem wrażeń
i wiele spraw zostaje bez imienia
Obrazem złowieszczonego snu jak falą
uderzasz w oczy
krzyczysz tak jak krzywda woła
i poisz uszy goryczą
jak z hiobowych wieści

Odchodzisz ode mnie gdy przeleję
trzepot duszy i pióro zastyga nieruchomo
Zostawiasz ślady
Nic nadzwyczajnego
Przyznaj się!
Ty mnie nie rozpieszczasz

Daj choćby ziarno
tak bardzo w życiu potrzebnej
salomonowej mądrości

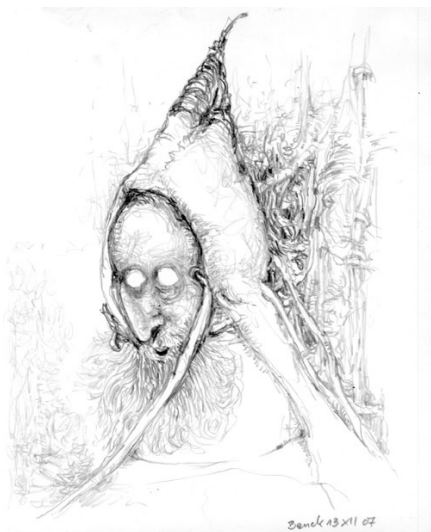
* * *

w gruzach
nieudanego wiersza grzebię
kartki porwane na nowo składam
w nadziei klęczącej
że śpiące słowa
pod czapką niewidką
odnajdę

zapalam błędny ogień serca
za parawanem powiek
dobieram się do miodu
w kałamarzu natchnienia

słowa jak bańki mydlane
słabe i bezbronne
pękają
zostawiając w oczach
piekące mydło

Teresa Pyc (z domu Kontek) urodziła się 16 marca 1950 r. w Chełmie. Ukończyła filologię rosyjską (SN w Lublinie), dwuletnie Centralne Warsztaty Twórcze Teatru Dziecięcego (COMUK w Warszawie) oraz Studium Przedmiotowo-Metodyczne z języka polskiego (ODN w Lublinie). Długoletnia nauczycielka, instruktor i reżyser teatralnych zespołów i kół recytatorskich. Jest członkiem Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”. Wielokrotnie nagradzana w regionalnych i ogólnopolskich konkursach teatralnych i poetyckich. Jej utwory znalazły się w trzech antologiach i ośmiu almanachach. Wydała trzy tomiki poetyckie: *Nie jestem już pszczołą* (2005), *Otwierane wierszem* (2007) i *Skąd ta iza* (2010).



rys. Benek Homziuk

Anna Nazar

Ból

Ile odcieni ma ból?
tępy
pulsujący
szarpiący
rozchodzący się
mackami ośmiornicy

w dzień rozpraszają go
odgłosy stukania
pukania
kroki na schodach
szum i gwar
tętniącego życiem
miasta

w nocy
ból się potęguje
rozrasta cierniem
osamotniona
płacząc bezgłośnie
z twarzą przytuloną
do zimnej szyby okna

modląc się o wybawienie
o śmierć...

miasto śpi
ból żyje...

Mów do mnie

Tak ładnie do mnie mówisz,
mów do mnie często
zapomnę o bólu i złych dniach

mów do mnie a ja będę się
uśmiechać do Ciebie
i do swych myśli

mów do mnie czule szeptem
wołaj do mnie z bezkresów
i śnij o mnie pięknie
a będę dla Ciebie

muzyką i słońcem
przyływem i odpływem

różą pustynną i oazą
strofą zapisaną w sercu
każdy palec mojej dłoni
poemat dla Ciebie....

* * *

Zamknięta w czterech
ścianach bólu
objam się o kąty
przytulam do gładkiej ściany
wnikam głęboko
w jej chłód
oddycham szybko
by go nie dopuścić
do panoszenia się
w obolałym ciele
w chwilach wytchnienia
nabieram mocy
przed następnym atakiem
modłę się
odczyniam czary
zaklinam ból
na chwilę....

* * *

Mistrzyni kamuflażu
czarodziejka klimatów
pachnących drzewem
sandałowym i wetiwerą
w płomieniu świec zapachowych
nastroje
nas troje w tańcu
niedomówień i gestów
trójką
ich troje
te dziwne nastroje
ich troje
zdanych na siebie

i te cholerne
nastroje
nas troje...

* * *

Chwytam się kropli deszczu
bliskości drugiej osoby
ciepła oddechu
warg spierzchniętych
od pocałunków
rozedrganych skrzydełek nosa
oczu pokrytych mgłą
babiego lata
liści spadających
- jesteś? -
- tak, jestem -

słyszę twój oddech
przyspieszony
żyłkę pulsującą na szyi
w zagłębieniu otwartej koszuli
wtulić się tam
ustami ciepłymi
dotknąć poczuć
to tak dużo żeby unieść
za mało żeby zachować

- jesteś? słyszysz mnie? -

Anna Nazar - chełmianka, poetka i malarka. Członek Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”, wiceprezes, skarbnik Stowarzyszenia Twórczego „Pasja”. Debiutowała wierszem *Motyl* w *Tygodniku Chełmskim* z 17.12.1984 r. W 2009 r. wydała swój pierwszy tomik poetycki pt. *Żagiew*. Jej wiersze ukazały się w almanachu *A Duch wieje kędy chce* i *Chełm w poezji*.



Maria Tokarz

Majówka babci Jadzi

jej świat
wypełniony ciszą
pachnie bzem

zamknięta przez chorobę
w czterech ścianach
wyścielonych bielą
i światłem dnia
nie narzeka

spokojnie czeka na długą noc
pod płaszczem
bezgranicznej miłości
cieszy się słońcem
które spływa
po siwych włosach
i tonie w niepamięci
minionych lat

choroba i ból
poszarpały na strzępy
pamięć babci Jadzi
resztę wytarł czas
zostawiając puste miejsca
w kalendarzu
gdzie kwitnie bez

Album

Zbierane przez lata
zamknięte w szufladzie
chwile
żyją kolorami

stosy przeżyć
piętrzą się w nieładzie
rozrzucone artystycznie
życie
segreguję tematycznie
chrzczyny

imieniny
wesela
biały tydzień
pogrzebów nie zbieram

Tik - tak

milczenie -
głucho
buja się w fotelu

cisza -
tajemniczo
zacierają ślady
linie papilarne lat

czasomierz -
drżąc
walczy wskazówkami
tik - z tarczą
tak - na tarczy

Maria Tokarz, z domu Kołodyńska, urodziła się w Więcborku, w województwie kujawsko-pomorskim. Obecnie mieszka w Chełmie. Debiutowała wierszem *Jak dawniej* w małym almanachu *SKOK po szczęście* (TAWA 2008), skupiającym poetów Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”, której jest członkinią od 2008 roku. Jej utwory ukazały się również w antologiach *Przestrzeń prawdy* (II cz., Lublin 2008), *Biało-czerwonej* (TAWA 2009), *Jak ojczyźnie służyć* (Lublin 2009), *Chełm w poezji* (TAWA 2010) oraz w piśmie literacko-artystycznym *Egeria*. W 2010 roku ukazał się pierwszy tomik poetycki Marii Tokarz *Na wyciągnięcie dłoni*. Obecnie pracuje nad drugą książką.



Dariusz Sułkowski

Wierzysz
w moc
teraźniejszejących
chwil
rzeźbiących
węzły neuronów
twoich
bliskich i dalekich
nieustannego przyrostu
historii
horyzontu istnienia
wertikalnych
zezwoleń i nakazów
nieustannego
norm
przekraczania
kończącego się
zawsze
pęknięciem
kryształu

* * *

Jak
że
boli
zjazd windą
na rzeczywistość
zero
„starania”
„piekło wybrukowane”
żadnej piaskowej prostej
ścieżki przez
wykoszoną łąkę
pachnący sosnowy
tylko
w hotelu bólu
oddzielne łóżka

* * *

Księżyc
śmieje mi się
w twarz
igły wydarzeń
kłują serce

muzyka
roznosi ból
po całutkim ja
„a co umyślałeś
że życie
smakuje
inaczej?”

* * *

Co
nocnie
co
dziennie
zawsze

kładę
przed Twoimi
stopami
wiązaną pragnień
prób i marzeń
wypowiadasz
słowa
pachnące jaśminem

karuzela jest
już w biegu
nie jestem
sobą
tobą
kim



Dariusz Sułkowski urodził się 19 lipca 1961 r. w Lublinie. Szkołę podstawową ukończył w Siedliszczu, a następnie Zasadniczą Szkołę Górniczą (1979) i Technikum Górnicze (1982) w Chorzowie. Eksternistycznie zaczął studiować filozofię chrześcijańską na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, którą ukończył w 1989 r. Dziesięć lat później otrzymał tytuł magistra filologii polskiej na UMCS w Lublinie, a po kolejnych pięciu latach zaliczył studia podyplomowe z zarządzania oświatą i szereg specjalistycznych kursów. Nauczyciel, dyrektor, pracownik oświaty, za działalność społeczną i zawodową wielokrotnie nagradzany m.in. Brązowym Krzyżem Zasługi. Debiutował wierszem *Staramy się wykuć...* w *Egerii* w 2006 r. Zamieszczał też wiersze w antologiach i wydał następujące indywidualne tomiki: *Kwiaty nadziei* (2007), *Dorzecza świadomości* (2009) i *Sieć skrupułów* (2010).

Waldemar Taurogiński

Smakowanie

Z upływem lat kroję dni w coraz cieńsze plastry.
Zbyt grube szkodzą wątrobie i otoczeniu.

Poza tym cieńsze można dokładniej obejrzeć,
ocenić, delektować się nimi do woli.

Dłużej trzymane w ustach smakują wybornie,
bo o ten smak, proszę Pana, tu chodzi, o ten

smak. Przylapany na pośpiesznym oglądaniu
pożółkłych fotografii czuję się jak sztubak,

jak żółtodziób-podglądacz skarcony dwuznacznym
spojrzeniem, szturchańcem, zadanym proszę Pana,

przez dziarskiego kpiarza choćby dla odwrócenia
uwagi. Kosztowanie przedwczorajskich wiśni

jest smakowitsze od powszednich ulęgałek,
skulonych w kłębuszki z żalu za odchodzącym

latem. Opadłe z udręki, nabrzmiące skwarem,
codziennieścią, zbyt szybko dojrzewając, proszę

Pana. Dotknięte rdzewiem za szybko zmieniają
złote uśmiechy w gnijący miąższ, lgną do ziemi

jak starość co szuka wygodnego posłania.
Dlatego smakowanie zacznę od wiosny,

choćaby tej z fotografii i jak sztubak chcę
poczuć jej smak raz jeszcze. I jeszcze raz wpłatać

w jej włosy rumianki, powoli by nie spłoszyć
wilgi i jak żółtodziób, proszę Pana, w niej trwać.

Jak można nie lubić wina?

Półnagi sen owinął myśli kupażem win.
Zazdrościć winu cierpliwości dojrzewania

w dębowych inkubatorach, gdzie smak i zapach
skrywają szelmowskie uśmiechy, dojrzalego

w kiściach winorośli spóźnionego lata. Jak
leniwie starzone leżakuje, pełne nut,

jedwabistych, miękkich aromatów, zmysłowych
sukni odsłaniających ramiona Ariadne

przed pożądanymi spojrzeniami Bachusa.
Jak można nie lubić wina? To tak jakby nie móc

kochać! Nie pamiętać! Nie powstawać z upadku!
Nie radować się! Nie cierpieć! To jakby - nie żyć.

Moje brzozy

Posiwały nam stare brzozy, posiwały.
Przygarbiły się, rozwarkoczyły na wietrze.

Pogodne, choć skore do płaczu, nieświadome
wieku, stanu posiadania, nierozeralnie

związane z podłożem. Kiedyś smukłe, cierpliwie
znosiły wycinane na swej skórze serca

zalatnych kochanków. Ileż razy karmiły
oskołą wiosny zniecierpliwione owady.

A i z nas, co sprytniejsi, by nie zadać bólu,
misternym nacięciem podbierali, przed wczesnym

brzezieniem, słodkawe, życiodajne osocze.
Teraz obglaskują zabliźnione czeczoty

moich brzoź. Tę, co na skraju, lubię najbardziej.
Stoi zawstydzona brakiem kompletnej szaty.

Wnikam do wnętrza jej tkanek przez uchylone
łyko, wrastam zmysłem dotyku, czuję jej smak.

Zdaje sobie sprawę, że wychodzimy poza
horyzont czasu na spotkanie - przemijaniu.

Waldemar Taurogiński - księgarz, edytor, wydawca, czasami poeta, ur. 26.01.1957 r. w Koźuchowie, woj. lubuskie. Pomysłodawca i współzałożyciel Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubeska 36”. Redaktor naczelny Pisma Literacko-Artystycznego *Egeria*. Laureat ogólnopolskiego konkursu „Bliżej teatru” oraz Nagrody KAJ-a dla animatora kultury. Jako wydawca, ma na swym koncie ponad 150 publikacji książkowych.



Arkadiusz Sann

Mietek gromi szatany



Od kiedy się pojawiły, Mietek nie ustaje w ich gromieniu. Po raz pierwszy zauważył je w chlewie, gdzie stłoczone przy korycie chichotały beczelnie. Mietek poleciał po żonę, ale ta niczego nie połyssała. Zrozumiał tedy Mietek, że ten dar jemu tylko został dany. Porwał za bat i jął chłostać przeklętników, lecz one umykały diabło sprytnie, to po ścianie, to po suficie, a smród od nich bił taki, że aż Mietka mliło. Na koniec przyniósł wody święconej z pobliskiego kościoła i wtedy się usunęły. Od tej pory Mietek wodę święconą zawsze ma przy sobie, nawet kiedy śpi.

Teraz już wie, że są wszędzie. Rozpleniły się jak wszy, łażąc po ludziach, zwisając pod dachami ich domów, wczepiając się w koła samochodów. A kiedy je gromi, chlustając je wodą święconą, kwiczą jak świnię, a potem pierzchają w popłochu. Odkrył, że są we wszystkich gazetach; wgryzają się z charakterystycznym pochrząkiwaniem w czaszki liter i niczym pasożyty żyją z cudzych tekstów. Są nawet w radiu i Mietek doskonale je rozpoznaje po ich skrzekliwym głosie. Widzi je w telewizji - kiedy pokazują filmy miłosne albo parady gejów i lesbijek; nawet w reklamach pod pasek, również wtedy, gdy ogląda „Różową landrynkę”. Już wie, że nie tylko całe Fanatyczne są ich pełne, nie tylko pobliskie miasta, bo one zawładnęły już całym światem i teraz nim sterują.

Widzi nieraz jak wlażą ludziom do środka przez nosy, czasami przez uszy, gdzie żywią się woskowiną; innym razem zauważa je na kobiecych łonach, jak pchają się jeden przez drugiego. W takich sytuacjach Mietek gromi je wodą święconą, a wtedy ludzie wyzywają go od pierdalców i sukinsynów. Mietek wie, że to przemysłna taktyka tych bestii; robią z ludźmi co chcą i pchają ich w wieczny ogień.

Do Mietka odważają się przychodzić tylko w snach; właściwie to przychodzi tylko jeden z nich, ten najważniejszy.

- Uspokój się, Mietek, nie strasz - ostrzega

skrzeczącym głosem - daj żyć. Ośmieszasz się, a ludzie w Fanatycznych gadają, żeś na łeb upadł.

Mietek wielokrotnie się już przekonał, że są inteligentne i potrafią zapędzić człowieka w kozi róg. W pobliskim miasteczku widział je nawet w kościele, jak gnieździły się w bocznej nawie. Pisał nawet w tej sprawie do samego prezydenta, ale jego list pozostaje wciąż bez odpowiedzi. One tymczasem jak były, tak są; łażą po ubraniach i ciągną za sobą strużki śliny. Tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy porozsyłanych niczym emisariusze do wszystkich zakątków świata!

Mietek drży, bo zdaje sobie sprawę, że świat spowity mroki bestii, a jej lepkie macki są wszędzie i nikt się przed nimi nie ostoi. Cały świat jest zwrócony przeciwko niemu, a on - Mietek - musi się zmierzyć z tą straszną potęgą. Chlusta więc z buteleczki wodą święconą i mamrocze pod nosem zaklęcia. Ludzie pierzchają przed nim, bo - niestety! - ulegli parszywcom i stanowią już z nimi jednię. Dla Mietka jedno jest pewne: świat sfiksował! Bestie zdołały opanować nawet swoich przeciwników. Zło czai się wszędzie, bo świat jest jednym wielkim glutem zła.

Tak, po stokroć tak! Mietek to już wie - świat jest nabrzmiałym czyrakiem, a ludzkość jego ropną wydzieliną. Myśl ta napawa go przerażeniem, bo zdaje sobie sprawę, że jest całkiem samotny w tym nienawistnym świecie. Strach powoduje, że Mietek kurczy się z dnia na dzień. Po upływie roku jest już tak mały, że nikt go nie zauważa ani też nie słucha. Maciupęki Mietek siada więc na główce szpilki i czeka na swą beatyfikację.

*Listopad 2005
(ze zbioru Bezwstydnic Prawda)*

Jak Kościura Krzyżaków pod Grunwaldem pokonał

Heli i Zbyszkowi

Ja, Kocypał, herbu miecz i bukłak, te wsze słowa i sprawy wiernie zapisuję, jakie w onym roku wypowiedziane zostały i się wydarzyły, kiedy to pod Grunwaldem wojska króla Jagiełły naprzeciw krzyżackich stanęły. Na początek obie armie się krygowały, bo onegdaj wielkie mnóstwo wojska się tam zgromadziło, tak iż nikt nie wiedział, co się stanie, jak tak wszyscy hurmem na się ruszą. Jął tedy nasz

król łaskawy ucztować ze szlachcicami, a wojskom bukłaki z prytą porozdawał, żeby się woje tego do walki zaprawiali. Widząc to Ulrich von Jungingen kazał wraz stoły w obozie swym wartko zastawić i co najprzedsniejsze jadło i wino podać.

Tak tydzień minął, a woje w piciu i ucztowaniu nie ustawiali i nikomu nawet w głowie nie powstało, żeby w bój iść, bo się nasza brać rycerska z wojami krzyżackimi spiknęła względem wina, które pono pułki smoleńskie chłopom z piwnic wykopal; tamci one wino naszym pokątnie dawali za lechicką kielbasę, co to zagrychą była niesłychana. Jak się wreszcie w tym wszystkim król nasz połapał, zwołał zaraz naradę i tak rzekł do zebranych szlachciców najprzedsniejszych:

- Tak być dłużej, panowie szlachta, nie może! Wojska nasze z wrogiem się bratają, zamiast się za łby brać. Toż to hańba straszna z Krzyżakami pryty walić! Trza nam coś wymyślić, bo nam wojsko całkiem na psy zejdzie!

Na to tak królowi naszemu Patafil z Kusańca odpowiedział:

- Królu! Niechaj spośród nas wybierze się jednego, co ma głowę najtęższą, a wystawim onego przeciwko jednemu od tamtych.

Król Jagiełło zżymał się i cmokał na taką ustawkę, ale szlachta myśli tej wraz przyklasnęła i zaraz do szukania się zabrali. A wyszło rychło, że z naszych łeb najtęższy miał Strychulec z Poraza, bo nikt go przepić nie mógł, chocia wielu próbowało. Wysłali tedy nasi posłów, co uwiadomić Krzyżaków mieli, że król nasz z wielkim mistrzem rozmówić się pragnie. I w południe wraz obaj pod Czarcim Kamieniem stanęli. Król nasz od razu sprawę całą składnie wyłożył. A tak mówił wielkiemu mistrzowi:

- Co ci, Ulryś, zależy? Jak twój chwał wygra, usuniem się z wojskami. A tylko obacz, ilu nas tutaj, mrowie całe!

- Nie strasz, Władek, nie strasz - machnął ręką wielki mistrz - bo ani mi w głowie bać się tej waszej lechicko-litewskiej hołoty.

- Tak? - Jagiełło wziął się pod boki. - Jak byś się nie bał, to byś na pojedynek od razu swojego wystawił!

- Ty, Władek, pod szpic mnie nie bierz, bom nie taki głębi, jak ty myślisz, ale wyzwaniu twemu sprostam i wystawię kandydata.

I zaraz obaj odjechali.

Co było później, tego opisać się nie da! Dość powiedzieć, że Strychulec zaprawiał się do mającego się odbyć pojedynku dniami i nocami, a cała kompanija, ilu ich tam było, wtórowała mu bez przerwy, żeby go do boju lepiej zagrozić. Aż stanął nasz Strychulec przy Czarcim Kamieniu, gdzie stół wielki ustawiono i dwie ławy. Zasiadł zaraz i czeka na kandydata Krzyżaków. A był nim, jak się zaraz okazało, kawaler de Moschy Mohrden, mistrz zakonny Czarnego Bukłaka. Nasi nie czekali i za plecami Strychulca stanęli, zagrzewając go głośno do boju. Przy kawalerze de Moschy Mohrden zgromadzili się licznie krzyżaccy rycerze wraz z samym Ulrykiem von Jungingenem.

Strychulec, co by na początek wystraszyć przeciwnika, wziął dzban i duszkiem wychylił. Zaraz jednak kawaler de Moschy Mohrden to samo był uczynił. Wtedy nasz Strychulec za wiadro złapał i dalejże guldać! Ale i Krzyżak dał pełnemu wiadru radę. Wkurzył się tedy Strychulec, bo dobrze miał już w czubie, i tak powiada:

- Dajcie mi tu pełną balię! Załatwię kmiotka!

Jak chciał, tak uczyniono. I wnet druh nasz całą balię wysmoktał. Dali tedy zaraz pełną balię Krzyżakowi, a ten stanął jak niepyszny, ale wstyd mu było tak przy kolegach walkowerem się wyłgać, toteż rad nie rad kazał se ową balię przechylić i jął powoli chleptać. Skończył, o dziwo, ale na nogach już nie ustał i zaraz na ławę klapnął. Nasi w krzyk, bo Strychulec dobrze się trzymał, jako że już pokątnie dwa razy rzygnął, a nasi mu potajemnie wodę z kiszonych ogórków na kaca podsuwali.

Kiedy się pokazało, że kawaler de Moschy Mohrden całej balii dał radę, powiada nasz Strychulec:

- Tu niedaleko mały staw widziałem. Nuże! Wypróżnić mi go, ilu was tu chłopów, i napełnić dobrym winem!

Chłopy na te słowa wnet z zapalem skoczyli, a kawaler de Moschy Mohrden pobladł zrazu i poty nań wyszły. A nasz Strychulec usiadł nad stawem, wiadrem wina zaczerpnął i dalejże dudnić! Krzyżak nieopodał usiadł i zaczął spieszenie swe wiaderko napełniać, bo teraz tu o to chodziło, który z nich więcej wiader duszkiem opróżni. Strychulec po siedmiu wiadrach jakby się rozgrzał i jął w głos śpiewać „O mój rozmarynie”. Kawaler de Moschy

Mohrden za siódmym wiadrem puścił straszne gazy, po czym zwałił się jak kłoda przy Strychulcu...

W obozie naszym jakby wszyscy powariowali, a Strychulca to na rękach przez trzy dni nosili! I trwało to wojów dzielnych ucztowanie, póki w dniu czwartym poseł krzyżacki się nie pojawił.

- Dobra, wygraliście - powiada - bo to wyście do nas z pomysłem przyszli. Teraz my ze swym konceptem do was przybywamy, bo przecie rewanż być musi i nasze doń jest święte prawo.

- Ano musi - przyznał ktoś półgębkiem.

A rewanż na tym miał polegać, że się nasz woj najlepszy z rycerzem krzyżackim w walce na miecze zetrze.

- Nie ma sprawy! - krzyczą nasi.

I już radzą, kogo by tu wystawić. Tymczasem tamci swego kandydata wiodą, by naszym go przedstawić. Chłopisko tęgie to było, a miał pewnie z pięć łokci, psia jego jucha! Cały w stal zakuty wraz z łbem, płaszcz z sukna przedniego z wielkim krzyżem, a pod nim koniosłoń, co go Krzyżacy za mnóstwo złota od Hindusów kupili. Jak to nasi zobaczyli, głowy pospuszczali, a nasz król Władysław pobałdł.

- Strategicznie przewalone! - podsumował Patafil z Kuksańca.

Posłano zaraz kuriera do Juranda ze Spychowa, ale wnet się okazało, że Jurand chrcziny ma. Był też posłaniec u Zbyszka z Bogdańca, ale akurat na jego wesele trafił. Na czole króla Jagiełły mars wykwiłł, bo gdzie by nie poszedł, tam wszędy balanga.

- Debile jedne! - nie wytrzymał. - Nieprzyjacieli na pojedynki wyzywa, a nikogo na kandydata znaleźć nie możemy! Wstyd!

A na te słowa króla głos skądeś się odezwał:

- Ja tam walczyć mogę.

Spojrzeni wszyscy na onego śmiałka, a był to Kościura, chwał dzielny, ale kurdupel.

- Ty???! - zakrzyknęła cała kompanija. - Toż ten wielkolud jedną ręką cię zmiecie!

- E, nie takim już rzeczom moją brzytwką sprostać mogłem z pomocą Panienci Błogosławiejnej, toć i olbrzym krzyżacki mi niestraszny.

A trzeba tu powiedzieć, że ów Golyjat, bo tak go tu powszechnie zwano, budził w naszych wielką grozę, jak też i jego koniosłoń. Ale Kościurę jakoś

strach nie oblatywał, a co więcej drwił sobie z Golyjata i codziennie rano i wieczorem wystawiał mu gołą sempiterną, co strasznie olbrzymą wkurzało.

Przyszła wreszcie pora na pojedynek. Golyjat runął wściekle na Kościurę, aż skry spod kopyt szły. Kościura tymczasem jakby drwił sobie z wielkoluda, bo zsiadł ze swej szkapiny i ją lać na trawę.

Kiedy to nasi zobaczyli, pojęli wnet, że już po Kościurze.

- W nogi!!! - zakrzyknęli.

I już mieli brać nogi za pas, ale w onej właśnie chwili straszliwa kurzawa powstała, toteż przystanęli ciekawie, czekając, co z Kościury zostanie. A kiedy proch z nich opadł, ujrzeli Kościurę, jak na Golyjacie siedział. Koniosłoń nogi miał ucięte, a i olbrzym również.

Ulryk von Jungingen usunął się wnet jak niepyszny ze swymi wojskami, a Kościurę sam król wezwał do siebie.

- A czemuś ty - powiada - nogi im poucinał?

- Wszak krzyczeli wraz nasi „w nogi!” - odrzekł Kościura.

I nasz król Jagiełło poznał tedy wielkość Kościury. A na pamiątkę owych dwóch pojedynków brać lechicka co dzień święto kawalera Moschy Mohrden obchodzi, jako też i hucznie dzień Kościury świętuje, wymyślając niestworzone historie gwołi zadowolenia dziejopisów, którzy z podobnych opowieści tworzą narodowe legendy...

Wrzesień 2006

(ze zbioru *Bezwstydnic Prawda*)

Arkadiusz Sann (właśc. Arkadiusz Gałązka) ur. 8.02.1959 r. w miejscowości Uherce (obecnie woj. podkarpackie). Pisarz, poeta i publicysta. Zadebiutował w 1991 roku w rzeszowskim piśmie literacko-artystycznym *Easy Rider*. Dotychczas opublikował dwie powieści obyczajowe - *Exodus* i *Biały kamyk*. A. Sann jest również autorem bajki dla dzieci i dorosłych - *Przygody Szaraczka Fiłozaczka* oraz współautorem antologii poetyckiej Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”, której jest współtwórcą i członkiem. Swoje artykuły publikuje w pismach literacko-artystycznych, najczęściej w *Egerii* i *Nestorze*. Od 2006 r. należy do Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Lucjan Cimek



Odlot żurawi zwiastunem zimy



„Żurawie na Michała odleciały, będzie ostry grudzień cały”, „Gdy żurawie lecą nisko, zima blisko”. Tak mówią przysłowia, które są mądrością narodu. Natomiast na wiosnę: „Gdy żurawie wysoko latają, ciepłej się pogody ludzie spodziewają” - na to jednak musimy cierpliwie poczekać do kwietnia 2012 roku.

Żuraw zwyczajny (*Grus grus* L.) jest najwyższym z ptaków krajowych i dużo większym od bociana białego. Jego wysokość wynosi 130 cm, długość 135 cm, rozpiętość skrzydeł 235 cm, a ciężar 5,5 do 6 kg (bociana - 2,5-3,0 kg). Obie płci są ubarwione jasnopopielato, głowę zdobią karminowoczerwone nabrzmienia, a na łokciach znajdują się szare pióra z czarnymi plamami. Nogi mają czarne. Dziób niedługi, prosty, spiczasty. Skrzydła długie, szerokie i zaokrąglone. Lot wolny, ale bardzo wytrwały. Lecą w charakterystycznych kluczach z wyciągniętą szyją i nogami.

W Polsce żuraw jest niezbyt liczny gatunkiem lęgowym; dość licznie występuje w okresie przelotów. Przylatuje w końcu marca i w kwietniu (przelatuje w pierwszych dniach kwietnia), odlatuje we wrześniu-październiku (przelatuje jesienią - od września do listopada).

Zamieszkuje większe, mało dostępne bagna, mokradła i łągi śródlądne, rozległe mszary i błota w Polsce północno-zachodniej oraz na Mazurach. Jest ptakiem płochliwym i ostrożnym. Wkrótce po przylocie żurawie gromadzą się małymi grupami w pobliżu lęgówisk i odbywają gromadne toki, podczas których „tańczą” - podskakują w miejscu, biegają, rozkładają skrzydła, podnoszą gałązki, podrzucają je w górę itd.; co pewien czas całe zgromadzenie chóralnie krzyczy: „krrur - krrur - krrur”, są to tzw. klangory żurawie. Z gniazdowisk żurawi klangory rozlegają się na odległość kilku kilometrów.

Żurawie ścielą na bagnach duże gniazda z traw, trzcin, mchów itp. W kwietniu-maju samica składa najczęściej dwa jaja, zielonawoszare

z brunatnymi i czerwonymi plamami. Wysiadywane są przez obojga rodziców przez 28-31 dni. Pisklęta lęgną się okryte gęstym puchem, brunatnym na wierzchu ciała, a białawym spodzie. Przez pierwsze kilka dni pozostają w gnieździe. Mają początkowo krótkie nogi; dobrze pływają. W wieku kilkunastu dni kąpią się w wodzie. Każde pisklę początkowo wodzone jest przez jedno z rodziców; gdy pisklęta podrosną, ptaki łączą się w gromadkę rodzinną. Młode latają po upływie 9-10 tygodni; dojrzałość płciową osiągają dopiero w 5-6 roku życia.

Pożywienie żurawia składa się głównie z owadów, dżdżownic, ślimaków, gadów, drobnych ssaków (myszy) i ptaszków (młode) oraz z roślin (nasiona, jagody, listki, trawy). Szczególny jego przysmak stanowią owoce żurawiny.

Żuraw objęty jest ochroną gatunkową i, na równi z bocianem, darzony jest powszechną sympatią. Jako doskonały „lotnik-nawigator”, od 1929 roku, stanowi logo Polskich Linii Lotniczych „Lot”.

Jako ciekawostkę należy podać, że w powiecie krasnostawskim jedna z wsi nazywa się Żurawie i wchodzi w skład gminy Turobin, należącej obecnie do powiatu biłgorajskiego. Żurawie raczej nigdy tutaj nie gniazdowały. Nazwa wsi utrwaliła się gdzieś około 1600 roku. Wcześniej nazywała się Dziadkowa Wola, ale wiadomo, że już w 1394 roku należała do parafii czerniecińskiej. Zmiana nazwy nastąpiła prawdopodobnie wskutek powszechnego w tej wsi czerpania wody ze studni za pomocą tzw. żurawi, których poranne i wieczorne skrzypienie niosło się daleko po okolicy.

Nasz wieszcz narodowy - Adam Mickiewicz, taki pobór wody umieścił w „Panu Tadeuszu”, opisując folwark Soplicowo: „Wszystko bieży ku studni, której ramię z drzewa/ Raz wraz skrzypi i napój w koryta rozlewa”.

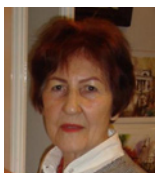
My natomiast, tak bardzo lubimy zapuszczać żurawia, czyli zaglądać z góry, wyciągając szyję jak żuraw, często stojąc przy tym na palcach, aby powiększyć sobie pole widzenia.

Lucjan Cimek

Lidia Kosk

Chłopiec z Ukrainy

Z przygotowywanej do druku książki, z rozdziału „Krwawe znaki na niebie”



Zdenerwowane konie, wyprowadzane z kryjówek kładły łby na piersiach opiekunów, tłumiąc prychanie.

Cicho, jak najciszej, w obawie przed napadającymi, chodzili ludzie po polnych drogach. Dorośli i dzieci, wśród nich Ligia z rodzicami i siostrami. Wychodzili wieczorami, opuszczając domy i dobytek. Bali się spać w swoich łózkach. Dalekie krwawe wydarzenia na Wołyniu, we wschodniej Małopolsce rozlewały się w kierunku terenów za Łęczną. Miasteczko to znajdowało się co prawda po drugiej stronie rzeki Wieprz, ale dzieliło je tylko około 5 kilometrów od miejscowości, w której mieszkała rodzina Ligii. Wiadomości przekazywane z ust do ust, czasami przez naocznych świadków, potęgowały atmosferę zagrożenia.

Opowiadano o tragediach w rodzinach małżeństw mieszanych, ukraińsko-polskich czy polsko-ukraińskich, kolejność przymiotników była bez znaczenia. Sąsiad stawał się nagle wrogiem, którego trzeba było zabić. Jeżeli nie udało się zagrożonemu opuścić swojego domu i miejscowości - uciec, ukryć się - amok, czy nakaz mordu nie omijał najbliższych.

Takie wieści przekazywali sobie ludzie półgłosem w czasie nocnych wędrówek. Z brzaskiem poranka malał strach, ludzie wracali do domów. Sprowadzali z zakrzewionych schowków zwierzęta. Zdenerwowane konie kładły łby na piersiach opiekunów, tłumiąc prychanie. Wprowadzone do stajni spokojniały, wracając do dmuchania sieczeni i chwytania wargami ziarna opadłego na spód żłobów, od których je wcześniej oderwano. Wracała normalność.

Strach, który rozlewał się na tę stronę rzeki przybywał z ludźmi. Ci, którym udało się ująć z życiem z terenów zamieszkiwanych przez ludność mieszaną, mieli go w oczach. Mordów na rodzinach polskich dokonywały, jak mówiono, organi-

zacje oczyszczające poszczególne miejscowości z ludności nieukraińskiej. Do zabijania, może z braku broni, służyły przedmioty codziennego użytku: widły, siekiery, noże, drut. Dochodziło do okrucieństwa także wobec małych dzieci. Rzeką była szczególnym świadkiem jego rozkołysanej fali. Zdarzyło się ludziom zobaczyć płynące z nurtem wody powiązane drutem ciała niemowląt. Kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt kilometrów przestawało być bezpieczną odległością. Świadomość, że terror może się rozprzestrzenić, i że te morderstwa niejako współgrają z terrorem okupujących Polskę Niemców wzmagala niepewność, strach i ukrywanie się ludzi.

Szczęśliwie krwawa pożoga nie dotarła do Łęcznej. Zarówno w samym miasteczku, jak i po przeciwnej stronie rzeki, tu gdzie przebywała Ligia inne były proporcje narodowościowe. Wkrótce obawy wyciszyły się. Wczesnym latem zaprzestano nocnych wędrówek po polnych drogach, ale tamte straszne opowieści dźwięczały wciąż w uszach dziewczynki. Nie wiedziała, co jeszcze przyniesie wojna. Pierwszy raz usłyszała słowo „wojna” wypowiedziane z przerażeniem przez rodziców nazajutrz po ukazaniu się gorejącego znaku. Jak wielu innych ludzi, widzieli oni rozlewające się po niebie czerwone słupy płomieni, które stopniowo uformowały znak krzyża. Potem wybuchła wojna. Ligia szybko doroślała.

Nadchodziły kolejne wydarzenia. Ludzie zaczęli napomykać o zbliżającym się froncie i o odwróceniu Niemców. Ożywiła się działalność partyzantów, o których mówiono „nasi”. Bano się jednak ich nocnych wizyt, za które Niemcy karali śmiercią, paląc ludzi i zwierzęta, wraz z zabudowaniami. Okupanci coraz częściej spotykali się z odporem. Terror rodził terror. Organizacje podziemne, o działalności których wiedziały nawet dzieci, podejmowały różne formy walki, które miały na celu wyzwolenie Polski, stanowiąc jednocześnie pomoc zbrojną dla następujących od wschodu wojsk radzieckich. Mówiono o tym niemalże jawnie. Już niedługo koniec okupacji - powtarzano coraz częściej, coraz głośniejsze.

Pewnej niedzieli przybiegła do Ligii jej przyjaciółka Lucia zza rzeczki i zabrała ją ze sobą do Mełgi do pomocy przy rannych. Na początku pomagały zakonnicom drzeć prześcieradła na

bandaże do opatrywania pasażerów ostrzelanego przez partyzantów pociągu jadącego z Ukrainy do Niemiec. Pamięć Ligii zanotowała coś o odcinku linii z Rejowca na Lublin. Rannych zwożono do prowizorycznej sali szpitalnej w ośrodku zdrowia. Leżeli na siennikach wypełnionych słomą, w swoich płaszczach wojskowych, wyjątkowo ktoś w ubraniu cywilnym. Byli w różnym wieku. Mężczyźni starsi, ale też i bardzo młodzi, a wśród nich ciężko ranny chłopiec. Z otwartej jamy brzusznej wypływały mu jelita, a on z płonącymi od gorączki oczami półprzysiężnie krzychał po ukraińsku coś, co brzmiało jak nawoływanie do zabijania Polaków. Ligia nie mogła tego zrozumieć.

Izbę wypełniała woń krwi. Jęki zagłuszały słowa wypowiedziane przez rannych, najczęściej prośby o wodę. Po krótkim czasie Ligia zaczęła rozumieć słowo „pić”, niezależnie w jakim wołane było języku. Lekarz, czy też felczer pokazał ręką na wiadro z wodą stojące przy drzwiach i blaszany kubek. Żołnierz, nad którym pochyliła się z wodą błagał o powiadomienie matki o jego śmierci, usiłując podać adres i nazwisko, mówił że Polacy są dobrzy. Większość słów po polsku. Jakoś jej to nie dziwiło, starała się zapisać prośbę umierającego, czuła się odpowiedzialna za to, żeby jego słowa dotarły do matki. Oddała potem kartkę lekarzowi. Czy była zrozumiała? Czy były warunki przekazania dalej tej informacji, czy też do matki dotrą tylko suche dane o śmierci z numerków żołnierskich? Słabnący szept, w który żołnierz wkładał resztkę swojego gasnącego życia uświadamiał Ligii, jak ważne miały być dla matki te ostatnie słowa syna.

Cierpienie, którym przepełniona była ta izba umierających dominowało nad wszystkim. Ligia nie zdawała sobie sprawy, ile czasu krąży z wodą wśród spieczonych gorączką ust, jak magnes przyciągających garnuszek. Krzyk chłopca to cichł, to znów się natężał. Chciała mu ulżyć, przytrzymując płóciennym bandażem osuwające się jelita, ale było to dla niej niewykonalne; pomógł jej lekarz, odrywając się od innego rannego. Przydały się bandaże z prześcieradeł. Chłopiec nie wiedział, co się z nim dzieje, nie odczuwał współczucia i opieki. Jak zacięty automat wyrzucał z siebie coraz bardziej ochrypłym głosem to nawoływanie do mordowania. Dookoła jęczyli ranni, prosząc o ratunek, o wodę, o trochę spokoju. Młoda dziewcz-

czyna tkwiła w tej strasznej rzeczywistości, jak w złym śnie.

Nagle usłyszała głośnie stukanie i w otwartych drzwiach zobaczyła dwóch mężczyzn z karabinami i opaskami na rękawach. Zażądali wydania krzyczącego chłopca. Za nimi była ciemność nocy. To już noc - pomyślała. Ciemność dodawała jeszcze twardości słowom żądających. Uświadomiła sobie, że jest sama z chorymi i że jest za nich odpowiedzialna. Zagroziła sobą wejście na salę mówiąc, że nie wyda rannego. On jest bezbranny, jak i inni tu leżący i podlega ochronie. Musiała być przekonująca i bardzo zdeterminowana, stając przed nimi jak mur. Zapytali czy ona rozumie, co wykrzykuje ten ranny i przetłumaczyli po swojemu te niezrozumiałe słowa na równie dla niej niezrozumiałe „rezać Polaczków”. Powiedzieli, że nawołują do mordowania Polaków. Ligia rozumiała gniew żądających wydania chłopca. Lecz była przekonana, że ma obowiązek chronić rannego. Krzyczeli na nią i krzyczeli, aż odeszli, rzucając ostre słowa. Bolało, ale była pewna, że postąpiła słusznie. I chociaż obawiała się, że mogą powrócić, była dumna ze swojej postawy. Udało się jej przekonać ludzi z bronią. Była przecież niewiele starsza od rannego, może trzynastoletniego chłopca. Dlaczego ten umierający chłopiec chce jeszcze mordować? - myślała.

Ten dzień i noc służby przy ciężko rannych, przejęcie się ich cierpieniem i niedostatkiem świadczonej pomocy były dla Ligii trudnym doświadczeniem. Poczuła, że nagle wyrosła i że jest jej ciężko z powodu odpowiedzialności, która spadła na nią nagle z tą dorosłością. Gdy lekarz rano stwierdził, że trzeba jechać po lekarstwa rowerem (innego pojazdu nie było) do Lublina i że nie ma nikogo prócz niej, bo nikt nie przyszedł na zmianę, pojechała. Martwiła się tylko, że nie ma jak powiadomić rodziców.

Drogę odbyła szczęśliwie; знаła ją, знаła trochę przedmieście z tej strony Lublina. W aptece, do której skierował ją lekarz, a do której weszła jakimś bocznym wejściem, dostała potrzebne leki. Wracając z przypiętą do ramy wypchaną torbą, która utrudniała jej pedalowanie, a jednocześnie cieszyła. Może te lekarstwa uratują czyjeś życie, wiele żyć. Wtem usłyszała warkot samolotu. Spojrzała na prawą stronę szosy, gdzie rozpościerał się

teren lotniska. To już tu dojechałam - pomyślała i jednocześnie przeraził ją ten warkot, poczuła wir powietrza i czyjaś bliskość. Samolot był tuż nad nią, mignęła postać siedzącego w nim człowieka, pęd powietrza zepchnął ją do rowu. Zanim spadła, człowiek z samolotu oddał serię z karabinu maszynowego. Zapamiętała, że samolot zniżył się jeszcze raz, słyszała trzask strzałów. Gdy wydostała się z roweru z rowu, na szosie było pusto. Puste też były rozległe przestrzenie lotniska. Czy naprawdę widziałam człowieka w samolocie - zadała sobie pytanie. I dlaczego on do mnie strzelał? Przecież Niemcy już się cofają, po co jeszcze zabijają? Znów przypomniało się jej wypowiedziane przez rodziców, przerażonych zjawiskiem znaków na niebie, słowo „wojna”. Jawiło się wciąż czyjaś śmiercią, czyimś cierpieniem. Przyszedł jej niespodziewanie na myśl umierający żołnierz niemiecki, któremu już niewiele mogła pomóc. To dlatego, że jest wojna ludzie zabijają ludzi, strzelają nawet do dzieci? Ligia pomyślała, że trzeba jak najszybciej dostarczyć lekarstwa. Ucieszyła się, że torba wytrzymała upadek. Rower też wytrzymał, tylko kostka prawej nogi poboлеwała, ale to nic, jeśli nawet zwichnięta, to rozrusza się przy kręceniu pedałem.

Lekarz, mimo ogromnego zmęczenia uciechył się z lekarstw. Zwolnił Ligię do domu. Odsypiała ten dyżur dwa dni. Nie była w stanie odpowiadać na pytania rodziców. Nie zdążyła też sama przemyśleć przeżytych zdarzeń. Utkwił w niej jakiś ciężar, z którym nie mogła sobie dać rady. Nie wiedziała, co się stało z tamtymi z izby rannych. Co z tym nieszczęśliwym chłopcem?

Wojna przyszła znów do niej, w jeszcze innej formie. Właśnie jej z rodzicami i rodzeństwem przyszło przeżyć własny mały front. Rankiem rozległa się kanonada i gwizd kul nad ich podwórkiem na wzgórzu. Rodzice Ligii rozumieli, że to już front. Dlaczego jednak front miałby przebiegać przez ich podwórko? Wyglądało na to, że kule lecą z dwóch stron. Biegając do domu, Ligia poczuła ostry ból w kostce prawej nogi, jak wtedy, gdy wydostała się z rowu po strzałach niemieckiego lotnika. Nie było jednak czasu na zastanawianie się. Nie przyszło jej do głowy, że wówczas została ranna odłamkiem. Tymczasem tatuś, starając się zachować spokój, tłumaczył w jakim są zagrożeniu - że

drewniany dom ze słomianą strzechą może się zapalić od kul, że kula może też przebić ścianę, ale że gdy wyjdą na zewnątrz, będą narażeni jeszcze bardziej, bo będą widoczni. Postanowił, że położą się na podłodze. Strzelanina ucichła tak nagle, jak się zaczęła. Widocznie dostrzeżono pomyłkę, że to nie obiekt walki, a zwykły dom i wojna przeniosła się dalej. Toczyła się dookoła na niebie i ziemi. Chrzest gąsienic czołgów podążał za uciekającymi Niemcami. Jednocześnie budziła się nadzieja. Przez głowę Ligii przebiegały myśli: Polska będzie wolna, otworzą się szkoły... Ale ludzie, o których rozmawiało się wieczorami przez te straszne lata, czy oni wrócą z frontów, wywozek, obozów do swoich domów, do rodzin? A ci z izby rannych w Melgwi?

Minęło wiele lat. Ligia przeżywa wszystko jeszcze raz, gdy opowiada teraz o tamtym ukraińskim chłopcu, który umierając, dźwigał ciężar nienawiści, przekazanej mu przez dorosłych. Tak jak gdyby jeszcze tym krzykiem, który brzmiał prawdopodobnie „Lachiw rizały” chciał morderować. I oto słyszy w radiu relację z Cmentarza Orłąt Lwowskich: „Polacy i Ukraińcy wspólnie schyliłi głowy przed tymi, co zginęli (1918-1919). Ofiary bratobójczych walk w polskim Lwowie na ukraińskiej ziemi. Smyki tak obdarte, że nawet obdarte z nazwisk, poszli na śmierć za swoje miasto”. I dalej: „Duchowni: katolicy, grekokatolicy, prawosławni, żydowscy. Prezydenci wzięli się za ręce”.

Brzmi to jak publicystyka, szczególnie na tle wspomnień o tym, co działo się w czasie drugiej wojny światowej i długo jeszcze po niej. Czy jest sens pisać o tamtych tragicznych faktach i notować aktualne wydarzenia, zupełnie nieprzystające? Długa, ciężka droga wzajemnych wyznań, prób zrozumienia i pomocy.

Trudno wymazać przeszłość, mówi Ligia. Wiele należałoby wcześniej wyznać, a na to wciąż brak gotowości w obu narodach. Powtarza słowa papieża Jana Pawła II: „Musimy oderwać się od bolesnych zdarzeń i w pojednaniu budować przyszłość”. Ona wie, że niełatwo jest oderwać się od przeżytych zdarzeń.

Lidia Kosk

Saturnin Naliwajko

Dziadek



Pod rozłożystą, starą czereśnią, na zydelku siedział jak co dzień dziadek Bazyli ze swoim nieodłącznym cybuszkiem w ustach. Skręt własnej roboty już dawno się wypalił, ale dziadek cybucha z gęby nie wyjmował. Siedział tak i patrzył w dal, jakby swojej młodości wypatrywał. Wieku sędziwego dożył, mieszkając kątem przy wnuczce, bowiem i żona Rozalka, i dwaj synowie z synowymi dawno już pomarli. Prawnuki, zasmarkańce jedne, jak był ich nazywał dziadek, biegały po sadku. Nagle, najstarszy prawnuk Kacper, podbiegł do dziadka i szarpnąwszy rękaw polatanej marynarki, krzyknął:

- Dziadku, dziadku, jakaś paniusia z gminy do dziadka psysła!

Przed dziadkiem stała młoda, elegancko ubrana pani z teczką pod pachą. Dziadek szerzej oczy otworzył, rękę przyłożywszy do czoła, jakby przed ostrym słońcem się oślaniał i rozdziawiwszy szeroko swoją bezzębną gębę, z której cybuszek wypadł na ziemię, oniemiały wpatrywał się w stojącą przedstawicielkę władzy ludowej. Wreszcie wydusił:

- Ha... do mnie... czym paniusi służyć mogę... może by usiadła... - ale zorientowawszy się, że nie ma żadnego wolnego zydlu, krzyknął:

- Kacper! zasmarkańcu jeden, a chyżo do chałupy, zydel dla paniusi dawaj!

Gdy krzesło stanęło obok dziadkowego zydelka, Kacper wciągnąwszy głośno gluta, powiedział:

- Prose bardzo, niech se pani siędzie... - i już go nie było w zasięgu wzroku.

- Utrapienie z tymi zasmarkańcami... - mruknął dziadek - a co to takiego ważkiego, paniusię przygnało do mnie, ha?

- Ano, panie Bazyli, doliczyliśmy się, że jest pan najstarszym mieszkańcem naszej gminy.

- I co z tego? - zapytał zdziwiony dziadek Bazyli.

- Wójt zlecił, abyśmy zrobili panu jubileusz.

- Że, co niby? Że niby lubijesz? - pytał jeszcze bardziej zdziwiony dziadek.

- Jubileusz, takie święto, rocznica urodzin...

- Urodzin... a czyich? - pytał dziadek.

- No, ma się rozumieć, pańskich - oświadczyła urzędniczka - tylko szkopuł w tym, że nie bardzo wiemy, które to z kolei urodziny.

- A skąd ja mam wiedzieć, które to urodziny wójt będą obchodzili... - odrzekł spokojnie dziadek.

- Tu nie chodzi o urodziny wójta, lecz o pańskie, panie Bazyli.

- A... moje... - jakby do siebie mruknął dziadek.

- A tak, pańskie, tylko proszę mi powiedzieć, które to z rzędu urodziny będzie pan niedługo obchodził.

- A trudno to będzie... bo jak my bolszewika z naszym Komendantem gonili do Kijowa, to ja już szabelką dobrze wywijał... - oświadczył dziadek.

- To w 20. roku miał pan pewnie 20 lat - uradowanym głosem oświadczyła urzędniczka, mając nadzieję, że sprawa wyjaśniona.

- A tam, bzdury paniusia gada - obruszył się dziadek - jak ja by miał 20 lat, to by swojej Rozalki jeszcze w kopicy nie obracał, bo tata zakazywali, żem niby jeszcze gówniarz... a jużem Rozalkę...

- Panie Bazyli, prawnuki słuchają - trochę zażenowana szepnęła urzędniczka.

- Zasmarkańce jedne, niech słuchają, dziadek prawdę gada... - kontynuował dziadek - jak matula gadali, kiedym się rodził, to nie było kościelnego i nikt mnie nie zapisał w metryki, bo ksionc proboszcz z Panem Dziedzicem abo w karty grali, abo na polowania jeździli. Dopiero, kiedy kościelny z ciurmy wrócił, a było to ponoć w 12. roku, to mnie zapisał w metryki, ale nie wiem, pod którym rokiem. Do ciurmy go ruskie żołdacy wzięli zaraz po powstaniu... jak to po którym?... po tym, co nasze chłopcy z kosami na sztorc carskich rżnęli... ja tam nie wim który to był rok... a kościelny półwieczek odsiedział...

Dziadek Bazyli w melancholię popadł, zaniemówił, zamyślił się, głową tylko kręcił, od czasu do czasu mruczał coś pod nosem i młaskał. Nie zważając na urzędniczkę, skręta sobie zrobił, a nie znalazłszy cybucha, swoich prawnuków zaczął od zasmarkańców wyzywać. Później winą obciążył

Niemców, ale się zreflektował tymi słowy:

- Niemiec jaki był to był, bandyta był, bił - zabił, ale jeść dał, pić dał, i porzundek był... żaden zasmarkaniec cybucha mi nie miał prawa zabrać... a za ruskiego, panie, to inaksza sprawa, ruski kobity nasze zbuchał i jeszcze kure ukradł, zasmarkaniec jeden... to i cybucha mojego ukradł... swołocz...

Załapała urzędniczka o czym dziadek mówi, podniosła z ziemi dziadkowy cybuch, podała Bazylemu, a on tylko głową kiwnął, jakby w podzięcie... skręta włożył, zapalił, przymknął powieki i z błogim uśmieszkiem kłęby dymu wypuszczał. A ona stała tak przed dziadkiem Bazylim, patrzyła jak z cybucha ostatnie dymki unoszą się nad dziadkową głową i ulatują w nicłość...

Po chwili dziadek Bazyli otworzył jedno oko, zerknął na przedstawicielkę gminy i spytał:

- Co? Jeszcze nie poszła? Stoi jeszcze?

- Panie Bazyli, chcę się dowiedzieć ile pan ma lat - mówiła spokojnym głosem urzędniczka - liczyć pan chyba umie...

- No, co by nie umiał... kartofli to z jednej morgi będzie ze 20 fur, to z dwu będzie 36...

- Chyba 40 fur, panie Bazyli - poprawiła urzędniczka.

- Mówie 36, bo styry fury to dziki, zasmarkaniec jedne zeżarły, bo te kartofle pod lasem rosły...

- Ale mi chodzi o to, żeby pan policzył swoje lata... które to urodziny będą... - niecierpliwiła się urzędniczka.

Dziadek Bazyli ze stoickim spokojem zrobił nowego skręta, kapciuch z machorką schował do kieszeni marynarki, zapalił, wstał i oznajmił:

- Lat mam tyle, ile widać... stary już jestem... ale na życiu to mi nie zależy... nie zależało mi jakeśmy szli do ataku na bagnety... nie zależało mi jakeśmy bolszewika gonili... tyż mi nie zależało na życiu za Niemca... to i tera tyż mi nie zależy... czy mi napiszeta 98 czy 102 to mi nie zależy... przeżyłem trzy wojny, to i lubijesz jakoś przeżyć... - dziadek Bazyli odwrócił się i powolutku czołpał w kierunku chałupy... słychać było jak gada do siebie:

- Lubijesz im się zachciało, zasmarkaniec jedne...

Leszek Janeczek

Anegdoty krasnostawskie



Chłop facecjonista czyli droga do Izbicy

Przed obu wojnami droga z Dworzysk do Izbicy biegła przez łąki nadwieprzańskie po wąskiej grobli, w czasie wiosennych roztopów oblanej z obu stron wodą. Zdarzyło się pewnego razu, że Żyd z Izbicy, który dla interesów znalazł się w Dworzyskach, chciał zabrać się z gospodarzem jadącym furą do miasteczka. Zapytał grzecznie znajomego Jana, czy by go nie podwiózł. Jan z miejsca zwietrzył okazję do zrobienia kawału. We-soły woźnica natychmiast się zgodził, zastrzegając się przy tym poważnym i pełnym frasunku tonem, że niedawno pokąsał go wściekły pies i boi się, że sam zachoruje na wściekliznę. Czuje się na razie dobrze, ale nie wie kiedy go weźmie choroba. Chłop lojalnie daje do zrozumienia, że może się to stać w każdej chwili. Żyd wsiadł już podszyty strachem, ale wśród chłopów było wtedy powiedzenie, że ktoś jest jak Żyd na jazdę. Chęć darmowej podróży była silniejsza. Żelazne obręcze kół stukwały po kocich łbach, zagłuszając rozmowę. Wjechali na most na Wieprzu, za którym zaczynała się wąska grobla. Gdy ustał hałas jaki robiły koła po bruku, chłop warknął z cicha niby pies. Żyd natychmiast zląkł się i zapytał nieśmiało:

- Janie, czy już was bierze?

Chłop nic nie odpowiedział, stając się przez to jakby jeszcze bardziej nieprzewidywalnym. Gdy furmanka znalazła się na grobli oblanej wodą, chłop zaczął warczeć jak pies, całkiem wyraźnie i znacznie głośniejsze, ale tak jakby do siebie, trzymając lejce w dłoniach i patrząc na konia.

- Janie, czy już was bierze??? Czy już was może wzięło???

Żyd całkiem przestraszony pogryzieniem przez wściekłego chłopca, zapytywał go co i rusz o jego stan. Chciał chociaż jakie ludzkie słowo usłyszeć. Chłop doskonale czuł, że nie dając wyrazu, strasznie wzmacnia strach u swojego kompana podróży. Gdy znaleźli się w miejscu z obu stron oblanym wodą, facecjonista z udawaną pianą na ustach,

rzucił się ku Żydowi z wyszczerzonymi zębami, warcząc zajadle jak pies, z równie udawaną wściekłością. Starozakonny pasażer w panice skoczył z wozu prosto w wodę.

W okolicznych wsiach opowiadano sobie o tym wydarzeniu przez kilka dziesiątków lat.

Icek szklarz

Latyczów i Dworzyska dzieliła strefa wpływów żydowskich handlarzy i wędrownych rzemieślników. Do Dworzysk przychodzili oni z Izbicy, zaś do Latyczowa - z Krasnegostawu. Zdarzyło się to przed wojną, w Latyczowie. Przez wieś szedł z dużą tablicą na plecach Icek szklarz. Nowe szyby dźwigał na swoim grzbiecie, zgięty nieco pod ich ciężarem. Doszedł już do końca wsi, tej od strony Dworzysk i zawrócił w stronę Krasnegostawu. Wtedy kilku latyczowskich chłopców, wybiegło gdzieś z zabudowań ze skórą tchórza. Zaproponowali Żydowi jej zakup. Ten może nic dziś nie zarobił we wsi, dlatego kupił. Nie zdejmując wielkiej tablicy, założył sobie ową skórę do tyłu. Gdy był na środku wsi, znowu wybiegli mali chłopcy, oferujący zakup tchórzej skóry. Cena była może mniejsza niż poprzedniej, i Żyd ją kupił, zakładając ją po omacku gdzieś na tył tablicy. Tego dnia Icek miał wyraźnego farta w Latyczowie. Na końcu wsi znowu jacyś chłopcy na drodze oferowali mu równie śliczną, jak poprzednie, skórę z tchórza. No i jak tu nie kupić, skoro cena była taka, że to będzie dobry interes w Krasnymstawie. Tajemnica owych skórek wyszła na jaw w domu szklarza, a może w ogóle nie wyszła. Wtedy, gdy zdjął ciężką tablicę, zobaczył... jedną skórę. Czy pomyślał, że zgubił? Chyba nie. Na to był za mądry. Gdy kupił pierwszą i tak szedł przez Latyczów, chłopcy po cichu zakradali się pod dźwiganą tablicę, niezauważenie wyciągali skórę i znowu mu ją sprzedawali.

dr Leszek Janeczek



Zawstydka
rys. Benek Homziuk

Jan Henryk Cichosz



Ciepłe wiersze

Poetka Iwona Chudoba jest w magicznym wieku czterdziestu czterech lat, a tempo w jakim pisze i wydaje swoje tomiki (cztery na przestrzeni czterech ostatnich lat) zmusza do zadania pytania o sens tej poetyckiej gonitwy. Gonitwy pięknej, acz nie do końca zrozumiałej, albowiem po bardzo dobrym poprzednim tomiku *Oczy czasu*, z jakże twórczym posłowiem pióra Arkadiusza Sanna pt. *Dziewczynka z zapalkami*, obecny *Otulone alabastrem* jest poetycko mniej udany, co nie znaczy, że nie jest wart dogłębnej lektury.

Osobiście należę do grona tych czytelników poezji, którzy tomiki czytają od deski do deski w nadziei na znalezienie choćby jednego wiersza, nad którym należałoby się pochylić w sposób szczególny. A więc szukałem i znalazłem dwa takie wiersze: na stronie 37 *Drzwi* i na stronie 39 *Miłość*. Oba poetycko piękne i jakże szczere w swej wymowie. Oto jeden z nich:

Miłość

*mimo zalotnych oczu
trzyma się serca
wybranego*

*miłość bywa
uczucia ulegają
wierność
na zawsze*

*na białym obrusie
z kromką powszedniego
smakuje pysznie*

Na czwartej stronie okładki wydawca zamieścił informację o poetce i jej poezji, kończąc ją takim oto zdaniem: *Z jej utworów emanuje ciepłe, wypełnione troską uczucie świadczące o miłości autorki do bliźnich i samego życia*. Trudno się nie zgodzić z piszącym te słowa.

Jan Henryk Cichosz

Andrzej David Misiura


 Wspólnie smakujemy


Z zainteresowaniem śledzę twórczą drogę Iwony Chudoby, która na przestrzeni zaledwie kilku lat zdecydowała się wydać cztery książki poetyckie. Satysfakcji przysparza mi nie tylko krasnostawskie pochodzenie autorki, gdzie od lat można zaobserwować obfitość literackich poczyznań, ale i owocne doskonalenie poetki w trudnej pisarskiej sztuce. Wiersze zamieszczone w tomie *Otulone alabastrem* charakteryzują się zręcznym zapisem i dojrzałym warsztatem. Można w nich znaleźć ciekawe metafory w rodzaju: *wylęknione pokusy*, *studnia cielesności*, *sadzawki sekretów* czy chociażby *przesłodzone oczy*. Erotyki stały się bardziej wysmakowane i nietuzinkowe. Poszukiwanie nowych środków wyrazu zaowocowało też w sformułowaniach: *opłyniemy wilcze wyspy* (*Zabierz mnie*), *wstęgосkrzydłe chmury/ rozjeżdżały się pospiesznie* (*Pociągi*) i inne. Autorka nie mogła oprzeć się wszechobecnemu egzystencjalizmowi, ale udowadnia nam, że może myśleć i pisać również inaczej: *w muszlach/ ukryłam postanowienia/ które już się wyszumiały* (*Postanowienia*), albo *są ludzie/ którzy zarażają/ i wspólnie smakujemy* (*Z niesmakiem*). Wyodrębnia się też grupa ciekawych tekstów, w których można dostrzec społeczne zatroskanie: *pomysłowość/ w kotle/ mieszana bez aprobaty/ gotują się nowe czasy* (*Kociół*). Ten tomik warto przeczytać.

Andrzej David Misiura



Iwona Chudoba,
Otulone alabastrem,
 Wydawnictwo TAWA.
 Chełm 2011.

Marta Barbara Zorska


 Wojtkiem z Persji do Szkocji


Natknęli się na siebie w Iranie zupełnie przypadkiem. Grupa polskich żołnierzy podróżujących ciężarówką zatrzymała się na poboczu drogi, by odpocząć. Po krótkiej chwili pojawił się przy nich mały chłopiec, który, z trudem pokonując barierę językową, próbował sprzedać im tajemniczą zawartość jutowego worka, który niósł na plecach. Takie były początki niecodziennej historii wieloletniej przyjaźni niedźwiedzia oraz Polaków pozostających pod dowództwem generała Andersa.

Wydarzenie to miało miejsce w kwietniu 1942 roku. W worku, który trzymał chłopiec znajdował się mały niedźwiadek brunatny - najprawdopodobniej sierota, którego matkę zabili myśliwi. Za niewielką kwotę pieniężną, tabliczkę czekolady, szczyryk i konserwę, żołnierze odkupili misia. Zwierzaka nazwano Wojtkiem, a na jego opiekuna i „zastępczą mamę” wybrano jednego z nich, Piotra Prendysa. Tak oto dziki niedźwiedź stał się towarzyszem broni Polaków walczących w czasie II wojny światowej na Bliskim Wschodzie.

Mały miś bardzo szybko oswoił się i zadowolił w nowym środowisku, przynosząc swoim „ludzkim” przyjaciółom wiele radości, ale też i sprawiając nieraz sporo kłopotów. Autorka w zabawny sposób opisuje psoty niesfornego pupila, takie jak włamywanie się do polowej kuchni w poszukiwaniu niedźwiedzych przysmaków, straszenie kąpiących się w rzece miejscowych dziewcząt, czy też zamiłowanie misia do picia piwa i konsumpcji ...papierosów.

Nowość wydawnicza, jaką jest książka Aileen Orr „Niedźwiedź Wojtek. Niezwykły żołnierz armii Andersa” jest publikacją przeze mnie oczekiwaną i uważam, że bardzo potrzebną. Jej zapowiedź przeczytałam prawie dwa lata temu w polonijnej prasie brytyjskiej. I wreszcie, w tym roku, pojawiła się na naszym rynku księgarskim. Wydano ją w Polsce w 70. rocznicę urodzin Wojtka. Poprzez przedstawienie historii jego życia, autorka stara się uzupełnić wiedzę na temat trudnych i często gorzkich dziejów Polaków, których wojen-

na zawierucha rzuciła do Wielkiej Brytanii. W niezwykle ciekawy sposób naświetla życie codzienne w obozach dla weteranów utworzonych dla zdemobilizowanych żołnierzy polskich. Nie pomija też trudnych i kontrowersyjnych dla obu narodów tematów, takich jak nieudzielenie przez ówczesny rząd brytyjski pomocy dla walczących w powstaniu warszawskim, czy też mające miejsce od 1945 roku demonstracje ludności brytyjskiej pod hasłem „Odesłać Polaków do domu”. Interesujące jest także samo przedstawienie bolesnych i tragicznych faktów historii Polski z punktu widzenia rodowitych Brytyjczyków.

Wojtek, wraz z 2. Korpusem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie przeszedł szlak bojowy od Iranu po Szkocję. Był pełnoprawnym żołnierzem z numerem ewidencyjnym, w stopniu szeregowca, wchodzącym w skład personelu 22. Kompanii Zaopatrzenia, której zadaniem było udzielanie wsparcia oddziałom artylerii. Uczestniczył w bitwie pod Monte Cassino, gdzie, w czasie trwania krwawych walk, nieprzyuczany przez nikogo, przenosił ładunki do moździerzowych dział, pomagając w ten sposób współtowarzyszom w bitwie. Od tego czasu, by upamiętnić jego bohaterskie czyny, symbolem 22. Kompanii Zaopatrywania Artylerii 2. Korpusu gen. Andersa stał się wizerunek niedźwiedzia niosącego pocisk.

Po zakończeniu wojny, Wojtek wraz ze swymi towarzyszami broni trafił do Szkocji, do obozu w Winfield. Tam dzielił z Polakami radości i troski życia na obczyźnie. Jako bardzo towarzyski niedźwiedź, niezwykle szybko stał się powszechnie znany w całym miasteczku i okolicy, zwłaszcza, że zazwyczaj spacerował wszędzie, gdzie miał ochotę, bez żadnych ograniczeń.

W 1947 roku zamieszkał w zoo w Edynburgu. Tam przebywał do końca swoich dni. Zakończył życie w 1963 roku. Przez 17 lat był często odwiedzany przez swoich polskich i szkockich przyjaciół, którzy przynosili mu jego ulubione przysmaki, zawsze też reagował na polską mowę. Ten oswojony niedźwiedź był swojego rodzaju maskotką, ale też żywą legendą, która do zoo przyciągała tłumy odwiedzających.

Aileen Orr dotarła do ludzi, którzy pamiętają Wojtkę i byli naoczniymi świadkami jego bohaterskich czynów, ale też i wielu figli czynionych

przez misia. Historie i anegdoty o tym wyjątkowym niedźwiedziu są wciąż żywe i funkcjonują wśród lokalnej społeczności. Wojtek w ciężkich czasach powojennych, jak i obecnie przyczynia się do integracji polsko-szkockiej. Autorka jest orędowniczką zachowania pamięci o Wojtku, a przez to także i o wielce zasłużonych dla historii Wielkiej Brytanii i całej Europy Polakach, poprzez założenie fundacji mającej na celu ufundowanie pomnika i jego ekspozycję w Edynburgu, a w późniejszym czasie być może pod Monte Cassino i w jednym z polskich miast.

Opowieść o Wojtku bawi, poucza, wprowadza w zadumę i pozwala spojrzeć na dzieje II wojny światowej z trochę innej, równie ciekawej perspektywy. Zapraszam do wędrówki z Wojtkiem z Persji do Szkocji.

Marta Barbara Zorska



Aileen Orr,
Niedźwiedź Wojtek.
Niezwykły żołnierz
Armii Andersa,
Wydawnictwo Replika,
Zakrzewo 2011.



Justyna Ślusarczyk, Krasnystaw
justinaslusarczyk@interia.pl tel. 609 653 211

Magdalena Górecka



Afera słoikowa i znikający denat, czyli przepis na postmodernistyczny kryminał retro

W małym miasteczku w czasach II Rzeczypospolitej dwaj młodzi detektywi otrzymują pierwsze poważne zlecenie. Muszą odkryć tożsamość pewnej tajemniczej damy, w której zakochał się ich klient, wpływowy przedsiębiorca. W międzyczasie, w okolicy dochodzi do zagadkowego morderstwa, a ciało denata znika w niewyjaśnionych okolicznościach. Zaintrygowani bohaterowie, nie rezygnując z powierzonego im wcześniej zadania, przyłączają się do policyjnego śledztwa. Wkrótce obie sprawy okażą się bardziej skomplikowane niż zakładali, a seria dziwnych zdarzeń każe im zwątpić w moc logicznej dedukcji.

Krymina autorstwa Marka Sieprawsiego to na pozór zwykła powieść detektywistyczna utrzymana w modnej dziś konwencji kryminału retro. Jednakże już po kilku stronach nietrudno się domyślić, iż tak naprawdę mamy do czynienia z postmodernistyczną zgrywą.

Świat w utworze jest światem sztucznym, spreparowanym z różnych, niepasujących do siebie elementów. Historyczny klimat tworzą panowie w surdutach, ekscentryczny hrabia, bogaty przemysławiec, pierwsze automobile czy żydowska karczma - stereotypowy sztafaż epoki. Zaburzają ten porządek wzmianki o esemesach, kablówce i telewizorze plazmowym wprowadzone na zasadzie „twórczego anachronizmu”. W konwencję kryminału wkradają się wątki nadprzyrodzone i romansowe, króluje czarny humor, a nad całym tym bigosem unoszą się opary absurdu. Wszystkie postacie są przerysowane i komiczne, czy to nierozgarnięci stróże prawa, czy jeden z detektywów w roli romantycznego kochanka porywającego ukochaną z grobu. Główną oś fabuły staje się morderstwo dokonane za pomocą słoika z powidłami, i problem ze znikającym denatem, który co chwilę pojawia się w najmniej oczekiwanych miejscach. Nic w tej historii nie trzyma się kupy, toteż trudno spodziewać się jakiegokolwiek rozwiązania.

Wszystkie wątki pierwszej części utworu pozostają otwarte.

Druga odsłona, zamiast odpowiedzi przynosi jeszcze większe komplikacje. Przenosimy się bowiem do współczesności, do surrealistycznej kamienicy, w której liczba pięter zależy od sposobu patrzenia, a piwnice na stałe okupują menele - zdegenerowane istoty, mutanty rodem z horroru, które terroryzują mieszkańców. Główny bohater, który odwiedza tu swego wuja, zdaje się być tożsamy z postacią denata z pierwszej części utworu. Nieszczęśnik musi zmierzyć się z podziemnymi potworami oraz mafią handlującą narkotykami w słoikach. Zostaje oskarżony o zabójstwo wuja (który zresztą ożywa) i odnajduje dawną miłość, a na koniec trafia do mieszkania dwóch przedwojennych detektywów...

W tej rzeczywistości nie obowiązują żadne zasady: granice między wymiarami są płynne i przekraczalne, bohaterowie umierają i ożywają, ich tożsamość jest niepewna i zmienna. Klimat drugiej części utworu oraz charakterystyczne zapełnienie fabuły przywodzi na myśl atmosferę filmów Davida Lyncha. Nazwisko reżysera pojawia się zresztą na kartach powieści, podkreślając i tak wyraźną aluzję.

Jak w każdej powieści postmodernistycznej, świat w *Kryminie* pozbawiony jest ontologicznego ugruntowania. Nie odzwierciedla rzeczywistości, ani nie przywołuje konkretnej przeszłości. Jest wynikiem literackiej gry i tworem nieskrępowanej wyobraźni, a także zamierzonym pstryczkiem w nos dla czytelnika przyzwyczajonego do prostych rozwiązań.

Magdalena Górecka



Marek Sieprawski, *Krymina*,
Wyd. Lampa i Iskra Boża,
Warszawa 2010, ss. 240.

Jan Henryk Cichosz

Matka Boska Krasnostawska



W najnowszym numerze kwartalnika „Akcent” (2/124/2011) na stronach 80-81 są moje wiersze, w tym jeden zatytułowany *Matka Boska Krasnostawska*:

*Matka Boska Krasnostawska chodzi w mini
i z pępkiem na wierzchu, nie okręca
chustką głowy jak wiejska baba. Kupuje tanie
pieczywo i ciuchy w szmateksach. Nie umie być pierwszą,
ani ostatnią. Na przekór sobie i obrazkom świętym
maluje brwi, rzęsy, włosy i usta. I zwraca kijem
wodę w Wieprzu. Matkę Boską Krasnostawską, której
tak naprawdę nie ma, można spotkać
zawsze przed pierwszym, jak wdowi grosz, jak
nadzieję, która się nigdy nie kończy...*

Ten wiersz napisałem 1 lipca 2008 roku, lecz mi jakoś nie pasował do mojego tomiku „In blanco”. Może był za słaby? Lecz gdy „Akcent” zaproponował mi publikację moich wierszy, zamieściłem go, albowiem nie chciałem dawać moich najnowszych wierszy, które mam zamiar opublikować w jednym z warszawskich wydawnictw.

Dlaczego o tym piszę? Otóż po prezentacji „Akcentu”, która odbyła się 5 lipca 2011 roku w Studiu im. Zbigniewa Stepka w Radiu Lublin, 15 lipca w Powiatowej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie miała miejsce promocja 16. numeru „Nestora”. Podczas tej promocji, obok mnie siedział Zbyszek Atras, który zamieścił w tym numerze artykuł *Śladami krasnostawskich bonifratrów, czyli zapiski z wyprawy do Hańska*. Będąc wówczas bez okularów, nie byłem w stanie odczytać tego wszystkiego, co było zawarte w tym „Nestorze”. Gdybym od razu wczytał się, to zamiast wówczas głądzić o Grupie Literackiej „Słowo” powiedziałbym o moim wierszu i artykule Zbyszka Atrasa.

W polu głównym - pisze Zbigniew Atras - ołtarza lewego umieszczony jest obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, wzoru piekarskiego, z pierwszej połowy XVIII wieku z rytym i malowanym srebrem i złotem tłem i sukienką, oraz nałożonymi niegdyś,

metalowymi, srebrzonymi i złożonymi koronami z tegoż czasu. Koronowany obraz Matki Boskiej jest chyba najcenniejszą pamiątką po krasnostawskich bonifratrach [...] Nie znamy przekazów o jego cudownym działaniu, ale umieszczone niegdyś, wspomniane już połączone korony świadczą o jego uznanej randze, a być może nawet o tym, że kiedyś obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem był uroczystie koronowany w naszym mieście. Dlatego powinien nam być bliski i wzorem Zamościa czy też Wilna mamy prawo uważać go za Krasnostawską Matkę Boską Bonifratrów.

Jednym słowem, poeta Jan Henryk Cichosz „narozrabiał” jak przysłowiowy zając w kapuscie. Dlatego też, pokornie padając na kolana przed tym obrazem i pochylając głowę przed moich kolegą ze szkolnej ławki (Zbyszkim Atrasem), proszę o wybaczenie za popełniony w uniesieniu twórczym wiersz.

Jan Henryk Cichosz

Stanisław Ostapowicz

* * *

Nocą nad głową moją wisi
z dyszlem skrzywionym Wielki Wóz,
i tylko świerszcze słychać w ciszy,
i czasem szepc milczących ust.

Gdzieś tam pod niebem wiecznie młoda
w perwersji miłej Venus drga.
W obejściu ojca tonie w modłach
wiąz trzymający od lat straż.

Po Mlecznej Drodze dzikie gęsi
śród nocy płyną niewidzialne.
Ich gęgot w nieba dał się niesie,
jak z ust milczących słowa psalmu.

Stara zagroda

Mchem się pokryła strzechy słoma
i łańcuch studni zżera rdza.
Jakby wstydliwie, po kryjomu
wysycha bujny dawniej sad.



Stodoła wrosła w ziemi miąższ,
pleśń się panoszy - zbójnik szary.
Tylko na starym wiaźe wciąż
szpaki z wróblami wiodą swary.

Już się rozwala ta stodoła,
ze stajni wiatr już zrywa gonty.
I cisza tu, i jest w niej zgola
coś z martwej grozy i coś z klątwy.

Zmierch siadł na pomarszczone twarze,
w oku już tylko cienie barw...
Przed chatą jak zgarbiony karzeł
zmruszały światek tkwi wśród malw.

Kwitnienie zbóż

Kwitnienie zbóż ma zapach
gór, na których żywiczają świerki,
dzikiej czeremchy w dzikich lasach
- rozsadzający piersi.

Kwitnienie zbóż ma kolor

słońca, kiedy nad światem ślęczy,
wiosny, gdy się mozoli
kwitnienie - kolor tęczy.

Odwiedziny

...już mnie witają: zbutwiała brama,
jabłonie, przy studni wciąż pogięte wiadro.
I oto ojciec, i wzruszona mama
- syn to, czy może szczęście z nieba spadło?

Całe obejście w przedziwnym mozole,
prychają konie, krowa do ogrodu wzięła.
A wiaź wciąż zadumany przy starej stodole,
a ptaki kwilią w gniazdach...

Międzyrzec Podlaski - Łódź

Stanisław Ostapowicz (1932-2004) - nauczyciel, wykładowca, kierownik biblioteki, poeta, tłumacz, reżyser, działacz społeczny, rodem z Międzyrzecza Podlaskiego.

Artur Borzęcki

Historia rysunkiem i „dymkiem” pisana



W ostatnich latach jednym z najciekawszych nurtów w polskim komiksiarstwie stał się komiks historyczny. Początkowo pozostawał domeną niszowych wydawnictw, ale stopniowo w jego rozwój włączyły się także poważne instytucje, takie jak Muzeum Powstania Warszawskiego czy Instytut Pamięci Narodowej. Forma przekazu, jaką jest komiks, a więc jeden z podstawowych gatunków kultury masowej, stanowi dobry sposób mówienia o historii i ludziach, którzy dokonali czegoś ciekawego lub bohaterskiego. Dlatego też komiksy historyczne powstają głównie z myślą o młodych ludziach, którzy chętniej sięgają po komiks, niż np. po podręcznik historyczny. Ponadto dobry komiks ma zaciekawić odbiorcę, być może do tego stopnia, że ten, chcąc pogłębić wiedzę, w następnej kolejności sięgnie także po np. obszerniejsze, naukowe opracowanie. Wspomniany IPN wydał w 2010 r. komiks pt. *Wyzwolenie? 1945* napisany wg scenariusza Sławomira Zajączkowskiego i opatrzone czarno-białymi rysunkami Krzysztofa Wyrzykowskiego. Publikacja ta jest tym bardziej godna uwagi, że personalnie dotyczy ziemi krasnostawskiej, ponieważ jednym z bohaterów jest pochodzący z Krupego Franciszek Przysiężniak ps. „Ojciec Jan”.

Komiks opowiada o ludziach, którzy nie złożyli broni po wkroczeniu na terytorium Polski Armii Czerwonej, nie zgodzili się na budowę nowego ładu, licząc na wolne wybory i zbrojny konflikt Zachodu z ZSRR. Podjęli nierówną walkę z siłami NKWD i organizowanym aparatem bezpieczeństwa, a ich wysiłek i ofiara zostały zdezawuowane i zepchnięte przez propagandę na margines historii lub wręcz w niebyt. Komiks składa się z trzech rozdziałów zatytułowanych od miejsc stoczonych partyzanckich bitew: „Kuryłówka”, „Grajewo” i „Las Stocki”.

Nas najbardziej zainteresować powinien pierwszy rozdział pt. „Kuryłówka”, na który składa się kilka epizodów z życia wspomnianego Franciszka Przysiężniaka ps. „Ojciec Jan”, jego ślub

z Janiną Oleszkiewicz „Jagą” we wsi Graba i atak Niemców, udział Przysiężniaka w bitwie na Porytowym Wzgórzu, śmierć ciężarnej żony Janiny z rąk UB, współpracę z „Wołyniakiem” i wreszcie kulminacyjną bitwę pod Kuryłówką na Rzeszowszczyźnie. W drugiej części komiksu mamy przedstawiony udany atak na Grajewo na Podlasiu, którego dokonał Jan Tabortowski „Bruzda” w nocy z 8 na 9 maja 1945 r. Z kolei część trzecia opowiada o rozbiciu przez 200-osobowy oddział „Orlika” grupy operacyjnej składającej się z żołnierzy NKWD i funkcjonariuszy UB w liczbie blisko 700 osób, co miało miejsce 24 maja 1945 r. w Lesie Stockim na Lubelszczyźnie.



Właściwą część komiksu uzupełnia wkładka historyczna (konsultacja - Kazimierz Krajewski i dr Tomasz Łabuszewski) zawierająca wstęp do sytuacji społeczno-politycznej powojennej Polski, a także biogramy dowódców polowych: Mariana Bernaciaka „Orlik”, „Dymek” (1917-1946); Franciszka Przysiężniaka „Ojciec Jan” (1909-1975); Józefa

Zadzierskiego „Wołyniak”, „Zawisza” (1923-1946) i Jana Tabortowskiego „Bruzda” (1906-1954). Ponadto znajdziemy tam kalendarium ważniejszych akcji polskiego podziemia niepodległościowego w latach 1944-1945 oraz charakterystykę i zdjęcia broni używanej w walce przez obie strony. Całość recenzowana jest przez dra Sławomira Poleszaka, naczelnika Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Lublinie.

W tym miejscu warto wspomnieć, że 18 czerwca 2011 r. w warszawskim Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” przy ul. Marszałkowskiej odbył się I Festiwal Komiksu Historycznego. Festiwal został pomyślany jako impreza mająca na celu prezentację wciąż mało znanego w Polsce medium kultury popularnej, jakim jest komiks historyczny. Z myślą o młodzieży organizowane tam były m.in. zajęcia rysunkowe w formie warsztatów, a fani rysunków mogli zdobyć autografy twórców, także *Wyzwolenie? 1945*.

Artur Borzęcki



Sławomir Zajączkowski,
Krzysztof Wyrzykowski,
Wyzwolenie? 1945,
Instytut Pamięci
Narodowej, Warszawa
2010, ss. 82.

Niepubliczny Zakład Opieki Zdrowotnej
Grażyna Brych-Pietraś
22-315 Gorzków
ul. Nadrzeczna 1
tel. (84) 68 38 687

Zbigniew Masternak

Utopence



Na 46. Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Karlowych Warach, gdzie prezentowany był film „Księstwo” na podstawie moich powieści, wybrałem się z żoną autokarem - przez Warszawę i Pragę. Czechy powitały mnie już w Złotych Tarasach - spotkałem Mariusza Szczygła. Zaprosił mnie kiedyś do dyskusji po premierze dokumentu „Czekając na sobotę” o młodzieży wiejskiej, której się w życiu nie udało. Ja robiłem za wieśniaka sukcesu. Wypytywałem go o Karlowe Wary i okolice. I o Pragę, bo wracając zamierzałem zabawić w stolicy. W pobliżu Karlowych Warów polecił mi miasteczko Loket ze średniowiecznym zamkiem, a w Pradze - kielbaski na gorąco w dzielnicy Žižkov. Niech pan poprosi *chuji na vodě*, to bardzo popularne danie.

Na dworcu Florenc w Pradze czekało na nas audi A6 z szoferem. Zaprzyjaźniliśmy się, bo miał synka w wieku mojego Wiktorka i także kibicował Pardubicom w hokeju na lodzie. W zamian za „Księstwo. Trylogię młodzieńczą” miał być do naszej dyspozycji przez całą imprezę.

Kurort powitał nas deszczem, podobno rzadkim podczas festiwalu. Kiedykolwiek wybierzemy się z Renią na wakacje, przywozimy ze sobą niepogodę.

W hotelu Olimpia czekał Rafał Zawierucha, z którym z oszczędności mieliśmy dzielić pokój (ale nie żonę!). Był już nieźle rozeznanym w tutejszych realiach, bo przyjechał dzień wcześniej. Poszliśmy z Renią spać, a Zawierucha na jakąś małą imprezę. Wrócił o północy i wyciągnął mnie do Grand Hotelu PUPP. Chciał mnie poznać Zdenek Belohlavek, który miał pisać o „Potomku knižat” (czeski tytuł filmu). Pijąc dobre wino na koszt Dalekich Azjatów, krytyk mówił, że bohater „Księstwa” to taki Eugeniusz Oniegin trzeciego tysiąclecia. Padły porównania z kinem moralnego niepokoju, ale o rozszerzonym społecznym tle. To wszystko napisał następnego dnia w „Festivalovym deniku”. Wróciłem do hotelu bez Zawieruchy.

Przy śniadaniu producentka Małgorzata Jurczak zapytała, jak się mieszka z Rafałem, bo chyba wczoraj poszedł w tango (to raczej była samba - sprowadził do pokoju Brazylijkę). Zażądałem przenosin. Ponieważ wszystko w mieście było zajęte, z ulgą prze-

nieśliśmy się do przytulnego pensjonatu w miasteczku Loket. Wreszcie mogliśmy zacząć żyć imprezą i Karłowymi Warami. To, co uderzyło mnie najbardziej, to niesamowita przychylność ludzi. Młodych ludzi. Z całego świata. Oblegali centrum festiwalowe w hotelu Thermal, śpiąc nawet na trawnikach. Zresztą, całe miasto żyło imprezą - w odróżnieniu od Gdyni. Kiedy wybrałem się na poranny spacer, wszyscy w kawiarniach czytali festiwalową gazetę z recenzją „Potomka knižat”.

4 lipca o 17.00 mieliśmy oficjalną premierę filmu. Czerwony dywan, te sprawy. Przywitały nas tłumy wiwatujących ludzi. Prowadzący wyczytywał nasze nazwiska poczynając od reżysera. Ja byłem trzeci z kolei, to niezły wynik dla pisarza, zwykle autorzy literackiego pierwowzoru mogą sobie takie imprezy pooglądać w TV.

O 19.30 odbył się Polish Cocktail. Poznałem wielu aktorów, reżyserów, producentów i dziennikarzy z całego świata - wszyscy pytali o autentyczność tej historii. Wyjaśniłem, że to prawda w 95%, co wielu zaszokowało. Emilia Kincelová ze słowackiej „Prawdy” stwierdziła potem, że jeszcze nie widziała bardziej pesymistycznego filmu. Podobnie napisała Barbara Hollender w „Rzeczpospolitej” - „Księstwo” to bolesna prawda o wsi - ani realizm magiczny Kolskiego, ani komedijki Bromskiego. W Warszawie takiej wsi nie znają. I w Gdyni też nie.

Reżyser zbierał należne pochwały, jego żona brylowała w towarzystwie. A mnie spotkało upokorzenie. Oczywiście, dzięki Polakowi. Przywołał mnie paluchem, jak belfer w szkole, dyrektor polskiego Instytutu Kultury w Pradze. Film bardzo mu się nie podobał. Próbował zablokować jego udział w festiwalu, nie zdołał. Bo źle pokazuje Polskę. Wściekły, mówił, że są przecież inne piękne polskie filmy. Jak „Ojciec Mateusz”. Zapomniał, że to przecież serial i w dodatku kalka z włoskiej produkcji. Czuję się jak na dywaniku u dyrektora szkoły po napisaniu czegoś wulgarного na ścianie w szkole. W końcu się okazało, że nie lubi „Księstwa”, bo został tu pokazany Bodzentyn i okolice, gdzie on ma rodzinę i spędził dzieciństwo.

Następnego dnia w Pradze obfotografowaliśmy Hradczany i parę mostów. Poszliśmy do lokalu poleconego przez Szczygła. Zapytałem, czy są *chuji na vodě*, a kelner się wściekł. Kielbaski z wody to są utopence.

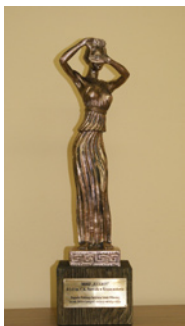
Zbigniew Masternak

Ewa Magdziarz

Nagroda Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej za rok 2010 dla MDKF „Iluzjon”



Uroczysta Gala wręczenia Nagród PISF w 13 kategoriach odbyła się 6 czerwca w czasie otwarcia 36. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Nominacje do nagród zostały wręczone w Muzeum Miasta Gdyni na kilka godzin przed uroczystością w Teatrze Muzycznym. Dyrektor PISF, Agnieszka Odorowicz gratulowała nominowanym i dziękowała za przybycie na tak ważne wydarzenie filmowe, jakim jest Festiwal Polskich Filmów Fabularnych. Kondycja polskiego kina zależy przecież nie tylko od twórców filmowych, ale także od tych, którzy ten film promują. Agnieszka Odorowicz podkreślała, że PISF wraz z kapitułą nagrody nominował i nagrodził w 13 kategoriach te przedsięwzięcia, inicjatywy i wydarzenia, które w 2010 roku w istotny sposób wpłynęły na promocję sztuki filmowej.



W kategorii „Edukacja młodego widza” nominację otrzymali: „Animacja dla każdego” prowadzona przez Studio Miniatur Filmowych, Młodzieżowy DKF „Iluzjon” działający przy II LO im. C. K. Norwida w Krasnymstawie i Krasnostawskim Domu Kultury, Edukacja filmowa w kinie Rejs w Słupsku i Nowe Horyzonty Edukacji Filmowej.



Przypomnę, że kategorie, w których przyznawano nagrody to: kino, międzynarodowe wydarzenie filmowe, krajowe wydarzenie filmowe, promocja za granicą, dystrybucja polskiego filmu, dystrybucja filmu zagranicznego, krytyka filmowa, audycja radiowa lub program telewizyjny, portal internetowy, książka o filmie, edukacja młodego widza, dyskusyjny klub filmowy i rekonstrukcja cyfrowa dzieł polskiej kinematografii.

W czasie uroczystości otwarcia festiwalu laureaci otrzymali nagrody od wybitnych twórców związanych z X Muzą. Mnie przypadł zaszczyt odebrania tego prestiżowego wyróżnienia z rąk Grażyny Szapołowskiej i Andrzeja Wajdy. To oni wręczyli nagrodę w kategorii „Edukacja młodego widza”. Andrzej Wajda w swoim wystąpieniu podkreślał znaczenie edukacji filmowej, która łączy pokolenia i wpływa na rozwój sztuki filmowej. W tej szczególnej chwili dziękowałam tym wszystkim, którzy docenili działalność MDKF-u i przyczynili się do przyznania Nagrody „Iluzjonowi”, a więc podziękować należy przede wszystkim Kapitułę nagrody. Podkreślałam znaczenie osób i instytucji, dzięki którym MDKF rozwija się i funkcjonuje nie tylko w świadomości lokalnej społeczności. Przypominałam, że pomysłodawcą tego przedsięwzięcia był dyrektor II LO Edward Kawęcki. Od 2000 roku działania MDKF-u wspiera Piotr Kotowski wiceprzewodniczący PF DKF. Dzięki dofinansowaniu

klubu przez PISF od 2006 r. edukacja młodego widza nabrała innego wymiaru, dlatego szczególnie podziękowania skierowane zostały pod adresem dyrektora Agnieszki Odorowicz. Na poziom przedsięwzięć MDKF-u istotny wpływ mają twórcy filmowi, którzy chętnie przyjeżdżają do Krasnegostawu, a także młodzież biorąca udział w różnorodnych projektach „Iluzjonu”. Należy podkreślić, że nagroda Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej to także kwota pieniężna w wysokości 15 000 zł. Otrzymanie tak znaczącego dofinansowania to wielkie wyróżnienie, ale także zobowiązanie, aby jak najlepiej wykorzystać przyznane pieniądze na edukację filmową młodego widza prowadzoną przez MDKF.



Należy także podkreślić, że przez lata wielu życzliwych ludzi interesowało się dokonaniem MDKF-u i doceniało rolę, jaką „Iluzjon” wypełnia w zakresie edukacji filmowej. Do grona tych osób należy niewątpliwie Marta Kosnowska z Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, która szczególnie interesowała się naszą działalnością i zachęcała mnie, aby zgłosić „Iluzjon” do Nagrody PISF. Anna Rogowska-Sienkiewicz, kierownik Działu Upowszechniania Kultury Filmowej i Promocji PISF, odwiedziła MDKF z ekipą filmową w 2009 r. Promowanie edukacji filmowej w gimnazjach przez „Iluzjon” spotkało się z dużym zainteresowaniem Anny Majewskiej, koordynatorki programów edukacji kulturalnej Fundacji Centrum Edukacji Obywatelskiej, zajmującej się m.in. projektem PISF Filmoteka Szkolna. „Iluzjon” jest doskonale znany także przewodniczącemu PF DKF Maciejowi Gilowi, który był członkiem kapituły nagród PISF. MDKF jest znany wielu DKF-om w Polsce, stał się swego rodzaju rozpoznawalną marką, a nagroda

PISF wręczona na festiwalu w Gdyni tylko ten pozytywny wizerunek wzmocni.



Na 36. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych do Gdyni zjechali najwybitniejsi twórcy polskiego kina. FPFF to projekcje filmów w ramach konkursu głównego, konkursu młodego widza, panorama polskiego kina i różnego rodzaju imprezy towarzyszące. W czasie festiwalu można było obejrzeć m.in. filmy konkursu głównego: „Czarny Czwartek. Janek Wiśniewski padł” w reż. Antoniego Krauzego, „Essential Killing” Jerzego Skolimowskiego, „Kret” w reż. Rafała Lewandowskiego czy „Młyn i krzyż” Lecha Majewskiego. Ciekawe imprezy towarzyszące to np. konferencja Szkoły Andrzeja Wajdy, wernisaż wystawy „Andrzej Wajda i przyjaciele. Fotografie Piotra Bujnowicza”, „Jak to się robi?” - prezentacja techniczna filmu „Młyn i krzyż”, anatomia sceny - Andrzej Wajda i Janusz Morgenstern „Popiół i diament”, międzynarodowe sympozjum „Kieślowski i jego uczniowie” czy wernisaż wystawy „Dekalog Krzysztofa Kieślowskiego”. W spotkaniach poświęconych wybitnemu reżyserowi uczestniczyła wdowa po nim, Maria Kieślowska.

36. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych to prawdziwe święto polskiego kina. Dzięki zaangażowaniu wielu organizatorów m.in. Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej czy Stowarzyszenia Filmowców Polskich festiwal jest wyjątkowym wydarzeniem filmowym, w którym swój udział miał w tym roku także Młodzieżowy Dyskusyjny Klub Filmowy „Iluzjon”.

*Ewa Magdziarz
- opiekun MDKF „Iluzjon”*

Zbigniew Masternak

„12. LAF minęła”



O Piotrze Kotowskim usłyszałem, popijając piwo w klubie studenckim „Chatka Żaka” w 1999 roku, kiedy byłem studentem wydziału prawa UMCS w Lublinie. Szefował prężnie działającemu w „Chatce” DKF-owi, cieszył się opinią filmowego zapaleńca. A ja właśnie napisałem swoje pierwsze w życiu opowiadanie, z którego byłem w miarę zadowolony - „Ki diabeł?”, które potem przeszło do powieści „Niech żyje wolność”. To opowiadanie pierwotnie było scenariuszem etudy filmowej. Miałem wtedy jeszcze dość naiwne wyobrażenie o kinematografii - pomyślałem, że zaniósę scenariusz do Kotowskiego i zaproponuję, żebyśmy to sfilmowali. Szef DKF-u popatrzył na mnie jak na wariata - w DKF-ach o filmach się dyskutuje, a nie zajmuje ich produkcją. I nasze drogi się rozeszły. Kotowski był zajęty przygotowaniem pierwszej edycji Letniej Akademii Filmowej w Zwierzyńcu. Nie wierzyłem, że mu się uda.

Minęło 12 lat i zaprosił mnie na jej XII edycję - do Zwierzyńca przyjechałem z moim pierwszym pełnometrażowym filmem „Księstwo”. W zasadzie - filmem Barańskiego, ale na bazie mojej prozy. Opowiadanie, które chciałem kiedyś nakręcić, zostało sfilmowane w „Księstwie” przez Barańskiego. Zastanawiałem się, czy Kotowski to zauważy. Zauważył - podszedł do mnie po pokazie filmu i wspominaliśmy wydarzenia sprzed 12 lat.

Podczas pokazu „Księstwa” sala była wypełniona po brzegi. Rozpoznałem wiele twarzy - to stali bywalcy festiwali w Gdyni, Sandomierzu, Kazimierzu Dolnym. Koneserzy kina. Ekipę filmu reprezentowałem ja i Zbyszek II, czyli Rafał Zawierucha. Po pokazie na widowni zostało ¼ widzów. „Księstwo” poruszyło ludzi. Większości film się podobał - ktoś stwierdził, że to taka polska prowincja w pigule, ktoś wyraził zdziwienie, że film został przemilczany w Gdyni. Na koniec trafił się też głos krytyczny. Chodziło o ostatnią scenę - że jest nieprawdziwa, bo kałasznikow inaczej strzela i to błąd. Ja na to, że nie znam się na broni. I dodaję, że u mnie takiej sceny nie ma w książ-

ce - główny bohater nie ginie, ktoś mu tylko grozi bronią. Przecież to proste - nie mógłbym uśmiercić głównego bohatera już w pierwszej książce, skoro zaplanowałem wielotomowy cykl. Problemów, jakie stwarza ostatnia scena, jest znacznie więcej. Na przykład w Kazimierzu Dolnym przyczepił się do niej Grzegorz Królikiewicz. Że zbyt jawnie nawiązuje do „Popiołu i diamentu”. A o tym nawet nie pomyślałem. Profesor „Królik” na to, że najwidoczniej muszę się jeszcze doedukować. I z powrotem odesłał mnie do szkoły scenariuszowej, gdzie mnie kiedyś uczył.

Na sali obecna reprezentacja moich kolegów z BKS Roztocze Krasnobród. Gramy razem w piłkę błotną. Niedawno odkryłem Roztocze - nie dzięki filmom, a piłce nożnej. W czerwcu miałem spotkanie autorskie w Krasnobrodzie. Dowiedziałem się, że powstaje tam klub piłki błotnej - BKS Roztocze Krasnobród. Zacząłem tutaj przyjeżdżać na mecze - w każdą niedzielę. Dość szybko zostałem najlepszym strzelcem drużyny - w 5 meczach zdobyłem 14 goli. Niedawno odbyła się tam ciekawa impreza - rekonstrukcja meczu „na wodzie” z 1974 roku, Polska - Niemcy. Tym razem wygrała Polska 8:3, a ja zdobyłem 5 goli. To fajne uczucie - w wieku 33 lat zagrać wreszcie w reprezentacyjnym trykocie. Z meczu został nagrany film promocyjny pod kątem Euro 2012. Ważne, że film i piłka nożna ciągle się u mnie przeplatają. Jeden z kolegów z boiska zapytał, czy udało mi się w końcu znaleźć harmonię ciała i umysłu, o której tyle mówi się w filmie. Odpowiedziałem, że to chyba właśnie się dzieje. Dowód? Może nieco przyziemny, ale znaczący. Tego samego dnia „Gazeta Zamojska” w artykule „Bo zabrakło błota” opisała mnie jako utalentowanego piłkarza, a z kolei w gazetce festiwalowej „Zwierzyniec Filmowy” ukazał się artykuł o mnie i o „Księstwie” - „Koniec z sielankami”. Zatem constans pomiędzy piłką nożną a literaturą i filmem. Stan raczej chwilowy, ale ważne, że udało się go wreszcie osiągnąć.

W Zwierzyńcu spędziłem jeszcze parę dni. Dobrze, że zabrałem ze sobą żonę i czteroletniego synka - okazało się, że LAF to festiwal rodzinny. Wśród widzów dominowały pary, w wieku między dwadzieścia kilka a trzydzieści kilka lat - pewnie dzieciaki zostawili w czymś w rodzaju festiwalowego przedszkola, które uważam za świetny pomysł

dla rodziców, chcących wspólnie wyskoczyć do kina. W tym przedszkolu maluchy także mają filmy do oglądania. Wiktorrek obejrzał z uwagą „Hotel dla psów”, wybierał się też na „Dawno temu w trawie” oraz „Auta 2”. Spytałem, co najbardziej mu się w Zwierzyńcu podobało, a on na to, że filmy. Mamy zatem edukację filmową przyszłych pokoleń.



Rzadko kiedy jakaś impreza artystyczna tak bardzo odciska swoje piętno na miejscu, w którym się odbywa, jak Letnia Akademia Filmowa w Zwierzyńcu. Przez 12 lat festiwal zmienił miasto i to znacząco. Rozbudowała się baza noclegowa, miasto jest zadbane, więcej ludzi ma pracę, no i rozwinęła się turystyka. Sztuka zrobiła coś dla ludzi. To wszystko dzięki Piotrowi Kotowskiemu, w którego kiedyś nie wierzyłem.

Jedyne, co mnie rozczarowało, to fakt, że w Zwierzyńcu nie ma zoo. Bo ja naiwnie sądziłem, że skoro „zwierzyniec” to musi być zoo. A najbliższe znajduje się w Zamościu i w dodatku jest w remoncie.

Zbigniew Masternak



*Jednooki
rys. Benek Homziuk*

Cassian Maria Spiridon

Kredowa pastel - Pastel alb

wiosenne piersi
wysunęły pączki
jakież młode
nawet nie muśnięte
zimnymi ustami i łzami
czy zostanie coś jeszcze
na rzeczce bystrej
ze szczęśliwego opięcia liściem
na kryształach
oczu
i ciszy

biała
świeca mojego czoła
podąża za księżycem
szary cichoszelest
przecinają krople deszczu
rzadkie i obojętne
w zwierciadle
wiecznego

czasu

Pocieszam się... - Mă bucur...

pierwszy jestem
spłonką przy naboju
szczęśliwszy
od nocnej gwiazdy
zamknięty
w pewności ciała
kłamstwu
oddany kompletnie
pocieszam się

pierwszy jestem
spłonką przy naboju
dalece ognisty
daleki od zmazy
daleko zaczerniony
uzależniony
dziejami i myślą człowieczą
związany
jak liść życzliwością
drzewa
pocieszam się

zwerbowany
 w nieprzerwany kordon grzechu
 pełen zachwytu
 pożerany
 chorym pyskiem życia
 niczym zwierzak
 w gardzieli pytona

 dokąd
 będę częścią kuli
 pocieszam się

Człowiek wiszący - Omul atârând

Liczy
 palce swoje
 dzieli
 cienkie włosy
 rozlicza
 fragment życia
 który się kołysze
 kalkuluje
 odporność łańcucha
 na rozdzieranie
 zbyt cienki
 wobec mięśni i kości
 swojego ciała
 pozbawia sił
 a w ustach nadziei

 człowiek wiszący
 bierze na siebie
 egzystencję swoją
 przez wszystkie dzieje
 jak zawsze
 absolutnie nieznaczne
 przebija
 zawiesiste powietrze
 szyderstwa
 gdzie słowo nie ma już
 wzięcia
 i nie ma
 znaczenia

 opuszczony przez głos
 człowiek
 rozdziela
 siebie

*Cassian Maria Spiridon „Arta nostalgiei”
 Cartea Românească 1997*

Skurczona twarz - Gura încleștată

śmierć
 też się na coś przyda
 kiedy
 wczesnym rankiem
 zmoknięty do nitki
 nękany walkami
 z aniołem spustoszyicielem
 ośmielę się
 stawić czoło
 realiom
 i podnieść wzrok
 na
 sznur powieszzonego

Testament tymczasowy - Testament provi- zoriu

zostawiam
 pamięci prawo do zapominania

 o pocałunkach
 twoich
 tylko po jednym w roku

 każde zapomnienie
 będzie gwiazdą supernową
 w konstelacji zniszczenia
 (wróci do nas korektor popiołu
 który
 nie wybacza ani miłości
 ani śmierci)

 banalne
 zejście schodami
 w ciemności niezgłębione
 gdzie
 czasami pierś kobieca
 zasłania ci usta
 na zawsze
 gdzie
 oko ściemnia się
 od nadużycia
 wzroku

zostawiam
 wszystkie wejścia otwarte
 na salę istnienia
 wejścia poznania i trzeźwości

trwałości i strasliwego światła

zostawiam
wszystko
w miarę możliwości

Pieśń bachiczna - Bahică

wypełniam
dziesięcioro przykazań
pozbywam się
tępego wzroku
nienawidzę
ciągłych ograniczeń
uprawiam w asfalcie
stalowe korzenie
dusza jest rzeczą nieśmiertelną

szare jezioro
rozbłyśnie wśród drzew
przestarzałych
kiedyś
znajdę tam
miejsce odpoczynku

jednak
do tego czasu
oswajam szklankę za szklanką
jedynie
tak mogę zapomnieć
że ból potrafi
odnaleźć
drogę
nawet w ciemności

Po dyluwium - După diluviu

nie wiadomo
czy wstaniemy z samego rana
nie wiadomo
czy i co będziemy mieli na obiad
nie wiadomo
kiedy nas porzuci kochanka
nie wiadomo
kiedy staną zegarki

nie wiadomo
czy Arka Noego jest dość obszerna
i kiedy
przyłeci gołąb biały

w ogóle
nie wiadomo
nic
i jakkolwiek
nie ma nic pewnego

nie wiadomo
też
czy tam w niebiosach
prawy będzie
sąd ostateczny

Wiersze wybrane z tomiku *Pornind de la zero*
(Editura Cartea Românească 2000).

(tradus din limba română și adaptat)

Przekład: prof. Alexander G. Serban i Andrzej
David Misiura

Cassian Maria Spiridon urodził się 9 kwietnia 1950 r. w Jassach. Jest absolwentem Wydziału Mechaniki Politechniki Bukareszteńskiej. Debiutował w 1970 r. na stronach czasopism literackich - *Amfiteatru* (*Amfiteatr*) i *România literară* (*Rumunia literacka*). Laureat wielu konkursów literackich oraz nagród m.in. za debiutancki tomik *Junimea* (1979-1980) w Jassach oraz w Ogólnokrajowym Festiwalu im. Nicolae Labiş (1980). Pracował w różnych redakcjach literackich: XI 1990-1991 - założyciel i dyrektor nowej serii pisma *Timpul* (*Czas*), w Jassach; XI 1991-XI 1992 - redaktor pisma *Cronina* (*Kronika*) w Jassach; XII 1992-XII 1994 - redaktor dziennika *Evenimentul zilei* (*Wydarzenia dnia*); 1993-1995 - redaktor i współpracownik telewizji Europa Nowa, w Jassach; VI 1994 i w dalszym ciągu - założyciel i redaktor naczelny pisma kultury poetyckiej *Poezja* (*Poezja*); I 1995 i w dalszym ciągu - dyrektor wydawnictwa *Timpul* (*Czas*); X 1995 i w dalszym ciągu - współzałożyciel i redaktor koordynator publikacji literackiej *Caietele de la Durau* (*Zeszyty od Durau* - klasztor we Wschodnich Karpatach); XII 1995 i w dalszym ciągu - redaktor naczelny słynnego czasopisma *Convorbiri literare* (*Rozmowy literackie*) w Jassach. Członek Związku Pisarzy Rumunii, Towarzystwa Rumuńskich Dziennikarzy i Stowarzyszenia Rumuńskich Dziennikarzy. Jest także członkiem Pen Clubu europejskiego.



Krzysztof Kulig

Z podróży do raju



Autobus wtoczył się po bruku pamiętającym zapewne unię polsko-litewską i zatrzymał swe ciężkie cielsko, dysząc, tak jak oczekujący nań podróżni zmęczeni samą myślą o wyprawie w bezsenną noc. Było krótko przed północą, a ja - zamiast ziewać lub drzemać - zajęty byłem wylizaniem w myślach prędkości, z jaką porusza się ten wehikuł północy (to z uwagi na czas), wschodu (to z uwagi na miejsce startu) i południa (cel podróży) w drodze do Krakowa. Dopiero teraz, przywołany do rzeczywistości poprzez jego ciężkie posapywanie, zauważyłem na szybie tekturową tablicę w barwach narodowych z czarnym napisem „Ekspres WISŁA”, która wyjaśniła moje wątpliwości, co do odległości dzielonej przez czas. Ta znikoma prędkość, pośpiesznego przecież autobusu, wynikała z faktu, że był to „Ekspres Wisła” i musiał przecież, pokonać drogę z Lublina do Krakowa pod prąd, a nie z nurtem rzeki. Co innego powrót, pomyślałem, trwać będzie dużo krócej, może nawet pół nocy. Ale to nie był żaden ekspres. Gdy przeczytałem drobne litery z nazwami miast, przez które będę podróżować, okazało się, że jest to „Ekspres dorzecze Wisły”. Wehikuł jechał dziwną dla mnie trasą. Może wytłumaczalne byłoby to za dnia, z przewodnikiem, który opowiadałby o mijanych miejscach. Taka wycieczka krajoznawcza z PKS-em „Wschód”. Ale w nocy? Uspokoilem się na myśl, że nikt nie wpadł w dyrekcji PKS na pomysł by pokazać nam w podróży do Krakowa, na przykład Białowieżę. Trudno, jakoś trzeba przeżyć te sześć godzin z hakiem. Rozłożyłem się na tylnej kanapie, z nadzieją na wygodny sen, która prysła szybko, gdy ogłuszający kłopot silnika wwiercał się w uszy, a miarowe chybotanie i podskakiwanie przyprawiało o chorobę morską. A jednak dyspozytor z PKS pomyślał o turystyce krajowej. Mijałem ciemne, zaspane wsie, marząc by jak najszybciej ujrzeć wreszcie „wielką cipę”, czyli pomnik „ku chwale”, w takim kształcie zaprojektowanym przez jakiegoś artystę-erotomana w Rzeszowie. Stamtąd już prosta i wygodna droga do Krakowa.

Na lotnisku w Balicach, ładnym bo nowym, tłok jak na targu w Siedliszczu w czwartek. Znowu myśli o projektantach, którzy nie przewidzieli w swoich planach, że my także jesteśmy Europejczykami, i że będziemy kiedyś korzystać z komunikacji lotniczej, tak jak inni Europejczycy. Lepsze to niż nic. Taki Lublin, który usilnie starał się być europejską stolicą kultury w 2016 roku ma tylko do zaoferowania brudne pociągi i rozlatujące się autobusy odjeżdżające z równie brudnego dworca. Może gdyby nie to, że na terenie planowanego lotniska z taką lubością zagnieździła się populacja niespotykanych w innych częściach globu zwierzątek, zdążylibyśmy ruszyć ze „stolicy kultury” pierwszym samolotem w świat. Ekolodzy i ich zwierzątka wygrają jednak z ludźmi, tak jak to było z obwodnicą w Dolinie Rospudy. A nam zostaną billboardy z napisem „Tu powstaje lotnisko Lublin”, które z czasem zbledną i poszarzeją ze starości, bo władza lubi się reklamować długo. Zawsze, gdy jadę obwodnicą w stronę Zamościa, zaśmiewam się z wielkiej tablicy umieszczonej przy pustej drodze z napisem „Tu powstają nowe miejsca pracy” i podpis: „Prezydent Lublina”. Prezydent powinien wyselekcjonować grupę odpowiednich kobiet spośród bezrobotnych pań, ubrać je w stosowne stroje i ustawić przy tablicy, np. na trzy zmiany. Dotrzymałby obietnicy umieszczonej na tablicy. No bo jakie inne miejsca pracy mogą powstać na wąskim pasie zieleni pomiędzy dwiema ruchliwymi jezdniami, panie prezydencie? A biznes sprawdzony. Nie ma ryzyka takiego jak w przypadku „stolicy kultury”.

Jedenaście godzin w podróży, a tu zapowiadają opóźnienie samolotu. Oczekiwanie umilają dźwięki muzyki hiszpańskiej, wino i tort z napisem „Kraków-Malaga” - to prezent od linii lotniczych z okazji inauguracji nowego połączenia. Gdy samolot wznosi się w powietrze i stabilizuje lot, błogo zasypiam i zapewne śni mi się lotnisko w Lublinie i być może „nowe miejsca pracy” i zwierzątek, który jest jego znakiem rozpoznawczym i maskotką.

Samolot krąży pomiędzy rudobrzazowymi, wypalonymi przez słońce wzgórzami, wpadając co chwilę w turbulencje, wzdryga się, jakby nie chciał tu wylądować, jakby to, co mijał - lazur śródziemnego morza, biel ośnieżonych Alp, puszystość



*Widok z wieży Alhambry na Albacin, dzielnicę Granady
(w oddali ośnieżone szczyty Sierra Nevada)*

chmur - były dla niego lepszymi krajobrazami. Przywitało mnie słońce południa, jaskrawość kolorów i błękit wymieszany z ochrą cienia. Lotnisko w Maladze to bardzo nowoczesny, piękny architektonicznie obiekt. Przy nim Port Lotniczy im. Fryderyka Szopena w Warszawie wygląda jak stacja kolejowa Stasin Polny. Wagony kolejki, którymi jadę do miasta, też urzekają estetyką. Mnie - człowieka z prowincji Europy, przyzwyczajonego do naszych wschodnioeuropejskich standardów czystości i nowoczesności. Rozgrzane miasto, leniwie przelewa czas popołudniowej siesty. Ludzie fałują w ciepłym powietrzu nieśpiesznie, trochę od niechcenia, trochę bez celu. Wsiadłem w autobus do Granady. Czysty i klimatyzowany. Ruszamy gładką autostradą wijącą się wśród pagórków, porośniętych geometryczną mozaiką oliwnych gajów. Kto je tu nasadził z tą prostolinijną dokładnością? Urzeka ta ciągnąca się po krótki horyzont szachownica bujnych, zielonych parasoli. Inne, ze skórą pomarszczoną długowiecznością, wspinają się na zbocza jak ciężkie, pociągowe konie, zapierając się w skaliste podłoże skręconymi od ciężaru pniami. Ich skóra jest porowata, jak skóra staruszków, a mimo to ich korony zielenieją niezliczoną ilością liści. Pagóry wyglądają jakby wielkolud usypał je z piachu wielkim wiadrem. Zaczynają się znienacka, pną się ostro w górę,

a osiągnąwszy określoną wysokość, spadają w dół, by znów się wspinać. I tak w nieskończoność. Ogrodnicy tych gajów muszą używać nadprzyrodzonych sił i stumilowych butów, by je pielęgnować i zbierać owoce. A może pomaga im ten wielkolud ze swoim wiadrem? Góry powoli stają się coraz bardziej płaskie, wyprasowane ze swojej zmarszczonej geometrii. Przechodzą w delikatne falowanie białawo-zielonych wzgórków, by wreszcie stać się dwuwymiarową, ciemnozieloną płaszczyzną. I nagle, w oddali pojawiają się wysokie, bielone śniegiem szczyty Sierra Nevada. Upał nie pozwala oddychać, więc rozum nie daje

wiary oczom, bo jak można połączyć +37 stopni Celsjusza w cieniu ze śniegiem na zboczach? A jednak tu, w tym zaczarowanym świecie wszystko jest możliwe.

*

Granada, Granada - tu wszystko jest możliwe, tak jak w tej piosence śpiewanej przez Violetę Villas - „Granado, kraino moich marzeń"! Początki Granady datuje się na 700 lat p.n.e., kiedy to powstała osada Iberoceltów. Lud ten zajmował się głównie handlem z Grekami, Fenicjanami i Kartagińczykami, dzięki czemu osada szybko się rozrastała. Sto lat później Granada była już grecką kolonią, a po kolejnych wojnach punickich przeszła w ręce Kartaginy, potem Rzymian i Wizygotów. Następni władcy to Arabowie. Zirydzi, Almorawidzi, Almohadowie. Od połowy XIII wieku, przez ponad dwa stulecia Granada była stolicą emiratu Granady. Dzięki tej roli przeżyła znaczący rozkwit. Dodatkowo na jej wielkość wpłynął napływ wygnańców islamskich z Sewilli i Kordoby. Dopiero w ostatnich latach XV wieku Granadę przejęli chrześcijańscy duchowni, zakładając tu biskupstwo. Następne stulecia to rozbudowa budownictwa sakralnego, francuska okupacja oraz regres gospodarczy związany z usunięciem pozostałości wyznawców islamu.

Granada, zaczarowane miasto. Uliczki są wąskie, by do okien nie wpadały promienie silnego, południowego słońca, nad ulicami rozwieszono wielkie płótna z materiału dla zacielenia trotuarów. I te ośnieżone góry, gdzieś tam daleko, a tak blisko. Wieczorem, pomimo zmęczenia wynikającego z czterdziestu godzin bez snu, ruszam na miasto. Na rozgrzanych ulicach i placach otoczonych szpalerem zielonych oaz cienia jest tłumnio i gwarno. To teraz, wieczorem czyli około dziesiątej, ludzie spotykają się ze sobą w przyjaznej atmosferze. Dzieci grają w piłkę, rodzice popijają wino.



Oryginalne murale (malowidła ścienne), których autor podpisuje się jako „chłopiec od rysunków”

Życie towarzyskie zaczyna się tu po południu. Po południu, znaczy około dwudziestej. Tak mówią w telewizji prezenterzy pogody. Po południu ulice ożywają gwarem, bary są pełne uśmiechniętych ludzi. Nikt nie mierzy czasu. I trwa tak ten dzień do północy i dłużej. Dlatego oni tu żyją dwa razy dłużej. Energię czerpią ze słońca i krajobrazów. Są jak baterie słoneczne - niewyczerpalni, a że słońca tu pod dostatkiem, więc i radości w ludziach sporo.

Moją nocą, a ich wieczorem wspina się po wąskich przesmykach uliczek w górę. Odnajduję zaczarowane zakątki. Nikłe światło latarni, nieśmiało oświetla białe ściany, jakże inne niż te widziane w promieniach słońca. Teraz zanurzone w mroku ciężkiego powietrza po skwarnej nocy, drzemią spokojnie w oczekiwaniu na noc. Na placu, przed drzwiami kościoła, wokół pomnika jakiegoś świętego, ludzie, czekając na noc, popijają tinto de verano, mieszkankę taniego wina z lemoniadą i dużą ilością lodu. Są jak ich domy

- wyciszeni półmrokiem nocy. Napój orzeźwia i rozwiązuje języki. Do każdej szklanki podaje się tu darmową przekąskę, tzw. tapas. Wynika to z tradycji, jaką zapoczątkował ich władca, nakazując karczmarzom podawać do alkoholu jedzenie, by nikt nie pił na pusty żołądek, bo jak wiadomo łatwiej wtedy alkohol uderza do głowy. Mądry władca dbał o swój lud. Przypomina to trochę zwyczaj barowe z czasów Polski Ludowej, gdzie serwowano słynne jaja na twardo lub galaretę do sety, czyli „meduzę i lornetę” (setę podawano w dwóch kieliszkach, po 50 gram każdy, ustawione obok siebie wyglądały jak lornetka, galareta zaś przypominała meduzę). W Polsce trzeba było za to zapłacić i najczęściej nie zjadano tych zakąsek, ponieważ były nieświeże poprzez ciągłą wędrowkę pomiędzy stołem a ladą chłodniczą (ci, którzy zjadali, następnego dnia czuli się dużo gorzej od tych, którzy tylko pili; większość, przezornie nie konsumowała, ale płaciła za te przekąski, bo „wódeczka tylko z zakąską” - piskliwie i jednostajnie oznajmiała pani Hela zza baru).

Tu wszystko jest świeże i za darmo. Wystarczy usiąść do stolika, a już dostajesz talerzyk oliwek na dobry początek. Inna legenda głosi, że biesiadnicy ciągle prosili o kromkę chleba, by przykrywać kieliszek z trunkiem przed natrętymi muchami, a na zakończenie biesiady zjadali chleb. Z czasem do zjadanej kromki dodawano sól, oliwki oraz inne smakołyki. Z kilku rodzajów tapas wybieram kaszankę na gorąco, która z oliwkami i piwem smakuje wybornie. Tradycja darmowego tapas utrzymuje się już tylko w Granadzie. To wyjątkowe miasto nie tylko ze względu na tapas. Sentencja arabska mówi, że nie ma nic gorszego niż zostać ślepcem w Granadzie. To prawda. Wielki współistnienia kultury arabskiej i europejskiej stworzyły cuda. Miasto dzieli się na trzy rozpoznawalne części architektoniczne: dzielnicę arabską Albaycin, żydowską Realejo i rozległą dzielnicę chrześcijańską. Wystarczy wejść na drugą ulicę i nagle znajdujemy się w zupełnie innym świecie. Położony na wzgórzu Albaycin to sklejone małe, białe domki poprzecinane wąskimi uliczkami. Na samym szczycie dzielnica cygańska - Socromento z wykutymi w skale pieczarami-domami, w których do dziś można spotkać mieszkańców, najczęściej nieformalne grupy młodych, takie „dzieci-kwiaty”.

Centrum miasta zajmuje dzielnica chrześcijańska z potężną katedrą, a obok Realejo, dawna dzielnica żydowska. Nad wszystkim góruje Alhambra, czyli „czerwona wieża”.

Aby zwiedzić Alhambrę, dzień cały to mało. Zespół ogrodów, pałaców, fortyfikacji, fontann, skwerów rozłożył się na górujących nad miastem wzgórzach. Nie da się tego opisać, trzeba to zobaczyć. Trzeba zobaczyć szmerzące strumyki, mozaikę precyzyjnych, koronkowo rzeźbionych ścian. Cały kompleks dzieli się na trzy części: Palacio Nazaries (pałac królewski, pałace Nasrydów), ogrody pałacowe Generalife, oraz Alcazabę. W okresie, kiedy Ibn Ahmar uczynił z Grenady stolicę swego państwa, na wzgórzu stał jedynie ten ostatni obiekt o charakterze twierdzy, dzieło władców arabskich z XI wieku. Ibn Ahmar rozbudował i przebudował Alcazabę i otoczył ją ogromnym, mocnym murem z wieżyczkami, do dzisiejszego dnia będącymi najbardziej charakterystycznymi i znanymi z pocztówek elementami Alhambry, widocznymi już z bardzo daleka. Wewnątrz murów wybudował pałac zaopatrywany w wodę biejącą z płynącej 8 km od stóp wzgórza rzeki, o nazwie Darro (przebudowano w tym celu koryto rzeki). Elementy wodne stanowią integralną część architektury Alhambry i to również świadczy najlepiej o umiejętnościach i wiedzy inżynierskiej budowniczych pałacu. Sam pałac jest właściwie dziełem o wiele późniejszym, XIV-wiecznych następców króla Ibn Ahmara, w szczególności Jusufa i Muhammada V, który to dla uczczenia swego wstąpienia na tron królewski w roku 1354, oraz podboju miasta Algeciras (dziś Andaluzyja) w 1364 roku, dobudował wiele nowych komnat pałacowych oraz wzbogacił stare. Po zdobyciu miasta, w Alhambrze mieszkali przez jakiś czas królowie Hiszpanii Ferdynand i Izabela, którzy również dołożyli się do świetności Alhambry, mianowicie odnowili kilka pomieszczeń i przekształcili meczet w świątynię katolicką, zachowując jednak niezmienną strukturę architektoniczną pałacu. Kilkadziesiąt lat później, ich wnuk cesarz Karol V, podobnie zresztą jak w Kordobie i Sewilli, dokonał znacznego spustoszenia, burząc całe pałacowe skrzydło, by na tym miejscu wznieść nową renesansową rezydencję, zgodnie z ówczesnymi kanonami mody.

Zmęczony upałem i wielością doznań, wypoczywam w cieniu cyprysów, słuchając dawnych historii, które cichutko opowiada płynący strumyk. Może to ten cyprys, którego uschnięty pień cierpi tu od wieków był świadkiem miłosnych schadzek jednej z żon kalifa z pięknym młodzieńcem? Może to pod nim spotykali się kochankowie? Kalif dowiedziawszy się o zdradzie, nakazał ściąć niewierną żonę i jej kochanka. A cyprys, pewnie z żalu, też usechł.



Pod ulicznym baldachimem w Granadzie

Wędruję po wąskich uliczkach wyznaczonych pomiędzy bielonymi ścianami domków sklejonych ze sobą jakąś dziwną siłą bycia blisko siebie. Nikt pewnie nie rysował ich planów, wśród budowniczych zapewne nie było architektów, a mimo to ten zlepek przetrwał stulecia. Może dzięki tej bliskości bycia razem? Każdy wystający skrawek ziemi zajęty jest przez zielen, a jeśli brakuje ziemi, białe tło ścian obwiesza się donicami z kwiatami. Ta zielen, tak jak biel ścian i błękit nieba ma tysiące odcieni. A wszystko za sprawą magicznego światła. Jak zapamiętać te wszystkie barwy? Jak opisać przezroczystoniebieską jaskrawość morza, biel kamieniczek wspinających się na wzgórze, błękit nieba, czerwoną ziemię, soczystą zielen? A wszystko uwydatnione światłocieniem. Trzeba by być śpiewakiem (poetą?) flamenco albo tancerką, która nie gubiąc rytmu, opowiada całym ciałem miłosne historie. A to, co opowiada, każdy zrozumie bez słów. Nie znam ich języka, a mimo

to rozumiem pieśń. Jest w niej tyle uniwersalnej ekspresji.

Przyzwyczajony do północnoeuropejskich kanonów, wstaję o siódmej. Tu jest środek nocy. Aby nie budzić domowników, wychodzę na balkon z poranną kawą i zapalam fajkę. Cisza wilgotnego poranka faluje po nieruchomych drzewach. Gdzieś w dole, na wąskiej uliczce, odbija się od bruku stukot butów. Wychylam się poza barierkę. Kobieta o kształtach klasycznej gitary, w białej sukni z zarzuconym na ramiona trenem kroczy wąskim przesmykiem uliczki, wystukując obcasami rytm flamenco. Jest jak panna młoda, która uciekła z wesela, zanim nastąpił ten ostateczny akt spełnienia nocy poślubnej. I może to lepiej. Dla niej i dla mnie, bo gdzież mógłbym zobaczyć coś równie zachwycającego: chłód poranka i przezroczystą czyistość bieli? Gdyby nie to, że tkwię teraz wysoko, na trzecim albo czwartym piętrze, skoczyłbym na bruk i we wszystkich językach świata wypowiadałbym zaklęcia miłosne pełne metafor o początkach tak pięknie rozpoczętego dnia. Ja nie skoczyłem, a ona ciągle rytmicznie kroczyła ku skrzyżowaniu, na którym czekała biała taksówka z zielonym pasem na drzwiach. Tu wszystkie taksówki są białe, a kobiety podniecające.

Wieczorem schodzę krętymi schodami do miasta. W niktęj poświacie lamp, w świetle reflektorów przejeżdżających czasem samochodów, w blasku światła płynącego z okien kafejek, na ścianach domów odkrywam wielkie obrazy, murale. Sztuka niemal współczesna miesza się ze starością omszałych murów. Miasto mnie zaczarowało. Śnię. Rano budzi mnie zamiatacz ulic swoją pieśnią zapewne o miłości i cierpieniu. Nie mam mu tego za złe. Śpiewa tak pięknie. Te pieśni to ich kultura ludowa. Coś w stylu naszej „Karolinki, co szła do Gogolina”. U nas, zamiatacz ulic obudziłby mnie piosenką zbudowaną na bazie wrzasku i pijackiej chrypki. Ich serenada bazuje na delikatności prawdziwych uczuć. Ach... Granada, Granada!

Czym zasłużyło się to miejsce i ci ludzie, że zostali tak hojnie wynagrodzeni przez tego, co stwarza? Jeśli istnieje raj na ziemi, to jest on tu. Śnię?

Krzysztof Kulig

c.d.n.

Henryk Radej

Poeta skazany



Zrobiło się nieciekawie. Tego jeszcze nie było w polskim życiu społeczno-literackim. Sąd Okręgowy w Warszawie w dniu 21 lipca 2011 roku skazał wyrokiem (nieprawomocnym!) poetę Jarosława Marka Rymkiewicza za publicznie wygłoszone przez niego opinie o redaktorach „Gazety Wyborczej”. Ci uznali je za naruszenie dóbr osobistych i podali poetę do sądu. Ciekawe, że sami nie wystąpili jako oskarżyciele, ale schowali się za fasadą potężnego koncernu prasowego, jaki stworzyli.

Jarosław Marek Rymkiewicz z Milanówka koło Warszawy pozwany został przez Agorę S.A., wydawcę „Gazety Wyborczej”, za słowa z sierpnia 2010 r., że redaktorzy „GW” są „duchowymi spadkobiercami Komunistycznej Partii Polski”. Poeta chciał publicznej polemiki i oddalenia pozwu, uważając że przedstawiał tylko dopuszczalne opinie w ramach debaty publicznej i nie przekroczył granic dozwolonej krytyki. Jednak Michnik ze swoim adwokatem zawlekli pisarza przed sąd. W swojej wypowiedzi zamieszczony wtedy w „Gazecie Polskiej” Rymkiewicz stwierdził, że „rodzice czy dziadkowie wielu z nich byli członkami tej organizacji, która była skażona duchem »luksemburgizmu« [ideologia Róży Luksemburg], a więc ufundowana na nienawiści do Polski i Polaków. Tych redaktorów wychowano tak, że muszą żyć w nienawiści do polskiego krzyża. Uważam, że ludzie ci są godni współczucia - polscy katolicy powinni się za nich modlić”. Jesteśmy więc świadkami procesu o wolność słowa w wolnym kraju! Opublikowaną na łamach „GP” opinię Rymkiewicz podtrzymał przed sądem, podkreślając jednocześnie, że nie miał na myśli wszystkich redaktorów „Wyborczej”, lecz tych, „którzy ją założyli i nadają jej oblicze”.

21 lipca 2011 roku koło południa media doniosły, że znany poeta Jarosław Marek Rymkiewicz ma przeprosić wydawcę „GW” za swe słowa, m.in. że jej redaktorzy nienawidzą Polski i chrześcijaństwa jako „duchowi spadkobiercy Komunistycznej Partii Polski” - tak orzekł warszawski sąd. Nakazał też pozwanemu przeprosiny w „Gazecie Polskiej”,

wpłatę 5 tys. zł zadośćuczynienia na ośrodek dla ociemniałych w Laskach (Agora żądała 10 tys. zł) i zwrot Agorze 1,2 tys. zł kosztów sprawy. Sąd uznał, że doszło do bezprawnego i zawinionego naruszenia dóbr osobistych „GW” i jej wydawcy. Rymkiewicz ma teraz przeprosić za „nieprawdziwe i obraźliwe wypowiedzi”, które „nie miały oparcia w faktach”. Wyrok jest nieprawomocny i przysługuje od niego apelacja.

A teraz niech uważają szczególnie ci, którzy posługują się słowem upublicznianym w dowolnej postaci - zwłaszcza piszący, którym się zdaje, że żyją w kraju, w którym obowiązują zasady wolnego słowa i wypowiedzania się. W uzasadnieniu wyroku sędzieja Sobkowicz-Suwińska użyła m.in. następującego sformułowania: „Pozwany powinien wiedzieć, że za słowa mogą być konsekwencje”. To wielce znamienita wypowiedź padająca z ust przedstawiciela organów prawa. Nic dziwnego, że spotkała się z okrzykami „hańba!” ze strony zgromadzonej na sali sądowej publiczności.

W wypowiedziach do mediów tuż po ogłoszeniu wyroku, Rymkiewicz zwrócił się do swoich sympatyków: „Wolność słowa będzie teraz w Polsce ograniczana, ale wy, moi drodzy, nie zważajcie na to. Mówcie dalej, co chcecie. Pamiętajcie, że jesteście wolnymi Polakami. „Gazeta Wyborcza” nie będzie nami rządzić. Zarządowi spółki Agora i redaktorom „Gazety Wyborczej” chcę przypomnieć stare polskie przysłowie: Musi to na Rusi, a w Polsce, jak kto chce. Nie zmusicie nas do milczenia. Rusi tu nie będzie!”. Jednocześnie zapowiedział odwołanie się od wyroku sądu.

Tak oto spółka Agora właśnie stworzyła na naszych oczach legendę pierwszego w III RP poety skazanego za poglądy. Ten wyrok to także moralna przegrana „Gazety Wyborczej”. Jest to kuriozum, gdy gazeta walczy o ograniczanie wolności słowa! Niebywałe, że na jej czele stoi były opozycjonista. To jest takie kuriozum, że lepszego ośmieszenia polskiej demokracji i michnikowszczyzny trudno sobie wyobrazić. Odnoszę wrażenie, że Michnik boi się otwartej dyskusji o roli swojej gazety w III RP. Jako stały czytelnik „GW” od jej powstania do 2006 roku muszę przyznać rację J. M. Rymkiewiczowi. Doszedłem do podobnych wniosków. Michnik nie dyskutuje, od razu pozywa przed sąd. Może panująca władza w ogóle przyjmie ustawę zakazującą wszelkiej krytyki „GW”

jako sprzecznej z demokracją i konstytucją? A może pora zastanowić się wreszcie, jak odzyskać pismo, które w fazie narodzin zostało skradzione obywatelom przez cwanych redaktorów w myśl zasady, że oto znowu „jest interes do zrobienia”.

Henryk Radej

Jarosław Marek Rymkiewicz

(rocznik 1935) - poeta, pisarz, tłumacz, dramaturg i krytyk literacki, autor głosnych książek eseistycznych m.in. o Adamie Mickiewiczu i powstaniu warszawskim. Za zbiór wierszy „Zachód słońca w Milanówku” otrzymał w 2003 r. nagrodę Nike (jej fundatorem jest m.in. „Gazeta Wyborcza”).

W 2008 r. dostał Nagrodę im. Józefa Mackiewicza za esej pt. „Wieszanie”. Po katastrofie smoleńskiej napisał głośny wiersz „Do Jarosława Kaczyńskiego” ze słowami m.in.:

*Dwie Polski - jedna chce się podobać na świecie
I ta druga - ta którą wiozą na lawecie
Ta w naszą krew jak w sztandar królewski ubrana
Naszych najświętszych przodków tajemnicza rana
Powiedzą że to patos - tu trzeba patosu
Ja tu mówię o sprawie odwiecznego losu
Co zrobicie? - pytają nas teraz przodkowie
I nikt na to pytanie za nas nie odpowie
To co nas podzieliło - to się już nie skleji
Nie można oddać Polski w ręce jej złodziei (...)*



Jarosław Marek Rymkiewicz

Kartka

Wtedy czytać mnie będziecie
Kiedy zamkną mi powieki
I na oślep po omacku
a w minione pójde wieki

Przeczytacie moje łockie
Książkę czaszki i śledziona
Wszystkie kartki mego życia
Zamazane pokreślone

Bóg na półce to postawi:
Dzieje czaszki dwa kolana
Ale jedna biała kartka
Ta co nie jest zapisana

Ale jedna biała kartka
Ta co z książki jest wydarta
Tę kto by przeczytać umiał
Ten dopiero by się zdumiał

październik 1992

Ogród w Milanówku, sen zimowy

Bóg jest dopóki patrzy dopóki ma oczy
Kawki już śpią w gałęziach i mrok już się mroczy

Kot śpi z ogonem w pysku na kaloryferze
Głęboko w mokrych liściach śpią półżywe jeże

Bóg zasnął ale patrz! Jego wieczne oczy
Śni się szarym wiewiórkom i mrok już się mroczy

Świat śpi śnią go wiewiórki chore kawki jeże
Wiewiórki kawki Boga wiecznego żołnierze

Kot porusza się we śnie - ogon w pysku trzyma
Śni Boga - Bóg ma postać Dobrego Olbrzyma

I Bogu - także Jemu! - śni się ogon koci
Ogon który tam we śnie tuż przy Bogu psoci

Głęboko w liściach mroczność budzi się i rusza
Jeż półmartwy w swą podróż ostatnią wyrusza

Na jabłonce tam właśnie gdzie wisi słonina
Śpią dwie kawki i chory gawron biedaczyna

O istnienie! o jakie to brzydkie straszdyło!
Gawron śpi - krwawi jemu ułamane skrzydło

Jedno oko zamyka a drugie otwiera
Patrzy Bóg i śni o nas albo też umiera

Kiedy grudzień śnieg ciska pomiędzy gawrony
Pomiędzy śmierć i życie - i świat jest uśpiony

Patrzy mrok i widzialna - mroczność w mroku leży
I w kompoście jeż chodzi wśród zgniłych obierzyn

Patrz! na nas otwarte oczy Boga
Jest sen - i jeśli wejdiesz - to we śnie jest droga

Katarzyna Bielska

Psychologia brutalizmu we współczesnym teatrze



Stygmatyzowana mianem skandalistki i obarczana ciężarem barbarzyńskich środków wyrazu, tak naprawdę dopiero po śmierci doczekała się właściwego uznania. Dziś cytaty ze sztuk Sary Kane tłumaczone są na wiele języków, a ona sama została mianowana główną przedstawicielką nurtu brutalizmu. Widocznie za dużo było już ugłaskania i za dużo cukrowej waty na światowych deskach teatru. Ludzie wreszcie zaczęli chcieć cokolwiek odczuwać.

Aby rozpocząć analizę organizmu brutalistycznej sztuki, należałoby wstępnie zadać pytanie: czym dla nas jest brutalizm w formach wszelkiej aktywności artystycznej? Czy jest to ukazywanie treści w sposób niezgodny z naszymi utartymi ścieżkami światopoglądu? Czy jest odgięciem naszej sztywnej normy zachowań społecznych? Czy drażni nas poruszane tabu? Jeśli tak, to dlaczego? Odpowiadając twierdząco na powyższe pytania, moglibyśmy z łatwością przytoczyć wiele też z działu antropologii kultury o tym, jak naturalny strach staje się naszym mechanizmem obronnym i wypiera nieznane nam treści.



Sara Kane

Powracając do naszego zagadnienia, założmy, że wizja przedstawiana w sztuce nurtu brutalizmu jest wypieranym przez nas światem, o który się codziennie ocieramy. Podczas gdy powszechny dyskurs społeczny unika tematów zagrażających płynnej egzystencji nieświadomych obywateli, na scenie teatru rozgrywa się nie tyle modelowy dramat, co głęboko skrywany i wypychany z jaźni ludzkiej dramat społeczny. Media bombardują nas newsami ze stref ogarniętych wojną, informacjami o kolejnych aktach przemocy w rodzinie, gwałtach, pedofilii, rasizmie. Przez kilkudziesięcioletni ekran jesteśmy skłonni przykuć swoją uwagę zaledwie na marną chwilę, bo najczęściej poruszany

temat jest nam tak daleki, że niekiedy wcale nie wierzymy w jego realność.

Z rankingu sprzedaży gazet codziennych wynika, że obok dzienników opiniotwórczych (nazwanie ich opiniotwórczymi jest błędne merytorycznie) o pierwsze miejsca rywalizują tabloidy (Fakt, Super Express). Pisma te przyciągają nagością, kiepskim papierem, rozmytym drukiem i żalonymi tekstami. Chciałoby się wręcz rzec, że przyciągają tym, co masy lubią najbardziej - niczym. Masy lubią nic. Masy lubią nic, które stwarza iluzję podniecającej sensacji. Podniecającej i upokarzającej zarazem, bo z badań wynika, że czytelnikami tabloidów są osoby niewykształcone i o niskim ilorazie inteligencji.

Nie trzeba jednak tego pociągu do taniej afery mylić z brutalizmem współczesnego teatru, na scenie którego widzimy postacie popełniające samobójstwo, odcinające członki ciała innym bohaterom, przeklinające, pokazujące obrzydliwość wykluczeń społecznych, gwałtów fizycznych i psychicznych, samotność, rozpacz, socjopatię. Przy tym wszystkim widzimy jak aktorzy patrzą i wymownie pokazując w stronę widowni, oskarżają: wy to zrobiliście, wy jesteście winni. Klasyczny widz poczuje się oszukany i pokrzywdzony bo przecież nie jest gwałcicielem i mordercą, tak założmy. A czy biorąc pod uwagę, że nigdy nikogo nie zabiliśmy fizycznie, niemniej nie wspieramy działań przeciw wykluczeniom społecznym, nie zaprzeczamy, gdy słyszymy mowę nienawiści skierowaną w stronę ludzi innych wyznań, koloru skóry czy orientacji seksualnej, możemy stwierdzić, że nie krzywdzimy? Nie ma prawidłowej reakcji na sztuki brutalizujące nasz świat. Z jednej strony wydaje się, że w zasadzie on taki jest, tylko my jesteśmy ślepi na to, czego nie chcemy widzieć. Nie chcemy widzieć uchodźców, muzułmanów, Żydów, homoseksualistów, Azjatów, Afroamerykanów. Czyli w skrócie - nie akceptujemy innego niż swój własny punktu widzenia i tym samym wspieramy mowę nienawiści prowadzącą do fizycznego i psychicznego okaleczania przedstawicieli innych kręgów. Skąd mamy jednak o tym wiedzieć? Z tabloidów, telewizji, w której nie ma za grosz uczuć, ulotnego eteru radia? Tym jest w XXI wieku teatr brutalizmu - katalizatorem normy, która nie istnieje.

Najsłynniejszą przedstawicielką współczesnego brutalizmu jest Sara Kane, zmarła śmiercią samobójczą w 1999 roku. Pozostawiła po sobie zaledwie sześć sztuk, które na zawsze zmieniły oblicze współczesnej dramaturgii. Reżyserowane na całym świecie, stały się sztandarem kontrkultury twórców i odbiorców będących zbiorem wszelkiego społecznego odpadu i negacji. Zapożyczenia jej tekstów możemy odnaleźć także w polskich sztukach, jak np. *Smycz* Bartosza Porczyka. W wizjonerskich sztukach Kane strumieniami leje się krew, alkohol, pot, łzy. Możemy je przeczytać i obejrzeć nie tylko w teatrach, ale nawet w Internecie. Uczucia są dostępne, tylko brakuje nam odwagi po nie sięgnąć. Sara broniła się przed oskarżeniami o zbyt bolesne przedstawienie scen - *Czasem musimy zejść do piekła wyobraźni, żeby nie trafić tam w rzeczywistości*. W Polsce brutalisci są niezwykle krytykowani. Bylibyśmy narodem zakompleksionym i tchórzliwym, broniąc się przed własnym odbiciem w lustrze. Dyskurs jest przecież odbiciem postawy głębokiego humanizmu. My natomiast wciąż go wypieramy i pograżamy się w niewiedzy i strachu, a jak wiadomo zjawiska te skutecznie się implikują. Sztuki Sary Kane i innych brutalistów oczyszczają i otwierają. Oczyszczają z dręczących nas żądz i otwierają rany świadomości. Taki też jest główny cel współczesnych dramaturgów, nie unikanie, a wręcz natężanie najbardziej drażliwych kwestii ludzkiej psychiki i fizjologii. Twórcy brutalistycznych tekstów parafrazują chory i zgniły organizm społeczny, wytykając błędy socjalizacji odbite w kalce obywateli.

Biorąc pod uwagę przekrój widowni, zauważamy większość ludzi, na oko poniżej czterdziestego roku życia obojga płci. Czego szukają, patrząc na deski teatru brutalizmu? Czy zjawisko społecznej fiksacji jest odpowiedzią na ich pytania? Czy otaczająca ich codzienność jest tak mitycznie stabilizowana i wytracona z uczuć, że przychodzą na sztuki Sary Kane w poszukiwaniu tamy dla swojego lunatyzmu? Po ponadgodzinnej wycieczce po teatralnym Hadesie, niektórzy wychodzą na miękkich nogach, inni z uczuciem mentalnego zgwałcenia. Ich wartości, których do końca nie byli pewni przed spektaklem, zostały zburzone, a może i pogrzebane. Taki jest też zamiysł twórców wobec widzów - emocjonalna implozja. Koliduje to

niecego z powszechnością oczyszczenia, niemniej na pewno burzy spokojny puls krwi. Widzowie, którzy nierzadko oderwani są od rodzinnych seriali, portali społecznościowych, gier komputerowych i całego wirtualnego świata, mogą doznać głębokiego szoku. Nagle ich wizja rzeczywistości zmienia się o poważny kąt, a otoczenie zaczyna przypominać salę pełną luster. Nieczęsto ze sceny wytyka się nam najgorsze społeczne i wręcz dehumanizujące nas przywary.

Czy zatem teatr brutalizmu jest wart uwagi? Jeżeli uważamy, że nasz światopogląd w dziwny sposób zamienia się w normę, którą narzucamy innym - tak. Jeśli czujemy się przeżarci przez anhedonię, narzuconą nam medialną wizję świata - tak. Jeśli jesteśmy jeszcze w stanie zauważyć, że człowiek obok nas jest samotny, zagubiony - to może być dla nas ostatni ratunek przed plagą samodurstwa. Decydując się jednak na sztuki brutalistyczne, musimy być przygotowani na nagość, sceny gwałtu, samobójstw, samookaleczeń i wszelkiego rodzaju postawy wyrażającej krzyk jednostek wykluczonych. Efekt końcowy może być niekiedy odwrotny do zamierzonego i nasza socjopatyczna rutyna nie opuści nas także w tych chwilach. Syndrom naturalizmu współczesnej sztuki otacza nas codziennie, nawet gdy jej nie zauważamy. To napisy na murach, podprogowe hasła polityczne, przyglądzone rezerwy wychowania w szkołach, unitaryzm społeczny będący jedną z większych zbrodni przeciw ludzkości. Po naturalizm nie musimy sięgać, on do nas przyjdzie i wtedy nic już nie będzie takie jak przedtem.

Katarzyna Bielska

Katarzyna Bielska ur. w 1987 r. w Krasnymstawie. W 2011 r. ukończyła dziennikarstwo i komunikację społeczną na Uniwersytecie Wrocławskim. Początkująca dramaturg i publicystka. Swoją niedaleką przyszłość wiąże ze studiami doktoranckimi i z pracą niezależnego dramaturga. Prywatnie: muzyk amator, naukowo: zainteresowana filozofią feminizmu, literaturoznawstwem, zjawiskiem mowy nienawiści, współczesną historią oraz socjologicznym i antropologicznym ujęciem zagadnień społecznych.

Henryk Radej

Dwa bratanki



Od 1 lipca br. rząd Polski (a nie Polska!) przewodniczy formalnie Radzie Unii Europejskiej do końca 2011 roku. Co właściwie nic nie znaczy, oprócz szumu medialnego na początku i zapewne trochę pod koniec kadencji. Jako że urząd ten przejęliśmy od Węgrów, w mediach i w Warszawie obecni byli przedstawiciele tego państwa. Przemawiano, wymieniano uściski, szabelki i toczono beczułkę tokaju - w nawiązaniu do słynnego powiedzenia: „Polak, Węgier - dwa bratanki, i do szabli, i do szklanki”. Było wesoło, trochę śmiesznie i nic konkretnego nie wynikało dla nas z przejęcia tzw. prezydencji. Wszystko po wielokroć do znudzenia pokazywała telewizja i powtarzało radio. A ile przy okazji padło dziwnych sentencji. Oto niektóre:

„Podzielmy się z Europą naszym entuzjazmem!” (J. Buzek) - a to mnie zaskoczył! „To najważniejszy dzień dla Polaków w ostatnich paru latach. Marzenia Polaków się spełniły” (G. Napieralski) - typowa diagnoza hipotetyczna, pomyślałem, choć w ustach tego polityka można się było spodziewać takiego oderwania od rzeczywistości. A przez cały dzień wszystko polewano obficie ciężkim sosem propagandy medialnej, upstrzonej chorągiewkami, gwiazdkami i kolorowym logo ze strzałkami w pochodzie. Wydawało się, że z wyjątkiem poważnie wyglądającego zebrania obu izb parlamentu RP z udziałem gości - dopóki nie zaczęto przemawiać, kiedy kaskada wodolejstwa zatopila wszystko - nawet Węgrów-bratanków.

Wieczorem w centrum Warszawy odbył się europejski koncert z udziałem gwiazd. Wytrwale czekałem przed telewizorem, aby gdzieś przed północą obejrzeć muzyczne popisy Tomasza Szukalskiego i Chrisa Bottiego. Jak zwykle, nie zawiedli. Wcześniej z zainteresowaniem śledziłem występy zespołu „Myslovitz”, Janusza Olejniczaka i Leszka Możdżera. Eksplozji ton fajerwerków już nie doczekałem. Sen był silniejszy i nie zdołały mnie zbudzić pióropusze petard.

Rano rzucam się na portale, biegnę po gazety, aby mieć obraz całości wczorajszych „historycznych wydarzeń” i czegoś mi wyraźnie brakuje. Jest niby wszystko i zdjęć jak na mój gust nawet

w nadmiarze. Brakuje tylko... bratanka. Zapewne to, co powiedział w polskim sejmie László Kövér, przewodniczący węgierskiego zgromadzenia narodowego uznano za skandal, bo wszystkie media „solidarnie” go zignorowały. Węgier, w krótkim przemówieniu nie tylko zwięźle przypomniał wielowiekową węgiersko-polską przyjaźń, ale i wskazał, że nasze kraje są dla Unii Europejskiej cennymi nabytkami ze względu na naszą przeszłość. Co więcej, podkreślił konieczność uszanowania narodowych kompetencji krajowych parlamentów. László Kövér nie wstydził się również mówić, że narody Europy potrzebują „błogosławieństwa Boga” do realizacji trudnych decyzji.

Jak on śmiał (ten obcokrajowiec!) w polskim parlamencie przypominać o obowiązkach państwa i jego przedstawicieli! Wcześniej, żaden z przemawiających polityków (G. Schetyna, B. Komorowski, J. Buzek, B. Borusewicz) - nawet nie nawiązali do chrześcijańskich korzeni Rzeczypospolitej. Woleli technokratycznie rysować „nowy europejski ład”, mówić o relacjach z Brukselą i tworzeniu nowych form politycznych. A Węgier rąbał bez zastanowienia: „Mało kto wie, że powiedzenie: *Polak, Węgier - dwa bratanki*, ma również drugą część, która brzmi następująco: *Oba zuchy, oba żwawi, niech im Pan Bóg błogosławi*. Każdy element tego prastarego powiedzenia powinien się pojawić w naszej wspólnej środkowo-europejskiej prezydencji, gdyż narody Europy dziś jednakowo potrzebują świadectwa utrzymujących nas przez tysiąc lat najszlachetniejszych cech, odwagi do podejmowania trudnych decyzji, jak i błogosławieństwa Boga do ich realizacji”.

A zakończył łamaną polszczyzną: „Drodzy Polscy Przyjaciele! Na koniec proszę mi pozwolić, żebym w imieniu Zgromadzenia Narodowego Węgier oraz całego społeczeństwa węgierskiego życzył Wam, a przez Was tutaj całemu szlachetnemu Narodowi Polskiemu, treściwej i bogatej w sukcesy prezydencji”.

Kto oglądał, ten słyszał. Dziwne przemilczenie w mediach wystąpienia László Kövéra rzuca ważne światło na tzw. pluralizm polskich mediów publicznych. Oby do sylwestra! Wtedy przy wykorzystaniu tych samych sztucznych ogni pożegnamy dętą prezydencję i powitamy normalny nowy rok. Przynajmniej tyle zaoszczędzimy.

Henryk Radej

LUBLIN,
ul. Radziwiłłowska 5
tel. 81 536 09 16,

81 743 61 94 **www.lider24.com.pl**



SZKOŁY MŁODZIEŻOWE – bezpłatnie

LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE

Każdy uczeń może dodatkowo bezpłatnie zdobyć nowy zawód, nową umiejętność:

- specjalista ds. urody
- grafik komputerowy

Każdemu uczniowi zapewniamy bezpłatnie podręczniki oraz kursy przygotowujące do matury.

TECHNIKUM

fryzjerstwo, gastronomia,
informatyka, hotelarstwo.

SZKOŁY ZAOCZNE

LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE

3 - letnie po gimnazjum lub szkole podstawowej (ośmioletniej),

2 - letnie po ZSZ

POLICEALNE STUDIUM ZAWODOWE

administracja * BHP * geodezja * budownictwo * ekonomia * fryzjerstwo * gastronomia * hotelarstwo * informatyka * kosmetyka * masaż * rolnictwo * opiekun w DPS * turystyka *inne

NOWOŚĆ! **SZKOŁY DLA DOROSŁYCH** **Opole Lubelskie**

LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE (3-letnie)

LICEUM UZUPEŁNIAJĄCE (po ZSZ, 2-letnie)

SZKOŁA POLICEALNA – technik rolnik

ZAJĘCIA W SOBOTY I NIEDZIELE

ODDZIAŁY SZKOŁY:

CHEŁM, ul. Reformacka 13, 82 565 27 06

BIAŁA PODLASKA, ul. Prusa 8, 83 342 24 43

ZAMOŚĆ, ul. Partyzantów 21, 84 639 11 63

ZWOLEŃ, ul. Woj. Polskiego 78, 48 676 20 34

OPOLE LUB., ul. Fabryczna 28, 81 827 20 48



SEREK KANAPKOWY

lekki, naturalny,
kremowy

NOWOŚĆ



NOWOŚĆ

www.krasnystaw.eu



OWIK OGANES KAZARIAN



Oganessian Kazarian, pseud. OWIK - urodzony 11 października 1954 r. w Leninakanie (Armenia). W latach 1970-74 kształcił się w Liceum Plastycznym im. Terlemeziana (fakultet malarstwa) w Erewaniu. Następnie studiował scenografię w Państwowym Instytucie Artystyczno-Teatralnym w Erewaniu (1975-1981). W latach 1981-82 odbywał tam służbę wojskową. W roku następnym objął stanowisko dyrektora Szkoły Artystycznej w Ahurian k. Leninakanu, będąc równocześnie nauczycielem rysunku, malarstwa i kompozycji. Od 1987 r. do trzęsienia ziemi w grudniu 1988 r. był prezesem Komisji Artystycznej w Leninakanie. Kataklizm stanowią zwrot w twórczości artysty. Kilkumiesięczny pobyt w domu pracy twórczej na Krymie zaowocował powstaniem cyklu obrazów, zaprezentowanych w I rocznicę trzęsienia ziemi. W 1990 r. po raz pierwszy przyjechał do Polski na plener organizowany w Olszance koło Chelma przez (przyszłą żonę) Teresę Chomik z Wojewódzkiego Domu Kultury. Jesienią 1993 r. małżonkowie zakupili stary majątek podworski w Uhrze koło Chelma, z przeznaczeniem na dom pracy twórczej, gdzie nieprzerwanie od 1994 r. odbywają się plenery malarskie. Od 1998 r. prowadzi własną działalność gospodarczą. Obywatelstwo polskie otrzymał w 2003 r. Zajmuje się malarstwem, projektowaniem graficznym, architekturą wnętrz. Prace artysty znajdują się w prywatnych kolekcjach w Armenii, USA, Niemczech, Kanadzie, Chinach.



